

Joanna
Mokosa-Rykalska

Kontynuacja
bestsellera
**MATKA
SIEDZI
Z TYŁU**

MATKI PRZODEM

*Jak wylądowałyśmy
w ciemnej d****e*



Joanna
Mokosa-Rykalska

MATKI PRZODEM

*Jak wylądowałyśmy
w ciemnej d***e*

Serdeczne podziękowania dla Aliny Puchały za cenne uwagi i Edyty Astalus za konsultacje krajoznawcze. Niezmiennie dziękuję mężowi i dzieciom za to, że zawsze mogę na nich liczyć i że ze mną wytrzymują :)

Rozdział 1

– Kochanie, pamiętasz, że dzisiaj po południu przychodzą do nas Lewandy? – spytał mężu.

Zamarłam. Byłam absolutnie pewna, że to miało być za tydzień.

– Jak to dzisiaj? A nie w następną sobotę? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nie, ostatnio jak u nich byliśmy, po wypiciu pół butelki wina zapraszałaś ich przez pół godziny na dzisiaj – przypomniał.

No dobra, wygląda na to, że jestem inteligentna bezobjawowo.

– Borze szumiący, jeszcze goście, jak mi się nie chce – westchnęłam.

– Możesz nagrać to, co powiedziałaś? Chcę mieć dowód, bo według ciebie to ja jestem nietowarzyski.

– Bo jesteś. Ty nawet choroby wymyślasz, jak ktoś ma do nas przyjść, a ja przynajmniej mówię szczerze, że mam to gdzieś – odburknęłam.

Podszedł i mnie przytulił. Chyba widział, że się dzisiaj nie wyspałam, bo przecież generalnie uwielbiam ludzi. Jednak ilość codziennych obowiązków domowych dawała się we znaki.

– Kupię jakieś przekąski i wino, będzie dobrze – obiecał i zaczął szykować się do wyjścia.

Na szczęście był dopiero poranek. Wojtek z Kaśką pojechali do sklepu szukać kloszardowych ciuchów dla niej, bo od kilku dni marudziła, że nie ma się w co ubrać. Dlaczego kloszardowych? Cóż, tak obecnie wygląda moda młodych dziewcząt. Ostatnio byłam z psem, gdy ze szkoły wysypała się grupka dam. Kurwuniu, z którego śmietnika one biorą te ciuchy?! Spodnie ciągną się po ziemi albo kończą tuż przed kolanami, ale

najważniejsze, żeby były szerokie i podarte, jakby wpadły w zęby bulteriera. Bluzy i kurtki trzy numery za duże. A butami to można zabijać. Ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz.

Kiedy wyszli, zaczęłam trochę ogarniać nasz pierdolnik. Na chwilę usiadłam na kanapie i wgapiłam się w program o kupowaniu przez milionerów domów na Karaibach. Prowadzący w luźnej rozmowie zadał im pytanie, gdzie ostatnio byli. A ci, że tu i tam. Magellan się do nich nie umywa! „A ty gdzie byłaś, Joanno?” – zapytałam samą siebie, natchniona amerykańską retoryką. W łazience na przykład, niedawno również w przedpokoju, no i niestety w kuchni. I jestem absolutnie przekonana, że doznania i poziom adrenaliny mieliśmy bardzo podobny.

Moje dywagacje przerwał Piotruś:

– Na którą jedziemy na urodziny Franka?

– Na czternastą, mówiłam ci już.

– A która jest?

– Trzynasta.

– A dokładnie?

– Dwunasta pięćdziesiąt sześć.

– To dlaczego mówisz, że trzynasta?

Młody za każdym razem punktował mnie w tej sprawie. Nie wiem, jakie znaczenie miały dla ludzkości te cztery minuty, ale jego precyzja dała mi do myślenia, że w przyszłości albo będzie chirurgiem, albo zawodowym mordercą, którego nikt nigdy nie złapie. Po takich rodzicach raczej obstawiałabym to drugie.

Po wielokrotnym: „Założ buty, tu masz bluzę, umyj zęby, bo zmoczenie szczoteczki do zębów wodą to jednak nie to samo” wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do samochodu. Był ładny październikowy dzień. Na dworze leżały liście mieniące się w słońcu feerią kolorów. Uwielbiam taki widok. Chyba natura rekompensuje w ten sposób już krótkie i zazwyczaj mało przyjemne dni.

– Mamuś... – zaczął Piotrek.

- Słucham, synku?
- Franek to ma fajnie.
- A dlaczego?
- Bo jego rodzice są rozwiedzeni.
- I dlatego ma fajnie?
- No tak, bo na urodziny zawsze dostaje podwójne prezenty.
- To prawda, ale prezenty chyba nie są w życiu najważniejsze.
- Oczywiście, że są.
- Synku, nie można być takim materialistą.
- Czyli?
- Czyli myśleć tylko o rzeczach.
- Ale zawsze powtarzasz, że trzeba mówić prawdę. No więc mówię.

I zabił mnie gnojek moją własną bronią. Szkoda tylko, że nie do końca to się sprawdza, jak pytam, czy odrobił lekcje.

Naszą szczerą dyskusję przerwał dojazd na miejsce. Mańka postanowiła zaprosić gości na ściankę wspinaczkową. Weszliśmy do środka, przedarliśmy się przez biegające dzieciaki, które były jeszcze na dole. Inne, niczym orangutany, wspinały się najwyżej, jak potrafiły.

– Asiunia, tutaj – zawołała do mnie Mańka. – Cześć, Piotruś. Chodź, zaprowadzę cię do dzieci.

– To idę, mamuś, paaaa! – Chłopcy w tym wieku są tacy słodcy.

– Cześć, Joanna – usłyszałam męski głos. Rzadko ktoś wypowiada w ten sposób moje imię. To musiał być Robert, były Mańki.

– O, cześć – przywitałam się. Sytuacja była trochę niezręczna. Kiedyś przecież spędzaliśmy wszyscy razem sporo czasu. Jednak odkąd Mańka i Robert się rozstali, z jej eksem widzujemy się tylko czasami, jak na przykład odbiera od nas chłopców.

– Co słychać?

– Wszystko po staremu: praca, dom i cały ten kołowrotek – odpowiedziałam dość enigmatycznie. – A u ciebie? – zrewanżowałam się,

bo wypadalo, choc doskonale wiedzialam od Mańki.

– Tez dobrze, zmienilem prace, wiec duzo sie dzieje, no i te dwa male potwory. Nie jest latwo. – Wskazal z usmiechem na dzieci. Biedactwo. Szkoda tylko, ze ponad rok temu nie ciazyła mu Tajka na penisie, z która byl uprzejmy robic to i owo, bedac w związku z moja przyjaciółką.

– No nie jest – powiedzialam zgodnie z prawda. Calé szczęście podeszła do nas Mańka, bo bylam bliska, zeby cos palnac.

– Wszystkie kaszojady są juz na ściance – oznajmila zadowolona.

Patrzylam na nią z podziwem. Stala obok Roberta tak po prostu, bo byla z nim w dobrych stosunkach. Ja bym pewnie ciagnęła dziada przez następane dwa lata przywiązanego do samochodu. Trzeba przyznac, ze sie zmienil, nawet mialam wrazenie, ze o nią zabiegäl. Mańka wyglädala jednak na taką, co juz to sobie w głowie poukladala. No i przede wszystkim spotykala sie z Pawłem.

Spojrzałam na zegarek, którego bylam zakladniczką, i zaczęlam zbierac sie do wyjścia.

– Mańka, muszę juz isc. Mamy dzisiaj gości, wiesz, Lewandy do nas przychodzą, tylko jakby o tym zapomnialam. Muszę ogarnac dom, czyli poupychac cały burdel do szafek, bo inaczej nie zdazę – powiedzialam. – Wojtek przyjedzie potem po Piotrka, okej?

– Dobra, idz, tylko pamietaj, co gdzie wkładasz. Ja ostatnio nieopatrznie schowalam do szuflady hodowle fasoli synusia. Jakiez bylo moje zdziwienie, gdy otwieram ją, a tam rośnie drzewo! Drzewo w szafce, czujesz? – rechotala Mańka.

Ja jak ostatnio schowalam przez przypadek ser francuski do szafki zamiast do lodówki, to o jego bytnosci przypomniał mi taki smród, ze myslalam, ze bede musiala chate dezynfekowac.

– A o Piotrka sie nie martw – uspokoila mnie Mańka. – Jeden z dzieciaków mieszka w waszej okolicy, to poproszę, zeby zabrali go ze soba i odwiezli do domu.

Jak dobrze mieć taką przyjaciółkę. Masz pewność, że nie jesteś jedyną, która ogarnia życie z pewnymi niedoskonałościami. Pożegnałyśmy się i pojechałam do domu. A tam czekał na mnie pokaz mody.

– Mamo, zobacz, co kupiliśmy. – Kasia zaczęła prezentację i wyciągnęła z torby piękny biały sweterek. Bielusieńki. No jasna cholera, przecież to będzie upierdalone przy pierwszym obiedzie! Powinien być zakaz produkcji jasnych ubrań do rozmiaru 158 centymetrów!

– I spódniczkę zobacz. Mówiłaś, żebym czasem nosiła, to teraz mam – kontynuowała zadowolona. Bardzo mnie ucieszyła, że jednak nie będzie się ciągle ubierać jak szlora i idzie w stronę kobiecości. Wzięłam tę spódniczkę do ręki – nietrudno było zauważyć, że jej długość nie była zbyt imponująca, chociaż nie, ona nie miała długości, tylko krótkość.

Niedawno były bluzki do pępka i półubrania. Powiedziałam Kaśce, że pójdzie tak do szkoły po moim trupie. No więc codziennie rano obawiałam się o swoje życie.

– Nie widziałeś, jaka ona krótka? Jak się schyli, to jej brochę będzie widać! – zachnęłam się po cichu, piorunując męża wzrokiem. To już wolę te za duże ciuchy. Może będzie wyglądać jak kłoszard, ale nie jak lafirynda!

– W sklepie wydawała się dłuższa. A zresztą nie przesadzaj! – odparował, chcąc tak naprawdę rzucić: „O co ci chodzi?”.

– No i spodnie – zaprezentowała Kasia. Patrząc na ich długość, powiedziałabym, że to dwie zszyte pary. Niemniej jednak dziecko wyprowadziło mnie z błędu: – Mamuś, no tak się teraz nosi.

Rzuciłam mężowi przelotne dwugodzinne złowrogie spojrzenie. Kaśka pozamiata tymi spodniami wszystkie chodniki na osiedlu.

– Kotek, wiesz, jak ciężko coś dla niej znaleźć – powiedział.

Córa była jednak wyraźnie zadowolona. Nie pozostało mi więc nic innego jak zaakceptować ten styl „na nędzarza”.

Zaczęliśmy przygotowywać się do przybycia gości. Czas zleciał szybko jak woda w sedesie. W końcu zadzwonił domofon.

– Cześć, kochani – przywitałam ich wesoło. Czyli jednak wszystko ze mną w porządku i nadal lubię ludzi.

Dominika i Marcin weszli do środka, a między nimi plątała się ich półtoraroczna córeczka Amelka. Mamy już niewielu znajomych, którzy mają tak młode potomstwo.

– A kto tu nas odwiedził? – Schyliłam się do małej. Miała piękne kręcone złote włosy i niebieskie oczy.

– Nasza opiekunka jest trochę przeziębiona i nie chcieliśmy zostawiać z nią Amelki – wytłumaczyła Dominika, bo rzeczywiście planowali przyjść sami. Ale wcale nie byłam zaskoczona takim obrotem sprawy. Długie oczekiwanie na macierzyństwo sprawiło, że Dominika należała do przewrażliwionych matek. Obstawiam zatem, że opiekunka kaszlnęła, bo zakrztusiła się przy picciu herbaty, a ta już była gotowa kwarantannę na cały blok nałożyć.

– Nie szkodzi – powiedziałam, bo przecież już nie było wyjścia. Aczkolwiek im jestem starsza, tym częściej myślę, że dzieci są jak bąki. Można znieść tylko własne.

Znajomi rozsiedli się wygodnie na kanapie. Na chwilę wpadła Kasia, żeby się przywitać, i udała się z powrotem do swojej jamy zwanej pokojem.

– Napijcie się czegoś? Może whisky? – zaproponował Wojtek i puścił oczko do Marcina.

– A nalej trochę tej wody na myszach – odparł zadowolony. Nigdy nie rozumiałam, jak można pić coś, co ma zapach stęchłej szafy.

– Ja dziękuję – odmówiła Dominika. A szkoda, bo jej akurat by się przydało, żeby trochę poluzowała gumkę.

Gdy panowie delectowali się trunkiem, my poszliśmy do kuchni.

– Co słyhać? Opowiadaj – zagadnęła Dominika ze szczerym zainteresowaniem.

Pamiętam ten czas, gdy siedziałam z dziećmi w domu. Każda informacja ze świata zewnętrznego inna niż pieluchy czy gęstość stolca była arcyciekawa.

– U mnie jak zwykle, dużo pracy. – Nie patrzyłam jednak na koleżankę, tylko obserwowałam małego diabła wcielonego. Amelcia, choć była jedna, wyglądała, jakby ktoś ją sklonował, bo znajdowała się wszędzie.

– Da – powiedziała i podeszła do stołu, po czym pociągnęła za obrus.

– Kotku, zostaw. – Dominika szybko do niej podbiegła. Kotek, a raczej tygrys bengalski, nic sobie z tego nie robił. – A nad czym teraz pracujesz? – próbowała podtrzymać rozmowę, ale jej oczy skanowały przestrzeń w ślad za pędrakiem.

– Papierkowa robota po skończeniu serialu, ale niedługo będę robić...

– Kochanie, nie jedz tej ziemi, bo ci zaszkodzi – przerwała mi Dominika i rzuciła się, żeby otrzepać małe niewinne łapeczki gmerające w mojej jedynej roślince, która nie padła z wysuszenia. Czort z dzieckiem, w końcu nie moje, ale kwiatkowi na pewno zaszkodzi, gdy wrzeszczun oberwie mu wszystkie liście!

– Że co? Co zaczniesz drobić? – zapytała Dominika, lekko już oszołomiona.

– Nie drobić, tylko robić – próbowałam skierować rozmowę na odpowiednie tory. Były jednak nieco skrzywione. Konwersacja z rodzicem, który ma pod opieką małe dziecko, jest jak rozmowa z chorym na zespół Tourette'a. Nigdy nie wiesz, z czym wystrzeli.

– Nowy projekt. – Patrzyłam na małe tornado biegające po moim salonie, aż się od tego zmęczyłam. To ja już chyba wolę, jak moje pyskują. Dziecię na chwilę udało się do tatusia, więc Dominika mogła nareszcie się wyprostować i wyglądała jak człowiek, a nie neandertalczyk.

– Wiesz co, ja to się chyba jednak napiję – stwierdziła. A pisali w mądrych książkach, że dziecko to cud. Cud to jest chyba wtedy, jak przez godzinę nie chcesz go oddać do adopcji!

Do domu wrócił Piotrek z imprezy urodzinowej. Był w szampańskim humorze.

– Cześć wszystkim – przywitał się.

– Cześć, Piotruś. Ale ty wyrosłeś! – uśmiechnęła się Dominika.

– I jak, synku, fajnie było? – zapytałam.

– Bardzo, najadłem się tyle słodczy, że chyba puszcę pawia – oznajmił z rozbijającą szczerością. Czyli jednak to nie był szampański humor, tylko delirka po przedawkowaniu cukru.

– A co ja mówiłam? Żebyś nie jadł ich za dużo.

– No i nie jadłem, bo jeszcze nie puściłem – skwitował.

Momentalnie tuż obok nas zjawiała się Amelka zainteresowana kolejnym domownikiem.

– O, małe dziecko – zauważył Piotrek.

– Przywitaj się z chłopcem, kochanie – powiedziała przemiło Dominika.

– Gol – odezwało się tornado monosylabą.

– Co „gol”? – zdziwił się Piotrek.

– Nic, nic – uśmiechnęłam się, czując się jak w jakimś czeskim filmie.

– Lubi grać w piłkę – wytłumaczyła moja koleżanka. Ta, lubi też jeść ziemię, ssać baterie z pilota i ciągnąć za firanki.

– A, to ja jej dam, jeśli chce. – Syn chciał nieść pomoc. Dlaczego ja go wychowałam na tak dobrego chłopca? Może szyby w oknach są brudne, ale przynajmniej całe!

Dziecię udało się z nim do pokoju. Tuż za nim chciała podążyć Dominika.

– Daj spokój, zaraz wróci... niestety – odpowiedziałam i za późno ugryzłam się w język, bo dostrzegłam, że koleżanka ma prawie lzy w oczach.

Przyłączyłyśmy się do panów. W pokoju rozchodził się zapach cygar. Caringtony się znalazły. Kryzys wieku średniego przyszedł jednak szybciej, niż myślałam. Czyżby nadchodził także czas na wymianę żon na młodsze glonojady?

Dominika nie wytrzymała napięcia i pobiegła do pokoju dzieci. Przyjemna cisza dudniła w uszach i nawet już mi ten dym nie przeszkadzał. Miałam za to pewność, że nikt nie pogryzie mi kanapy.

Postanowiłam, że i ja polehcę swoje podniebienie wysokoprocentowymi bąbelkami, gdy usłyszałam dźwięk tamburynu.

– Nie znaleźliśmy piłki, za to Amelci bardzo spodobał się ten instrument – powiedziała uradowana Dominika.

To się nie działo naprawdę. Dzieciak katował tamburyn, napięprzając w niego bez przerwy. Ostentacyjnie patrzyłam na zegarek, ale niestety nikt się nie kapnął, że to znak, że trzeba już iść. Brzęczenie słyhać było w całym mieszkaniu. To było na tyle z naszych i tak przerywanych niczym stosunek rozmów. Koncert tornada trwał w najlepsze przy akompaniamencie oklasków Dominiki. Tylko Rubika brakowało.

Po pewnym czasie chyba Marcinowi napięła się żyłka, bo poprosił, aby córeczka zaprzestała występów. Po krótkich negocjacjach zabrał jej zabawkę, co nie spotkało się ze zrozumieniem małej artystki. Dzieciak był nieprzejednany i zaczął piszczeć jeszcze głośniej niż tamburyn, więc instrument znów do niego trafił. Tym razem Amelka usiadła w kącie, a my wróciliśmy do rozmowy. O dziwo, nie było nawet specjalnie głośno. Może i jej się w końcu baterie wyczerpały.

Ale gdy właśnie nalewalam sobie wino, usłyszałam wielki płacz.

– Amelciu, kochanie, co ty zrobiłaś?! – krzyknęła rozpaczliwie Dominika. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Diabeł wcielony włożył sobie na głowę tamburyn, który nie chciał zejść.

– Marcin, widzisz? Pomóż mi, trzeba coś z tym zrobić! – panikowała koleżanka.

– Amelciu, daj, tatuś ci zdejmie. – Ojciec usiłował stanąć na wysokości zadania, jednak każdy ruch instrumentu w górę powodował ocieranie się o uszy i jeszcze większy krzyk dziecka.

– Zostaw! Co robisz?! Przecież krew jej leci! – krzyczała Dominika. Staliśmy obok z Wojtkiem, nie bardzo wiedząc, jak pomóc.

– Może trzeba przeciąć – zaproponował ze spokojem mąż.

Do pokoju przybiegli Kasia i Piotrek.

– O ja! XD! – zareagowali nowomową.

– Nic nie będziemy przecinać! – histeryzowała Dominika.

– Kochanie, spokojnie, może to dobry pomysł – wtórował Wojtkowi Marcin. Whisky zdecydowanie ich rozluźniła i wpłynęła na punkt widzenia.

– Asia! Ubieraj się! – usłyszałam nagle.

– Ale przecież jestem ubrana, coś nie tak? – Spojrzałam na siebie niepewnie. Może nie była to najnowsza kreacja *haute couture*, ale naprawdę ją lubiłam.

– Jedziemy do szpitala! – zarządziła Dominika.

– Do szpitala? Po co?

– Muszą nam jakoś pomóc!

– Dominiczko, może jednak sami sobie z tym poradzimy – wtrącił Marcin.

– Nie mów do mnie teraz. Wiem, co robię – odpowiedziała.

– Pojadę z wami – upierał się.

– Nie, ty piłeś, jadę z Asią.

Ze strachu prędko włożyłam już jeden but, ale nie byłam pewna, czy mam wkładać drugi, bo nie wiedziałam, jak skończy się pierwszy akt dramatu. W związku z tym stałam jak czapla w oczekiwaniu na rozwój sytuacji. Za chwilę znalazłyśmy się jednak w samochodzie – my dwie oraz mały człowiek orkiestra.

– Amelciu, już jedziemy do pana doktora. – Dominika nie przestawała mówić, a dziecko płakać. Przy każdym ruchu dziewczynki słychać było dźwięk tamburyna. A gdyby tak postawić ją na starówce i położyć kapelusz na drobne?

– Matko, zobacz, już jej się uszy naderwały przez to wszystko.

– Nie przejmuj się, doszyją, skoro nawet kończyny przyszywają – chciałam dodać jej otuchy.

– Jezus Maria, będą ją szyć? Taką małą? – lamentowała koleżanka. „Nie, poczekają jeszcze ze trzy lata” – miałam ochotę wypalić.

– Dopóki moje dzieci nie skończyły dwóch lat, byłam z nimi w szpitalu co najmniej kilka razy: przecięta warga, zwichnięty nos, złamany nadgarstek – wyliczałam jak rasowa mama.

– No już dobrze, kochanie, zaraz będziemy u pana doktora – mówiła Dominika do Amelki, prawdopodobnie wypierając moje słowa dotyczące dziecięcych wypadków.

Włączyłam radio. Nie powiem, muzyka całkiem dobrze komponowała się z tym tamburynem.

Podjechałyśmy pod szpital. Dominika wzięła dziecko pod pachę i z prędkością światła pobiegła na ostry dyżur. Był sobotni wieczór. Próbowałam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego właśnie ja muszę go spędzać w ten sposób. Czy to jakaś kara za nienachalny stosunek do kulinariów?

– Dobry wieczór, pilnie potrzebujemy lekarza. Moja córka włożyła na głowę instrument i naderwała sobie uszy. – Dominika rzuciła się na pielęgniarkę, trzymając Amelkę na ręce. Każdy jej ruch sprawiał, że tamburyn grał. Wszyscy zwrócili na nas uwagę. Ja rozważyłabym zgłoszenie małej do *Mam talent!*

– Moment – odpowiedziała niespiesznie pielęgniarka. Gdyby Dominika z nogą pod pachą przyszła, to może by ją ruszyło.

– Tu nie ma na co czekać! – Koleżanka dzwoniła dzieckiem.

– Tutaj jest numerek i proszę czekać, aż się wyświetli. Ma pani kolor zielony – stwierdziła pielęgniarka bez większych emocji. Pewnie nie takie tamburyny na głowach widziała.

– Jak to zielony? – zapytała Dominika.

– Bo nie ma zagrożenia życia, droga pani – wycedziła przez zęby kobieta.

– No jak nie ma?! – panikowała koleżanka, a ja obstawiałam, że kolor zielony jest przeznaczony dla pierdolniętych matek. Jeśli zaś chodzi o zagrożenie życia, to jeszcze chwila, a Dominika sama będzie musiała ustawić się w kolejce.

– Chodźmy, to szybko minie. – Wzięłam ją nerwowo pod rękę, bo inaczej zamęczyłaby tę biedną kobietę, i posadziłam razem z człowiekiem orkiestrą na krzeselkach. Sama zaczęłam krążyć wokół dla zabicia czasu. Miałam dość Dominiki, tamburynu oraz całej tej historii. Zadzwoiłam do Wojtka i powiedziałam, że trochę tu posiedzimy, bo co chwila do lekarza wchodził ktoś z poważnymi urazami, a nie my z naszą grającą trupą.

W pewnej chwili usłyszałam znajomy głos:

– Tato, zaczekaj. Nie tutaj. To szpital dla dzieci. – Jakaś kobieta ciągnęła starszego pana za rękę.

– Baśka? Co ty tu robisz? – zawołałam, gdy dostrzegłam, kto to.

– Dżoana? Dżizas, co za spotkanie! – Baśka rozejrzała się wokół.

– Ja przyszłam z tym girlsbandem. – Wskazałam na Dominikę z Amelką. Baśka parsknęła śmiechem. – No a ty? – zapytałam ponownie. Wiem, że w pewnym wieku więcej rozmawia się o chorobach niż o kochankach, ale spotkania w szpitalu nadal pozostają rzadkością.

– Przyjechałam z tatą. Pamiętasz go? Tato, to moja przyjaciółka, Joanna, a to mój tata, Stanisław. Tylko pomyliliśmy oddziały, jak mówiłam, tatusiu – powiedziała, spoglądając na niego wymownie.

Przywitałam się i, nauczona doświadczeniem, zmierzyłam go wzrokiem, wypatrując, z czym tutaj przybył.

– A co jest tatusiowi? – zapytałam po cichu.

– Właśnie o to chodzi, że nic, jak zwykle! Wczoraj rzekomo połknął tabletki nasenne. Najpierw przeczytał, jakie są skutki uboczne, i gdy rano się obudził, to oczywiście wszystkie u siebie zauważył. A to nie były żadne tabletki nasenne, tylko antykoncepcja dla psa, którą wziął przez pomyłkę! Tylko nie dał sobie tego wytłumaczyć!

– To chyba jeszcze lepsze niż ten tamburyn – ucieszyłam się jak dziecko. Nie tylko ja miałam sobotę z tak zwanej dupy.

– A tak w ogóle to co u ciebie? Dawno się nie widziałyśmy. Kiedy ty z tej Kolumbii wróciłaś? – zapytałam, bo za Baśką trudno było nadażyć. Była podróżującym po świecie wolnym elektronem. Co rusz znajdowała inne

źródła zarobkowania. Przez długi czas pracowała jako scenografka, ale postanowiła zrobić sobie przerwę. Na razie bez daty powrotnej.

– No już jakiś czas temu i na razie mam takie właśnie atrakcje. – Wskazała na Stanisława, który nerwowo przebierał nogami.

– Basieńko, chodźmy już – pospieszał moją przyjaciółkę.

– Idę, tatko. Dżoana, muszę iść, bo nie odpuści. Wystarczy, że lekarz przepisze mu rutinoscobin, momentalnie poczuje się lepiej. On po prostu kocha białe kitle. Koniecznie musimy się spotkać. Wszystkie razem. Zadzwoń do ciebie potem. Paaaaaa! – I pobiegła. Cała ona. Wiecznie w pośpiechu na różnych szerokościach geograficznych.

Wróciłam do swojego girlsbandu. Po wielogodzinnych oczekiwaniach Dominika dostała się do lekarza. Dzięki fachowej pomocy magików od spraw niemożliwych głowa Amelki została uwolniona od tamburynu, uszy opatrzone i można było jechać do domu.

Byłam potwornie zmęczona. Panowie, o dziwo, stanęli na wysokości zadania. Dzieci spały, a na stole czekała gorąca kolacja. Było jednak już tak późno, że nasi znajomi postanowili pojechać do siebie. Nie powiem, że bym jakoś specjalnie ich zatrzymywała.

Usiadłam na chwilę na kanapie i nalałam sobie wina, nie udało mi się go jednak wypić. Czy tak ma wyglądać życie, że ciągle dzieje się coś niezapowiedzianego? Moje oczy uznały, że pójdą spać, nie konsultując tego ze mną.

W niedzielę na wszelki wypadek wyłączyłam telefon. Jeszcze ktoś zechce nas odwiedzić. Mimo wolnego dnia miałam już syndrom poniedziałku. Gonitwa myśli, przygotowanie dzieci do lekcji, i w ten oto magiczny sposób kolejny weekend przeleciał jak dzisiejszy obiad przez jelita.

Rozdział 2

Baśka zadzwoniła parę dni później, tak jak obiecała. Akurat byłam już po pracy i spędzałam czas w domu na swoim ulubionym zajęciu, czyli gotowaniu. Takie chwile powinno się uwieczniać na zdjęciach. Od mrożonek moje dzieci były już lekko... jak by to powiedzieć... sztywne. Grunt, że mimo wszystko żywe.

– Cześć, Dżoana, no i jak tam? – zapytała Baśka.

– Wspaniale, czochram boba – wyjaśniłam.

– Co? O tej porze? Przy dzieciach? – Moja przyjaciółka była lekko skonsternowana.

– A czy to zła pora na robienie synowi zdrowej przekąski z małych zielonych bobków? To jedna z dziesięciu rzeczy, które konsumuje. Odkryłam ją niedawno i teraz codziennie je to samo – wytłumaczyłam, bo co ona mogła wiedzieć o dziecięcych niejadkach.

– Aaaa, boba! Chyba musiałam cię źle zrozumieć – odparła.

– No wiesz, głodnemu chleb na myśli – wypaliłam. – Jak się skończył wasz pobyt w szpitalu?

– Sukcesem. Znaczący się doktor na moją wręcz błagalną prośbę przepisał tatkowi jakieś kapsułki bez recepty. Inaczej ojciec by go zamęczył. Wieczorem je połknął i był jak młody bóg.

– To może następnym razem to zaaranżujemy? Ja mogę się przebrać w biały kitel i zostać siostrą wielokrotnie przełożoną.

– Daj spokój, ojczulek mnie wykończy. Ale do rzeczy. Kiedy się widzimy? Myślisz, że uda się zorganizować spotkanie we cztery w ten weekend?

– Biorąc pod uwagę, że zazwyczaj jest to *mission impossible*, myślę, że tak – powiedziałam przekornie. Uwielbiam robić rzeczy niemożliwe.

– To trzeba narzucić z góry. Sobota, dwudziesta, u mnie. Inaczej samą datę będziemy ustalać do pogrzebu pierwszej z nas. – Tu miała rację. Nie ma nic gorszego jak dać wybór czterem babom.

– Okej, to ja dzwonię do Lucy, a ty do Mańki, dobra? – podzieliłam zadania.

– Dobra. Czochraj dalej boba i jesteśmy w kontakcie, paaaa – odpowiedziała Baśka i się rozłączyła.

Do kuchni wszedł Piotruś.

– Mamo, coś się przypala.

Spojrzałam do garnka, w którym nie było już wody – zielone okrągłości przybrały kolor brązowy.

– O masz, woda się wygotowała. – Spojrzałam nieporadnie na syna. – Z ciocią Basią się zagadałam.

– Nie przejmuj się, nie we wszystkim trzeba być dobrym – pocieszył mnie moimi słowami, które powtarzam, gdy coś mu nie wyjdzie. – To może zamówimy pizzę? – Już próbował nakłonić mnie do drogi na skróty i nawet zaczęłam się wahać.

– Nie, kochanie, ugotuję nowy. Przecież tak ci smakuje. – Uśmiechnęłam się, całując go czule w czoło. Rzadko już sobie na to pozwala, a ja lubię łapać te momenty.

– Mamuś. – Tym razem do kuchni weszła Kasia. Ile razy dziennie można słyszeć słowo „mama” w różnych formach?

– Tak, córeczko?

– Kto mnie zawozi na niemiecki?

– O cholera, przecież to dzisiaj. – Spojrzałam na zegarek i jak na zawołanie do domu wszedł Wojtek.

– Cześć, kochanie – przywitałam go. – Tatuś cię zawiezie – odpowiedziałam córce radośnie.

– Ale ja dopiero wszedłem do domu – zaczął się bronić mężu.

– A ja, jak widzisz, leżę i pachnę w kozim mleku, i okładam się płatkami róż – powiedziałam złośliwie znad garów.

– I jeszcze jedno – wtrąciła Kasia. – Potrzebuję na jutro do szkoły drut.

– Matko z córką, jaki drut? – zdziwiłam się.

– A nie wiem, pan nie mówił. Jakiś. – „Jakiś” było doskonałym kołem ratunkowym dla rodzica. Nie mogliby kanapek w szkole robić jak za naszych czasów? Do tego przynajmniej byłam przygotowana.

– Więc, jak słyszysz, kochanie, ja jeszcze będę musiała szukać drutu – powiedziałam do Wojtka lekko obrażona. – No ale pan chyba powiedział coś więcej o nim? – dopytywałam córki.

– Tak, że ma być metrowy.

– A widzisz, czyli jednak długość ma znaczenie – rzucił Wojtek filuternie. Spojrzałam na niego złowieszczo.

– Jeśli spóźnicie się na niemiecki, mój wku... moja złość to dopiero będzie znacząca – zachnęłam się. Każdego dnia łudzę się, że będzie mniej do zrobienia, że już jest wszystko niby ogarnięte, pod kontrolą, to dochodzi jakiś pieprzony drut.

– Kasia, zbieraj się, bo nie chcę podpaść mamie – powiedział z uśmiechem Wojtek. Niełatwo ze mną wytrzymać. Z drugiej strony adrenalina zapewniona do końca życia.

Gdy połowa rodziny pojechała na niemiecki, zadzwoniłam do Lucy. Ona zapewne знаła więcej szczegółów dotyczących tajemniczego przedmiotu na technikę.

– Cześć, Lucy. Wiesz może coś więcej na temat tego nieszczęsnego drutu na technikę?

– Ma mieć metr.

– Tyle to i ja wiem. No dobra, wyruszam na poszukiwania. Nadchodzi taki przyjemny wieczór, akurat na tracenie czasu i jeżdżenie po sklepach za jakimś prętem...

– Zaczekaj, my mamy, bo kupiłam więcej na wszelki wypadek.

– Powiedz, że nie na wszelki wypadek, tylko wiedziałas, że u nas będzie szukanie na ostatnią chwilę.

– No przecież mówię, że na wszelki wypadek zwany Joanną – powiedziała Lucy z uśmiechem.

– Kocham cię! – wyznałam spontanicznie.

– Nie ma za co.

– A tak w ogóle to dzwoniła Baśka i chcemy się wszystkie spotkać w sobotę o dwudziestą. Ja wiem, że ciężko będzie to ustawić, bo u którejś zawsze coś. I że obowiązki, dzieci, psy, koty, chomiki, przeszczep wątroby, przylot UFO, liposukcja, lobotomia, kolonoskopia.

– Mogę – przerwała mój wywód Lucy.

– Przepraszam, że co? – dopytałam, bo zaskoczyła mnie jak zima drogowców.

– Mogę, Marcin zostanie z Rosą. Wyjątkowo nigdzie w ten weekend służbowo nie wyjeżdża, więc spędzą sobie czas we dwoje – dokończyła.

– Wspaniale! – krzyknęłam euforycznie. – Dobra, to ja szybko potwierdzę Baśce i dam znać. I nie zapomnij o tym drucie – przypomniałam.

Perspektywa inna niż ślęczenie nad lekcjami napawała mnie optymizmem. Zwłaszcza że nieczęsto zdarzały się takie okazje, żeby spotkać się we cztery i chociaż na chwilę uciec od tego całego kieratu.

Postanowiłam podzielić się tą radością z Mańką i zadzwoniłam do niej następnego dnia, jadąc do pracy.

– Maniunia?

– Asiunia?

– Jesteś gotowa na jutrzejsze bara-bara? Mam nadzieję, że dzwoniła do ciebie Baśka?

– Tak, ja oczywiście bardzo chętnie, tylko...

- Tylko co? Błagam cię...
- Tylko mam problem z dziećmi.
- Stara, ja mam problem, odkąd je urodziłam. Ale żyć jakoś trzeba – drwiłam.
- Ich ojciec miał je zabrać na weekend, ale się rozchorował i dupa blada.
- Zaraz, zaraz, czyżby był chory jak każdy facet, czyli nic mu nie jest, ale robi dramę i każe kolor urny wybierać?
- Tym razem na poważnie, nawet ma zaświadczenie od dochtura, że nabawił się zapalenia oskrzeli.
- Jebaniutki, ten się potrafi ustawić. Na pewno sobie wyliczył, żeby chorować, kiedy ma zostać z dziećmi.
- Trzeba mu tym razem oddać, że kaszel ma poważny i oddech płytki.
- Jaki oddech, taki mózg...
- Oj nie bądź już dla niego taka sroga.

Mimo całej sytuacji Mańka ze swoją wrodzoną dobrocią starała się być obiektywna, a nawet wyrozumiała w stosunku do Roberta. Szkoda tylko, że on lubił uprawiać stosunki pozamałżeńskie. Więc ja byłam na niego cięta za Mańkę.

- Dobra, bo się zaraz nakręcę. Wciąż mam na niego długie zęby.
- W twoim przypadku chyba nos.
- Chyba już wystarczy tych wzajemnych uprzejmości. Wracając do meritum: jak synus chory, to może niech teściowa przejmie przyległości? Na pewno stęskniła się za bąbelkami.

Mańka zastanowiła się przez chwilę.

- Ty to masz łeb. Tak zrobimy. Zadzwońię do niej i zapytam, a w zasadzie obwieszczę.
- Powiedz, że tym razem nie zamknę jej na balkonie na parę godzin jak w wakacje.
- Tego akurat nie mogę obiecać. Nie wiem, co potworom strzeli do głowy. Jedno jest pewne: na moje dzieci zawsze można liczyć, że odwalą

jakąś manianę – stwierdziła Mańka.

Nawet gdyby podjęły próbę zdetonowania babci po raz wtóry, ona będzie już spędzać przyjemny wieczór z przyjaciółkami i zapewne tak się akurat złoży, że rozładuje jej się telefon.

Pod koniec dnia zadzwoniła Baśka, żeby potwierdzić nasz jutrzejszy plan. Nie mogłam się już doczekać.

– Kotek, przypominam ci, że dzisiaj wieczorem idę się spotkać z dziewczynami – zapowiedziałam Wojtkowi w sobotę rano, na wypadek gdyby czeluść jego ośrodka percepcji tego nie wylapała. Zrobiłam to głośno i wyraźnie, żeby przykuć jego uwagę. Nie tak dawno opowiadał mi o koledze z pracy, który był na wakacjach w Egipcie. Gdy się z nim spotkaliśmy, spytałam, jak było, a on na to, że wcale nie był w Egipcie, tylko miał rękę w gipsie. Czytałam, że po czterdziestce psuje się wzrok, ale nie myślałam, że również słuch.

– Tak, wiem, pamiętam. – Wymusiłam na nim to zeznanie.

Ta sobota niewiele różniła się od poprzedniej. Szybkie zakupy, włączenie samojezdnego odkurzacza, który niby sprząta, ale jednak wszystko trzeba przedtem podnieść z podłogi, żeby nie zezarł. O kant dupy potłuc takie porządki. To trochę jak mierzenie długości penisa wraz z kręgosłupem, czyli iluzja.

Przechodząc „spacerem” przez mieszkanie, podniosłam niezliczoną ilość skarpetek, porozrzucanych bluz, zgarnęłam stare rachunki z półek, zasłałam łóżko. A mężu w tym czasie... siedział w toalecie z komórką, na zmianę czytając gazetę. Faceci mają jednak zupełnie inny multitasking niż kobiety.

W końcu nadeszła tak zwana wolna chwila i poszliśmy z dziećmi na lody. Wiedząc, że wychodzę wieczorem, oszczędzałam siły. Udaliśmy się zatem do najbliższej lodziarni, za rogiem naszego bloku. To nie te czasy, że człowiek ma nie wiadomo ile energii. Kiedyś szaleństwem było balowanie

do białego rana, a teraz jest nim obejrzenie pierwszych dziesięciu minut filmu bez zasypiania.

Po powrocie uznałam, że się na chwilę zgubię w mieszkaniu, i po angielsku wymknęłam się do sypialni. Że niby muszę sprawdzić, czy materac nie stał się zbyt miękki. Nie wiedzieć kiedy odpłynęłam, o co w moim przypadku jest niesłychanie trudno.

– Mamo, mammo – usłyszałam nagle cichy głos Kasi. Zerwałam się na równe nogi niczym gotowy do boju żołnierz.

– Co tam, kochanie? – próbowałam jakoś zatuszować drzemkę, jakby to był powód do wstydu. Powszechnie przecież wiadomo, że matki nie śpią, tylko czekają z zamkniętymi oczami na kolejny dzień.

– Jakoś mi niedobrze – powiedziała.

– Ojej. – Wymówiłam to słowo w taki sposób, aby nie było słyhać, że rewelacje córki nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Ile ja się już w życiu nasłuchiwałam tych banialuk. Przy dwójce dzieci jedynie hospitalizacja, i to dłuższa niż na dwie noce, mogła mnie zafrapować. Rzeczywiście jednak Kasia była blada.

– To może zaparzę ci miętę? – zapytałam, tym razem troskliwie. Przecież nie mogę być ciągle taką nieczułą jędzą.

– No, możesz – uznało dziecię.

Poszłam do kuchni i spojrzałam na wiszący na ścianie zegar – była osiemnasta. Oznaczało to, że powoli muszę zacząć się szykować do wyjścia.

– Kotek? – usłyszałam z salonu głos Wojtka. Jego tembr wskazywał, że nie tryska radością, ba, nawet nie średnim entuzjazmem.

– Tak? – Tu już musiałam się postarać, żeby zabrzmieć miło.

– Jakoś źle się czuję.

Nie, on tego nie powiedział, przesłyszałam się. A jak mówił, to zapewne nie do mnie. Do siebie gada, stary już jest przecież!

– Czy wyście się zgadali? – rzuciłam w przestrzeń, żeby usłyszał i on, i Kasia.

– Mamo, muszę do toalety – krzyknęła córka i w zawrotnym tempie pobiegła w stronę łazienki.

Przeszłam do salonu, żeby skonfrontować się osobiście z utyskującym mężem.

– Wojtek? Co jest grane? Ty tak serio?

– No. Niedobrze mi i brzuch mnie boli.

– Kaśkę też. Czy to jest próba zatrzymania mnie w domu? Jeśli tak, po prostu powiedz, że mam nie iść. Mnie jakoś nic nie dolega.

Byłam już tak zdesperowana, że nawet gdybym miała mieć teraz operację na otwartym sercu bez znieczulenia, to i tak bym wstała i poszła na to spotkanie.

– Ja chyba wiem, o co chodzi. – Wojtek coś podejrzewał. Widziałam, że nie jest dobrze. – O lodzika.

– Stary, naprawdę? Darowałbyś sobie: środek dnia, dzieci w domu, a ty mi dwuznaczne propozycje składasz?

– Lody, te, które jedliśmy, ja i Kasia.

Tu mi się zaczęły puzzle układać. Wolno, bo wolno, ale czego oczekiwać. Procesor już nie jest najnowszej generacji. Nie przepadam za lodami, podobnie jak mój syn, więc my ich nie konsumowaliśmy.

– Ja pierdolę. – Nie wytrzymałam, bo oczami wyobraźni widziałam zamiast przyjaciółek kolorowe pawie rozbryzgane w łazience.

To się nazywa złośliwość rzeczy żywych. Zasada numer jeden matki: nigdy niczego nie planuj, bo zazwyczaj nie wyjdzie.

Z łazienki wróciła Kasia. Było mi jej naprawdę żal. Po dzieciaku od razu widać, że coś jest nie tak. Powiedziałam, żeby położyła się obok taty na kanapie. Jak będą rzygać, to przynajmniej w jednym miejscu. Przykryłam obydwójce kocem i usiadłam obok.

– Zaczekajcie, zaraz coś wymyślę. Na zatrucia to chyba smecta najlepsza.

Ponownie spojrzałam na zegarek. Niedługo powinnam być u dziewczyn, ale zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się dotrzeć. Przecież nie mogłam zostawić tak Kasi i Wojtka. Zadzwoiłam do Lucy, żeby się pożalić

i upewnić, jak im pomóc. Nadworna hipochondryczka zapewne ma sposób na wszystkie dolegliwości świata.

– Kochana, no i tyle z mojego wyjścia. Mam w domu bliskie spotkanie ze sztuką ludową. Kasia i Wojtek haftują lepiej niż hafciarki z Koniakowa.

– Co? Wojtek się do jakiegoś koła zapisał?

– Jakiego koła? Rzygają jak koty. Wygląda na to, że zatruli się lodami.

– A, rozumiem – odpowiedziała przyjaciółka.

– Więc wiesz, nie zostawię ich. Nie będę mogła przyjechać. – W moim głosie słychać było głęboki smutek.

– Zaczekaj. Na zatrucia najlepsza jest smecta. Zaaplikuj im, to ich trochę przystopuje. Muszą pić dużo wody. Zobacz, już siódma. Niech położą się wcześniej spać. Sen to najlepsze lekarstwo.

Lucy miała już opracowany plan kryzysowy. Zawsze jest przy tym opanowana, co czasami doprowadza mnie do szału. Teraz jednak potrzebowałam jej zimnej krwi. Podziękowałam za rady i powiedziałam, że się odezwę.

Wykonałam zalecenia domorosłej pani doktor i już nawet przestałam patrzeć na zegarek, gdy usłyszałam:

– Kotek, a dlaczego ty się nie zbierasz?

– Przecież was nie zostawię.

– A co, my jacyś niesprawni jesteśmy?

– No jakby, dziwię się, że ty jeszcze o karawan nie wołasz.

– Przynies tylko miski i leć – powiedział z uśmiechem.

Nie byłam w nastroju do żartów, bo cierpię na emetofobię, czyli lęk przed wymiotowaniem i osobami wymiotującymi. Na samą myśl robi mi się słabo.

– Mamuś, jak leżę, to mi lepiej – zapewniała Kasia. – Będziemy sobie z tatą oglądać filmy. Jedź do tych swoich psiapsi.

Do pokoju wszedł Piotruś.

– O, co robicie? Mogę z wami? – Wskoczył na obszerną rogówkę. Spojrzałam na całą trójkę i sierściucha, który wtulił się między nich. I ja mam teraz wyjść? Ten widok bardzo mnie rozczulił.

– Leć, kochanie, poradzimy sobie – obiecał mężu. – Nie ma tragedii. Tylko wyjdź jeszcze z psem, żeby nie musiał wstawać.

W tej chwili usłyszałam sygnał przychodzącego ememesa. To była Mańka z dziewczynami. Pod zdjęciem widniał napis: „Czekamy na ciebie”. Moja decyzyjność była na poziomie znajomości języka mandaryńskiego, czyli zerowym. „Raz kozie, a w zasadzie kozicy, śmierć” – pomyślałam. Zabrałam psa na spacer, a po powrocie narzuciłam na siebie pierwszy lepszy sweter i szybko zamówiłam taksówkę, żeby się nie rozmyślić.

– Na pewno dacie sobie radę? – zapytałam, stojąc już w kurtce.

– Na pewno. Baw się dobrze.

Dałam każdemu po buziaku i wybiegłam z mieszkania jak nastoletnia fryga.

Rozdział 3

– Dzoanaaaa – przywitała mnie Baśka wylewnie. W jej niewielkim i dość mocno zagraconym mieszkanku były już pozostałe dziewczyny.

– Dzidy moje kochane – krzyknęłam znienacka niczym sprzedawca popcornu na plaży we Władku. Zazwyczaj przy nowych ludziach nie jestem taka hop do przodu. Tutaj jednak zdecydowanie mogłam być sobą.

Rozejrzałam się wokół. Moja przyjaciółka uprawia zbieractwo. Można znaleźć u niej to, co inni wyrzucają do kosza. Kiedyś nazwałabym ją kloszardem, ale teraz ładniej powiedzieć, że jest eko. Pijarowo lepiej to brzmi. Lubi też wyciągnąć z przysklepowego śmietnika kapustkę albo inną marchewkę.

– Myślisz, że znajdzie się miejsce, żebyś mogła gdzieś klapnąć? – zapytałam z pewną obawą i wrodzonym sarkazmem. Ostatnio, gdy u niej byłam, prawie spadł mi obraz na kolana. A ja wcale nie chciałam mieć bliskiego spotkania ze sztuką.

– Nie rób scen – ustawiła mnie do pionu Baśka.

– Asiunia – zawołała Mańka. – Słyszałam, że miałaś jakieś historie przed wyjściem?

– Tak, rodzinka postanowiła mnie trochę przetrzymać w domu, fundując kolorowe hafty.

– No właśnie, lepiej już się czują? – zapytała z troską Lucy. Spojrzałam na nią – jak zwykle była perfekcyjnie ubrana. Powinna pracować u Gucciego! A ja co najwyżej w domu odzieżowym Pętelka w Kartuzach.

– Skoro nie dzwonią, zakładam, że wszystko w porządku. Po tylu latach macierzyństwa i małżeństwa wychodzę z założenia, że im mniej wiem,

tym jestem spokojniejsza. Jak wrócę, to po kolorze ścian poznam, jak było.

Baśka zaczęła przygotowywać jakieś jedzenie. Z tego wszystkiego nie zdążyłam nic przegryźć przed wyjściem, a gusta kulinarne moje i Barbary, mówiąc łagodnie, troszkę się rozminiają.

– Zaraz będzie żarełko – oznajmiła zadowolona.

Z niepokojem patrzyłam na to, co serwuje. Jestem nieodzowną matką swojego syna niejadka. Dla mnie mogą istnieć tylko ziemniaki, pieczywo oraz wędlina bez żyłek.

Baśka mieszała coś w rondlu i po chwili powiedziała z satysfakcją niczym szef kuchni knajpy z pięcioma gwiazdkami Miszele:

– Dziewczyny, przygotowałam wegetariańskie curry z cukinią. Siadajcie.

Gorzej być nie mogło. Nienawidzę curry i hinduskiej kuchni, a jedyne, co mnie łączy z Indiami, to koszulki z sieciówki.

– Ja dziękuję, wiesz, że nie przepadam za takim jedzeniem – wypaliłam prosto z mostu. Aczkolwiek stwierdzenie „nie przepadam” było zdecydowanie eufemizmem. Jak można jeść coś z tym żółtym śmierdzącym ohydztwem? Ponadto konsystencją przypomina mi to „rigoletto” mojej rodziny.

– Dżoana, przepraszam, myślałam, że nie lubisz tajskiej kuchni – tłumaczyła się Baśka.

– Tajskiej też, ale spoko, nie jestem aż tak głodna – skłamałam, żeby nie zrobić jej przykrości. To nic, że miałam w planie iść do łazienki i poobgryzać paznokcie do łokci, żeby zapełnić czymś żołądek. – A może jakąś bułeczkę masz? – próbowałam walczyć o swoje jestestwo.

– Nie, wiesz, że nie jem pieczywa.

Makao i po makale. Zostało mi intensywne przetykanie śliny. Rozejrzałam się po kuchni. Leżało trochę warzyw, które, jak obstawiałam, Baśka złowiła na zapleczu pobliskiego warzywniaka i postanowiła dać im trzecie życie. Lodówka świeciła pustkami. Gdybym nie miała dzieci, moja zapewne wyglądałaby podobnie.

Lucy zajadała z ogromną przyjemnością. Ach ta nasza lwica salonowa. Bywała z mężem na rautach, to i człowiek bardziej światowy. Mańka spojrzała na mnie ze współczuciem i szepnęła mi do ucha:

– Asiunia, następnym razem weźmiemy ze sobą kabanosiki. Ja też średnio lubię te wynalazki, ale jakoś dam radę – chciała podnieść mnie na duchu.

– Co tam gadacie, dziewczynki? – zapytała Baśka.

– Że chyba winka trzeba polać – powiedziałam z radością. Jak się nie najem, to się chociaż napiję. Przyniosłam wskazaną przez Baśkę butelkę i kieliszki. Otworzyłam i nalałam każdej po trochu, po czym wzięłam do ręki szkło. – Dzideczki, napijmy się za to spotkanie – zaproponowałam. – Cud, że jesteśmy wszystkie. O mały włos by się nie udało.

– Chyba o mały paw – sprostowała Mańka. Kocham ten nasz czarny humor.

Wytrawne wino powoli przepływało przez moje gardło. Było mi lepiej niż dobrze.

Po posiłku Baśka pozbierała talerze i wszystkie rozsiadłyśmy się jak leciwe matrony. Rozkloszowana spódnica Lucy zajęła połowę niewielkiej kanapy. Mnie udało się upolować całkiem wygodny fotel i cieszyłam się, że nie muszę go dzielić z jej garderobą.

– Dobra, dziewczyny, trochę się nie widziałyśmy – zaczęłam – więc rozpoczynam temat z cyklu „Co w pochwie piszczycy”. Bez lukrowania i rzygania tęczę.

– Czyli tak jak lubię – ucieszyła się Mańka. – To ja mogę zacząć. U mnie wszystko po staremu. Stare cycki, stary tyłek, no i stara praca.

– Nie znam nikogo, kto by pracował w jednym miejscu trzydzieści lat. – Zrobiłam minę do Mańki.

– Moja babcia pracowała kiedyś tak długo w jednym zakładzie – przypomniała sobie Lucy. – Była szwaczką. Wyobraźcie sobie, że znaleźli ją pewnego dnia z głową opartą o maszynę. Myśleli, że śpi, a ona po prostu umarła.

– Dzięki, Lucy. To było bardzo pokrzepiające. Ja po prostu lubię stabilizację – stwierdziła Mańka.

– Ona też lubiła – dodała filozoficznie Lucyna.

– A mnie urosła dupa – powiedziała nagle Baśka, przechodząc od tematu pracy do rozmów o cielesności. Spojrzałyśmy wszystkie na nią, a właściwie na jej cztery litery.

– Co ty mówisz? Nic nie widać – skwitowała Lucy, mierząc ją wzrokiem.

– To przestań jeść – powiedziałam zero-jedynkowo. U mnie zawsze można liczyć na szczerść zamiast dyplomatycznych rozważań.

– Odkąd wróciłam z Kolumbii, przesiaduję przez większość czasu u tatusia. Nudzi mu się, jest sam, więc co rusz coś gotuje. Nawet curry nauczył się robić. Głupio mi odmawiać – wyjaśniła. – A odchudzam się między posiłkami.

– To dokładnie tak jak ja. Też między nimi nic nie jem – ucieszyła się Mańka. – Tylko efekt jakby marny. – Wskazała na siebie.

Spojrzałam na Baškę.

– Ale biegasz z tatą po lekarzach. Zawsze to jakiś sport – pocieszyłam ją, bo przypomniało mi się nasze spotkanie w szpitalu.

– O tak, tatulek co chwila wymyśla jakieś nowe nieistniejące choroby.

– To tak jak mój eks – przypomniała Mańka. – Ale muszę przyznać, że trochę się naprawił. Już go nie boli codziennie, tylko co dwa dni. I zaczął się w końcu wykazywać jako ojciec.

– A właśnie, jak tam z Pawłem? – zapytała Lucy.

– Bez szału. Spotykamy się, ale to wszystko jest takie skomplikowane. Kiedy ja jestem bez dzieci, to zazwyczaj on ma pod opieką swoje. Jakby dwoje było mi mało – narzekała. – Nawet nie ma kiedy i gdzie się porządnie bzyknąć, a na wycieranie tyłka na tylnym siedzeniu samochodu chyba już jestem za stara.

– A ja z chęcią bym powycierała z kimś tyłek – powiedziała zamyślona Baśka. – U mnie klęska żywiołowa.

– To znaczy?

– Susza, posucha, wręcz Sahara, z francuskiego la susz. Pamiętacie tego faceta, którego poznałam w samolocie z Kolumbii do Polski? Mówiłam, że taki fajny, rokujący.

– Serio „la susz” z francuskiego? – palnęła Lucy. Czasem się zastanawiam, czy ona nie ma jakichś niedoborów intelektualnych.

– Pamiętam. – Przypomniało mi się, jak o nim pisała w mailach.

– To wyobraźcie sobie, że koleś miał jakieś dziwne akcje, bo wyczuwał fale wi-fi.

– Że co, przepraszam? – zdziwiła się Lucy.

– Z kosmitą się spotykałaś? – zadrwiłam.

– Naprawdę wyczuwał te fale. Kiedyś umówiliśmy się u niego, a tam cały pokój wyklejony folią aluminiową. Nawet nie wiecie, jak szybko stamtąd uciekałam. – Baśka kręciła głową z niedowierzaniem. – Już się pogodziłam, że zostanę na starość z kotem.

– Jeśli z tobą wytrzyma – powiedziałam zadziornie i dostałam w głowę poduszką.

– Lucy, a co u ciebie? – zapytała Baśka.

– Ogarniam naszą rzeczywistość i Rosę. Jestem po prostu ekskluzywną panią domu – powiedziała zgodnie z prawdą, ale w jej głosie słychać było jakiś smutek.

Nigdy nie rozumiałam, jak można spędzać czas wyłącznie w domu, nie mając żadnych obowiązków zawodowych. No chyba że chodzenie na manify da się pod to podciągnąć. Ostatnio Lucy próbowała wyciągnąć mnie na protest, na którym żądali większego dostępu mchu do światła. On zawsze taki w cieniu. Tylko ona mogła coś takiego wynaleźć.

– A ty, Dżoana? – Baśka zlustrowała mnie wzrokiem. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Ja? – Ocknęłam się dopiero po chwili, bo ilość wypitego wina robiła już swoje. Nadszedł moment, że albo zacznę tańczyć na stole, albo pójdę spać. – Wiecie, jak jest: dzieci, dom, praca, po prostu życie – tłumaczyłam się sama przed sobą.

– W twoim przypadku praca do upadłego, co? – domyśliła się Mańka. – Niech zgadnę. Pewnie zaraz zaczynasz jakiś nowy projekt? – Doskonale mnie zna. Wie, że nie potrafię zwolnić, a potem padam na twarz ze zmęczenia.

– Dokładnie. Moja szefowa wspominała, że szykuje się coś ekstra – powiedziałam euforycznie i momentalnie nabrałam energii.

– No właśnie, a potem do mnie dzwonicz i mówisz, że nie wyrabiasz na zakrętach i ciągle o czymś zapominasz – wydała mnie Mańka.

– A pamiętasz, jak zapomniałaś dowodu i nie chcieli puścić z tobą Piotrka ze świetlicy? – przypomniała Lucy. – Zrobiłaś taki raban, że policji o mały włos nie wezwali. – Zaczęła się śmiać.

– Asiunia to nasza urodzona dyplomatka – powiedziała Mańka. – Kiedyś na imprezie usilnie chciała dostać się do innego klubu. Zamówiliśmy taksówkę, ale oczywiście nie znała ani nazwy tego miejsca, ani adresu. W pijackim bełkocie tłumaczyła coś panu, pokazując palcem ulice. Niestety po godzinie jeżdżenia nie trafiłyśmy do celu. Aśka była tak zła, że zadzwoniła do korporacji i kazała im zwolnić taksówkarza, który jej zdaniem był niekompetentny, bo nie wiedział, dokąd ma jechać. Myślałam, że się pod ziemię ze wstydu zapadnę. – Mańka zanosila się śmiechem.

– Dajcie spokój. Jedyne, co mi można zarzucić, to koc na plecy – próbowałam się bronić. – Może rzeczywiście subtelność nie jest mi bliska – przyznałam w końcu samokrytycznie, uśmiechając się.

– Można by zaryzykować stwierdzenie, że ona nawet obok ciebie nie stała – dodała z przekąsem Lucy.

– Nie każdy rodzi się damą jak ty – odparowałam.

– Damy albo nie damy, a jak nie damy, to się nie bawimy – oznajmiła Baśka wesoło, przerywając sąd nad moją skromną osobą.

– A wracając do twojego pytania: tak, jestem zajebiście zmęczona, wszystko mnie irytuje i mam dość – powiedziałam, dolewając sobie wina.

– Kochanieńka, jak już trzymasz butelkę, to i mnie wyrównaj poziom płynu w kieliszku, pomoże na zszargane nerwy. – Mańka podstawiała swoją

lampkę.

– Pamiętacie, jak byłyśmy małymi dziewczynkami i bawiłyśmy się w dom? – Lucy zebrало się na wspominki.

– Tak, układałam do snu lalki i je karmiłam. Nie płakały, nie pyskowały, nie wstawały rano – dodałam rzewnie.

– Nie roznosiły skarpetek po pokojach, jadły wszystko, co udało im się wepchnąć do paszczy, nie puszczały śmierdzących męskich bąków – rozkręciła się Mańka.

– Kto ma dzieci, w cyrku się nie śmieje – błysnęła Lucy.

– I tatusia hipochondryka – wtrąciła Baśka. – Nawet z tymi bąkami się zgadza – zaczęła się śmiać.

– A może by tak wszystko rzucić i wyjechać w Bieszczady? – rozmarzyła się Mańka.

– Pierdolenie o Szopenie. Takie teksty wymyśla ktoś, kto tylko leży i pachnie, a jego jedynym obowiązkiem jest pilnowanie, żeby nie zrobiły się grudki w budyniu. – Zirytowałam się chyba dlatego, że w głębi duszy wyjazd w góry byłby dla mnie idealnym rozwiązaniem. Mogłabym trochę popuścić – gumkę oczywiście.

– Dziewczyny, poczekajcie, to świetny pomysł. – Baśka aż wstała z wrażenia.

– Tak, słuszna koncepcja – wtórowała jej już dość rzeźącym głosem Lucy. Spojrzałam na Mańkę.

– Gdybym byłam młodsza – Matko Bosko Fluorescencyjna, czy ja to właśnie powiedziałam? – tobym spakowała do torby gacie i nie zastanawiała się ani chwili, ale teraz...

– Dżoana, Mańka, zrobmy sobie babski wypad. Przecież świat się nie zawali przez te parę dni. – Baśka zwróciła się do nas dwóch, bo dostrzegła na naszych twarzach cień wątpliwości.

– To nie jest takie proste – zawahała się Mańka.

– A co jest w życiu proste? – przerwała jej Baśka dosadnie. To prawda. Nawet mój nos jest krzywy. – Baby, to tylko pięć dni. Odpoczniemy od

wszystkiego. Czy nic nam się od życia nie należy?

Te słowa naprawdę mnie poruszyły. Zazwyczaj są obowiązki, potem długo, długo nic i na końcu ja.

– Ależ należy, oczywiście – wtórowała jej niczym chór grecki mocno wstawiona Lucy.

Zaczęłam się na poważnie zastanawiać. Baśka ma rację. W końcu to tylko parę dni, a ja się zachowuję, jakby świat miał się skończyć.

Moje rozkminki przerwał telefon Mańki. To byli jej chłopcy.

– A dlaczego wy jeszcze nie śpicie? – zapytała na wstępie, po czym wysłuchała jakiejś długiej przemowy.

– Ale jest już bardzo późno i skoro babcia mówi, że macie iść spać, to musicie jej posłuchać.

Po drugiej stronie padały pewnie argumenty nie do obalenia.

– I absolutnie się z nią zgadzam. O tej porze już się nie je czwartej kolacji – odpowiedziała Mańka ze spokojem.

Dyskusja trwała jednak dalej.

– Bez jedzenia nie będziecie mieć siły umyć zębów? To ja nie będę miała siły, żeby w poniedziałek dać wam kieszonkowe! Będzie mi niezmiernie ciężko sięgnąć do portfela. Szorować i spać, i to natychmiast! – Tym razem była już zdecydowanie bardziej stanowcza.

Automatycznie spojrzałam na swój telefon. Żadnej wiadomości. Wysłałam szybciutko esemesa do Wojtka z pytaniem, co słyhać. Brak odpowiedzi uznałam za fakt, że zapewne już śpią.

– Wiecie co, dziewczyny, ja jednak z wielką chęcią gdzieś pojedę, mogą być Bieszczady, Koluszki, a nawet Węgry! – Mańka odłożyła telefon z impetem. Nie byłam pewna, czy emocje są najlepszym doradcą.

– Węgry? Co to za pomysł? – Obudził się we mnie instynkt organizatorki i zarządczki.

– A nie wiem – przyznała Mańka. – Tak mi się przypomniało, jak kiedyś za dzieciaka byliśmy z rodzicami małym fiatem w Budapeszcie. Pamiętam, że było tak pięknie – rozmarzyła się.

– To ja zaraz czegoś poszukam – powiedziała niezbyt wyraźnie Lucy i zanurkowała w ekran telefonu.

– Od tej pory, Maniuniu, świat się trochę zmienił i można podróżować wszędzie, nie tylko małym fiatem. – Czułam się w obowiązku ją uświadomić.

– Przepraszam, jakim fiatem? – Lucy poderwała głowę znad telefonu.

– Fiatem, kochanie, chociaż tym drugim również niezłe podróże się zdarzają – powiedziała Baśka. – Słuchajcie, ten Budapeszt to w zasadzie świetny pomysł. Są tam wspaniałe łaźnie, pyszne żarcie, no i piękni faceci.

Wiedziałam, że zostałam przegłosowana. Był to jeden z niewielu momentów w moim życiu, gdy ktoś właściwie podjął decyzję za mnie.

– Asiunia, zobacz, nawet ja jestem spontaniczna. – Mańka podeszła do mnie, widząc, że się waham. W mojej głowie zachodziły procesy. Może i bezobjawowo, ale wbrew pozorom tam naprawdę coś się działo.

– Wiecie co? – wydusiłam z siebie.

– No? – zapytała z ciekawością Baśka, a pozostałe dwie pary oczu wlepiły się we mnie jak plastelina we włosy.

– Jedźmy – powiedziałam nagle z pełnym przekonaniem. – Tylko dokąd? Budapeszt? Niech będzie, bo jak zaczniemy wymyślać destynacje, to nic z tego nie wyjdzie. – Choć raz nie chciałam rozkładać każdej decyzji na atomy.

– Dzideczki, jedziemy! Za nasze zdrowie i babski wypad! – krzyknęła Baśka, dolewając nam wina. Wszystkie byłyśmy w szampańskich, a dokładniej w winnych humorach.

Po chwili Baśka przyniosła komputer.

– Nie ma co czekać, żeby któraś się nie rozmyśliła. Od razu kupujemy bilety – zarządziła.

– Ja już znalazłam samolot z Warszawy do Budapesztu, wyjazd od poniedziałku do piątku – odezwała się Lucy, grzebiąc w telefonie, i przejęła komputer. – Zaraz wszystko załatwię, tylko mi go uruchom.

Miałam mieszane uczucia. Z jednej strony bardzo się cieszyłam, a z drugiej czułam niepokój.

– To będzie nasz czas, bez dzieci, mężów i jęczących ojczulków! – cieszyła się Baśka.

– Podajcie swoje pełne imiona i nazwiska – powiedziała Lucy znad ekranu.

– Joanna Katarzyna, resztę znasz – zaczęłam, bo bałam się, że zmienię zdanie.

– Maria Zofia Litwińska – powiedziała Mańka. Lucy z pełnym skupieniem wpisywała nasze dane. – Czy prześwietlenia kręgosłupa również sobie życzą? – dodała Mańka i zaczęła się śmiać.

– A wymaz z pochwy? – palnęłam, bo wino już mocno uderzyło mi do głowy.

– Basia, jeszcze ty zostałeś, masz drugie imię? – przerwała nam Lucy.

– Mam.

– To co wpisać?

– Barbara Perpetua Kutasiak – powiedziała niepewnie Baśka. Spojrzałyśmy z dziewczynami po sobie.

– Że jak? Perpetua Kutasiak? – zapytałam z niedowierzaniem. – Przecież ty masz inne nazwisko.

– Olszewska to po mojej ukochanej babci, tego teraz oficjalnie używam. Ma lepszą wibrację i energię – tłumaczyła się Baśka. – Zresztą jak miałabym się przedstawiać: Barbara Perpetua Kutasiak?

– No wiesz, lepsze wibracje to chyba jednak miało Kutasiak... – powiedziałam, nie ukrywając rozbawienia.

– I energię chyba też bardziej taką... brykającą – dodała Mańka.

– Dziewczyny, na świecie są przeróżne imiona i nazwiska. Na przykład Wróżbita Maciej – też nietypowe. Nie znam nikogo, kto ma na imię Wróżbita, a wy? – wtrąciła Lucy.

– Lucy, a porucznik Borewicz? Miał na imię Porucznik? – wyręczyła mnie Mańka, bo chciałam odpowiedzieć w podobnym tonie.

Lucy chwilę się zastanowiła i wyglądało na to, że zrozumiała zawilosci języka polskiego. Z drugiej strony ja również nigdy nie słyszałam, żeby na tego pierwszego mówili inaczej niż wróżbita Maciej. Ma człowiek prawo się pomylić.

– Dziewczęta, ogłaszam, że bilety zostały zakupione. Te najtańsze. Lecimy do Budapesztu! – oznajmiła Lucyna z poczuciem spełnionej misji.

W tej chwili dostałam esemesa od Wojtka. Pisał, że wszystko u nich dobrze. Zaczęłam wypytywać o szczegóły, wlepiając wzrok w ekran telefonu. Mańka również grzebała w komórce. Może teściowa przysłała jej zdjęcia dokumentujące śmierć głodową jej dzieci. Szkoda by było. Zawsze to dwa razy pięćset w miesiącu wpływa.

Nagle podeszła do nas Baśka i skonfiskowała nasze urządzenia do kontaktu ze światem.

– I jeszcze jedno à propos naszego wspólnego wyjazdu. – Wszystkie jak jeden mąż na nią spojrzaliśmy. – Jedziemy bez telefonów! – powiedziała zadowolona, dumna ze swojego pomysłu.

– Słucham? Chyba cię pogięło. – To była ostatnia rzecz, na jaką mogłam się zgodzić.

Mańka podniosła głowę.

– Że jak, bez telefonów?

– Tak po prostu. Zrobimy sobie totalny reset od rzeczywistości. Kiedyś ludzie nie mieli i żyli – skwitowała Baśka.

– Kiedyś ludzie prali w rzece. Dlaczego więc nie popieprzasz do tego kanału obok domu z bluzką i skarpetkami? – zapytałam.

– Jak nie? Byłam wczoraj, tylko zapomniałam tary. – Baśka świetnie się bawiła.

– A ja myślę, że to mogłoby się udać – przerwała nasze żarty Lucy. Nie wiem, czy ilość wypitego alkoholu tak na nią wpłynęła, czy dostała jakiegoś zaćmienia.

Po chwili odezwała się Mańka.

– Wiecie co, ja w to wchodzę.

Spojrzałam na nią pyskującymi oczami.

– Mańka!

– Jak reset, to reset – kontynuowała, nie zważając na moje miny.

Zostałam sama na polu bitwy i nie miałam żadnej broni. Dziewczyny zaczęły z nostalgią wspominać analogowe życie. Mańka znowu wzdychała za podróżami małym fiatem. Odebrałam to jako efekt starzenia się kobiet w średnim wieku. Sentymenty im się włączyły. Mnie się ostatnio uruchomiły, jak się kapnęłam, że moje gładkie nogi odeszły w zapomnienie. Ale żeby od razu bawić się w jaskiniowca – żyć bez telefonów i może jeszcze polować na zwierzynę? Łudziłam się, że ta koncepcja padnie, gdy wszystkie wytrzeźwiejemy. Jedno było pewne: jedziemy i od tej decyzji na pewno nie było odwrotu.

Rozdział 4

Następnego dnia rano obudził mnie tupot białych mew. Ból głowy był nie do zniesienia. Przeszkadzała mi nawet gęstość powietrza w sypialni. Jedyne, o czym marzyłam, to umrzeć w spokoju i samotności. Obok mnie leżał mąż. Jak on głośno leżał tego ranka!

– Dzień dobry, kochanie – przywitał mnie czule. Bałam się odpowiedzieć, żeby nie wykonywać ustami zbędnych czynności.

– Uuuu, chyba po księdza zadzwonię, widzę tutaj zgon – zaczął się śmiać.

Mnie tam zdecydowanie nie było do śmiechu. Zwłaszcza że wczoraj wcale dużo nie wypłam. Niestety to właśnie nazywa się starość, gdy człowiek ma kaca po samym powąchaniu butelki z winem. No dobra, może ze dwa kieliszki przechyliłam, góra trzy, zresztą nie będziemy bawić się w buchalterię.

Czas tego dnia płynął wyjątkowo powoli, a ja miałam do wykonania ważną misję, a mianowicie musiałam powiedzieć Wojtkowi o naszym szalonym pomysle. Wręcz nadludzką siłą woli zrobiłam obiad. To miał być tak zwany przymilacz. Znam też skuteczniejsze sposoby, ale dzisiaj żadne ruchy posuwisto-zwrotne nie wchodziły w rachubę.

– Kochanie, słuchaj, jest taka sprawa – zagaiłam, gdy siedzieliśmy przy stole. Musiałam się bardzo starać, żeby wyglądać na wiarygodną. Nie było to łatwe. – Chciałybyśmy z dziewczynami gdzieś wyjechać – powiedziałam ostrożnie.

– No, to świetny pomysł – rzekł mężu.

– Serio?

– Pewnie. Zawsze chciałaś się wybrać na babski wyjazd.

– Więc właśnie. I tak sobie pomyślałyśmy, że trzeba to w końcu zrobić, bo zawsze tylko gadamy. – Cieszyłam się niezmiernie, że mamy takie samo zdanie. Po co ja się tak czałam jak jeź w borówkach?

– I co, macie jakiś plan? – zapytał zupełnie spokojny. Myślę, że kompletnie nie brał pod uwagę powagi tej sytuacji. Jeśli spontaniczną decyzję podjętą w dziesięć minut można nazwać planem, to jesteśmy mistrzyniami organizacji.

– Tak się właśnie złożyło, że wszystko już sobie obmyśliłyśmy – mówiłam niepewnie. Mój stan nie pozwalał mi wzbić się na wyżyny intelektualne oraz wygłosić barwnej opowieści. Już te parę zdań kosztowało moje szare komórki sporo wysiłku.

– No to mów – zaciekał się mąż.

Wyprostowałam plecy, potrząsnęłam włosami, które zdecydowanie były w procesie decyzyjnym. Nie wiedziały, czy się pokręcić, czy jednak wyprostować. Nie tylko ja na kacu miałam dylematy.

– Postanowiłyśmy pojechać do Budapesztu. Podobno jest tam pięknie i mają takie fajne łaźnie. Pomoczymy sobie dupki, pośmiejemy się. Będzie ekstra – wyjawiał nasz nikczemny plan.

– Do Budapesztu? – powtórzył. Nie, do cholery, na Targówek. Przecież mówiłam wyraźnie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Tak. Do stolicy Węgier – doprecyzowałam, żeby nie pozostawiać wątpliwości. A trzeba było uczyć się geografii w podstawówce.

Wojtek się zastanowił i powiedział:

– Przecież możecie pojechać do nas na działkę. Cisza, spokój, piękne widoki i nie trzeba się nigdzie tłuc.

Pewnie, w sumie mogłabym wziąć śpiwór i spać u Mańki na balkonie. Też ma widok na las. Może i jakieś wilki by się znalazły. Sąsiad z góry ma pięknego owczarka. I w każdej chwili będzie można mnie dorwać, bo blisko. Nie o taki wyjazd walczyłyśmy.

– To może następnym razem, ale teraz wybrałyśmy Budapeszt – powiedziałam łagodnie, uśmiechając się. Czułam, że bycie miłą zdecydowanie wpłynie na sukces misji. – Tylko jest jeszcze coś – dodałam.

– Tak? – zapytał mężu, niczego nieświadomy.

– Ten wyjazd jest za tydzień – wypaliłam, wyczekując jego reakcji.

– Już w przyszły weekend? Ile wy tego wina wypiliście? – Wojtek nie wydawał się wcale zirytowany, tylko zdecydowanie zdziwiony. Nie było tak źle. Zresztą to wszystko wina wina. Przecież nie dojrzałych, wykształconych, rozsądnych matek, żon i córek, w pełni świadomych swoich decyzji.

Jednak nie to było największą bombą, którą planowałam zrzucić. Głowa nadal mi pulsowała, a szare komórki zdecydowanie nie chciały się szybko zregenerować. Tępotą kacowa ograniczała mój zasób słów.

– Sęk w tym, że to nie jest weekend – wydusiłam z siebie w końcu. Nie tylko to chciałam wydusić. Boszsz, jak to słońce za oknem głośno świeciło!

– Co? Chyba cię pojebało! – krzyknął Wojtek, człowiek głębokiego kompromisu. Niełatwo go wyprowadzić z równowagi, ale mnie się udało. Lubię wiedzieć, że jestem w czymś naprawdę dobra. – Przecież mnie nie ma! Zapomniałaś, że od miesiąca mam zaplanowany wyjazd służbowy na spotkanie ze strategicznym klientem?! – sprowadził mnie na ziemię.

Dlaczego w życiu musi być zawsze pod górkę? Oczywiście, że nie pamiętałam o jego wyjeździe. Za to świetnie ogarniałam zaopatrzenie na technikę, plastykę i stroje na wuef, które, nie wiedzieć czemu, musiały być białe-czarne!

– O kurde. Jak by to powiedzieć: peszek.

– Nie peszek, tylko sorry, ale nie ma opcji. Przełóżcie to na inny termin. – Lubiłam, jak był taki stanowczy, ale w innym miejscu w tym domu.

– Sęk w tym, że już kupiłyśmy bilety – wyjawiałam mu prawdę powolutku, żeby nie dostał zawału.

– Słucham?

– No mamy już bilety. Jakoś tak spontanicznie wyszło, od słowa do słowa, szybki pomysł, właśnie po to, żeby się żadna nie rozmyśliła.

Gdyby państwo dawało dodatki na niezrównoważone żony, to mężu byłby milionerem.

– I jak ty to sobie teraz wyobrażasz? – zirytował się.

To było chyba najmądrzejsze pytanie, które padło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Co miałam mu odpowiedzieć? Że gorące mamuśki postanowiły odpiąć wrotki i taki jest tego efekt?

– A co z pracą? – dobił leżącą. Co on się nagle taki odpowiedzialny zrobił? Nie tak dawno musiałam zgarniać go z mieszkania piętro niżej, bo tak zabalował z sąsiadem, że po pijaku nie trafił do swojego.

– Dobra, masz rację, ten pomysł był z dupy – przyznałam w końcu. Kto wyjeżdża tak po prostu w środku roku szkolnego, kiedy nawet tyłka nie można sobie podetrzeć w spokoju, bo wrzeszczony wejda i będą miały milion spraw. No i kiedy ma się jeszcze na głowie pracę.

– Z dupy może i nie jest, tylko jeśli chodzi o datę, nie uważasz, że powinniśmy to przegadać?

Oczywiście, że powinniśmy. Ale w życiu jest tyle powinności, że wczoraj przez chwilę poczułam się jak kiedyś. Wolna, niezależna i... pijana.

Naszą rozmowę przerwały dzieci, które weszły do salonu. Może i dobrze, bo nie miałam pomysłu, co dalej, a inwokacji na pewno bym tego dnia nie stworzyła.

Wpadliśmy w wir domowych obowiązków. Mijaliśmy się z Wojtkiem w ciszy. Niby nikt nikomu w paradę nie wchodził, ale bomba po cichutku tykała. I czekała, kiedy może pieprznąć.

Kolejny dzień przyniósł mi zdecydowanie większą trzeźwość umysłu. Przejawiała się ona tym, że uznałam nasz pomysł wyjazdu za kompletnie debilny. Miałam zamiar podzielić się tą mądrą refleksją z dziewczynami. Liczyłam, że one również uznają ten szalony plan za niepotrzebną fanaberię.

Około dziesiątej pojechałam do biura. Odpaliłam komputer i dosłownie na dzień dobry przygniotła mnie ilość roboty. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że jeśli pije się po czterdziestce, to potem powinien obowiązywać zakaz dostępu do urządzeń elektronicznych. A wydawać by się mogło, że człowiek im starszy, tym rozsądniejszy.

Rzuciłam okiem na liczbę otrzymanych maili. Szybko wydedukowałam, że i tak tego nie ogarnę, więc po co w ogóle zaczynać tydzień z grubej rury? Postanowiłam stworzyć grupę na Messengerze i dodać do niej dziewczyny. Trzeba było odwołać ten durny wyjazd.

Asia: Dzidy, żyjecie?

Mańka: Ta, ale co to za życie.

Asia: Lucy, czy ty na pewno kupiłaś przedwczoraj te bilety?

Baśka: Cześć, dziewczyny!

Asia: Lucy??? Jesteś tam?

Mańka: Asiunia? Wyczuwam jakieś negatywne vibracje.

Asia: Słuchajcie, to był chyba głupi pomysł z tym wyjazdem.

Baśka: No co ty! Przecież to tylko parę dni.

Lucy: Cześć, dziewczyny, jestem. Tak, kupiłam, zgodnie z umową.

Asia: Umową... chyba pijackiego bełkotu.

Mańka: Jak zwał, tak zwał. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu.

Asia: Chyba głupie cielę. Mańka, a ty tak możesz sobie wszystko poustawiać?

Mańka: Rano rozmawiałam z ojcem dzieci, weźmie je. Akurat to jego tydzień.

Asia: Ja zapomniałam o bardzo ważnym wyjeździe służbowym Wojtka. U mnie to się chyba nie uda, nie mamy co zrobić z dziećmi. No i w ogóle jakoś czarno to widzę.

Mańka: Czarno to widzi Stevie Wonder.

Lucy: U mnie też okej. Teściowa do nas przyjedzie, bo Marcina oczywiście nie będzie.

>Byłam wkurzona, ale w zasadzie sama nie wiedziałam na co. Najpierw na to, że pojawił się taki pomysł, a potem, że ma szansę wyjść, tylko ja jestem w dupie.

Basia: Dżoana, zawsze możesz szybko się rozwieść z opieką naprzemienną, która akurat zacznie się od przyszłego tygodnia :)

Mańka: Odwal jakąś dramę, u ciebie o to nietrudno, he, he, he.

Asia: Nie wkurzajcie mnie. Serio bym chciała, ale to niewykonalne :(Niestety mam męża i poukładane życie, a rzeczywiście wszelkiego rodzaju patchworki dają poniekąd więcej swobody – przynajmniej w te wolne tygodnie.

Mańka: To może jakaś szkoła z internatem, ochotniczy hufiec pracy? Bo na okno życia to już za duże.

Asia: MAŃKA!!!

Mańka: Ja tylko niosę pomoc...

Lucy: Dziewczyny, spokojnie. Trzeba coś wymyślić. Tak miało być, że kupiłyśmy spontanicznie te bilety.

Rozmowa z dziewczynami nie przyniosła zamierzonego efektu. Lucy miała rację. Trzeba było obmyślić plan B. Może rzeczywiście ten rozwód albo spore okno życia.

Moje poczucie obowiązku nie pozwoliło mi na długie nieróbstwo, więc zabrałam się do pracy. Do biura weszła Kryśka.

– O, cześć!

– Hello.

– Co ty taka zblazowana?

– Miałam ciężki weekend.

– Co, bąbelki dały popalić?

– Tak, tylko tym razem te od wina.

– Aaaaa, czyli wleczone było – ucieszyła się Kryśka. Nie wiem, dlaczego wzbudzało to tyle radości. W końcu kobieta też człowiek, nawet po czterdziestce.

– Z szacunkiem do starszej pani proszę. A zresztą nie to, że ci wypominam, ale kto na bankiecie po premierze filmu zrzygał się na buty temu słynnemu aktorowi?

– Przestań – zaśmiała się Kryśka.

Nie zapomnę tego widoku i miny faceta, gdy na jego wypucowanych pantoflach wylądowała kolorowa mozaika. I nie był to artystyczny performans Kryśki w uznaniu dla jego artyzmu, tylko efekt przedawkowania bąbelków. Na szczęście aktor był totalnie wyluzowany, ale Kryśka przepraszała go jeszcze pół roku.

Opowiedziałam jej o naszym pomysle. Powiedziała, że super i że powinnam przestać się spinać, a życie za chwilę samo przyniesie jakieś rozwiązanie. Może i miała rację – w zasadzie nie wiem, dlaczego nie wpadłam na to, żeby wystawić dzieci na Allegro.

– Mówiłaś już szefowej? – zapytała.

– Nie, tę przyjemność zostawiłam sobie na później.

– Myślę, że luz. Tak ciężko ostatnio pracowałyśmy, że coś nam się należy. Ja też niedługo chcę iść na urlop. Moja Sylwia ciągnie mnie na kajty do Portugalii – powiedziała.

Patrzyłam na nią i trochę zazdrościłam temu pokoleniu dystansu do życia i pracy. Ja w sferze zawodowej zazwyczaj mam spięte pośladki.

– A u was wszystko dobrze? – zapytałam, bo ostatnio w jej związku odchodziły jakieś dramaty.

– Tak, przynajmniej na razie. Ale nasza relacja jest jak pryszcz. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś wyskoczy – zakpiła.

Kryśka ma dość luźne podejście do związków i wygląda na to, że dobrze się z tym czuje. Nie lubi zobowiązań ani też specjalnie chodzić na kompromisy. Dla mnie to dość egoistyczne podejście, ale młodsze

pokolenie raczej ma tendencję do szybkich zmian telefonów, ciuchów i partnerów. A może to nie jest egoistyczne, tylko zdrowe? Tylko czas może to zweryfikować.

Następne dzionki w domu upływały raczej w chłodnej atmosferze na wymianie najpotrzebniejszych informacji.

– Kupiłeś mleko?

– Tak.

– A jakie?

– Tak.

Wojtek chyba uznał, że tematu wyjazdu nie ma, za to ja cały czas kombinowałam. Zadzwoiłam do rodziców, ale niestety nie pasował im przyjazd do Warszawy. Irytowała mnie ta cisza w domu, bo generalnie nie mieści się w kanonie naszych zachowań. To znaczy jest jeden wyjątek. Ostatnio w telewizji śniadaniowej mądra głowa z grupy moich ulubionych – jakiś kołcz czy inny mentor – zadała takie oto filozoficzne pytanie: „Jaką przyjemność sprawiasz swojemu facetowi?”. Pomyślałam chwilę i co mi wyszło? Że czasami milczę! To jest najlepszy prezent, jaki kobieta może dać mężczyźnie.

Tym razem jednak musiałam drażnić temat dalej i postanowiłam przerwać ten stupor.

– Kochanie – zaczęłam łagodnie niczym łania przygotowująca się do biegu w podlaskim lesie.

– Tak?

– Co robimy z tym moim wyjazdem?

– U mnie nic się nie zmieniło. Mówiłem ci: nie mogę przełożyć spotkania. Klient przylatuje z zagranicy specjalnie w tym terminie, i to do Krakowa.

– A jakbyś tak z dziećmi pojechał? – zaryzykowałam. No trudno. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana w Budapeszcie.

– To może ty z nimi pojedziesz? Wymyśliłaś sobie nagły wyjazd jak w jakimś filmie i co? Teraz to moja wina? – zapytał ze stoickim spokojem. Jeszcze bardziej mnie tym zirytował.

Nie chciałam mu mówić, że oczywiście wina spoczywa na nim. Mógł to jakoś, nie wiem, przewidzieć. Jest taki magik z Człuchowa. On na pewno by wiedział, gdyby jego żona coś sobie spontanicznie zaplanowała.

Kręciłam się po kuchni bez celu. Zastanawiałam się, czym by go tu jeszcze przekabacić, żeby przelożył spotkanie z tym szejkiem. Co to dla takiego kolejny lot do Krakowa? Przynajmniej miasto lepiej pozna i precli się naje.

– To może ja ci koszule uprasuję? – oszukiwałam samą siebie.

– Nie, dziękuję – odpowiedział z rezerwą.

– Tym razem nie spalę – obiecuję.

Spojrzał na mnie bez wiary. Chyba jednak nie działały na niego moje obietniczki bez pokrycia.

Impas trwał w najlepsze. Jak to mówią: biednemu zawsze wiatr w oczy.

Tymczasem wieczorem dziewczyny zaczęły wysyłać propozycje hoteli.

Lucy: Zobaczcie, co znalazłam, Buda Suits & Spa. Wspaniały! W samym centrum, z restauracją na dachu.

Mańka: Rzeczywiście powala, podobnie jak ceny. Mają jakieś miejsca do spania w przechowalni rowerów?

Baśka: No Lucy, zaczynasz z grubej rury. Fakt, zajebisty, ale kosztuje tyle za noc, za ile można spędzić miesiąc w Azji.

Mańka: Mogę też sobie namiocik rozstawić przed wejściem.

Lucy: Asia?

Asia: Jestem i czytam, ale ja to będę sobie mogła co najwyżej wejść na dach swojego bloku. Kupię kabanosy i bułeczkę i też będzie pięknie.

Mańka: Czyli nie udało wam się nic zorganizować dla dzieci?

Asia: Niestety, ale przyślecie mi ładne zdjęcia, prawda?

Baśka: Nie będzie zdjęć, bo nie będzie telefonów, a ty musisz z nami lecieć.

Lucy: Mam plan! Niech Kasia zostanie u nas przez ten czas.

Asia: Hmmm. Sama nie wiem.

Lucy: No co ty, poradzą sobie z Rosą, zresztą one już są przecież ogarnięte.

Asia: Nie przypisywałabym im aż tak wielu zasług.

Mańka: No ja niestety ojca moich dzieci nie namówię, żeby wziął Piotrka, bo z trójką to dla niego już nie do ogarnięcia.

Asia: Dziwki, dziewczyny.

Lucy: Słucham?

Mańka: Rozumiem twoją złość, ale żeby aż tak?

Asia: Potwory, kory, kurwa, sorry. To ten cholerny słownik! Miało być „dzięki”. Lucy, dziękuję za propozycję. Przemyślę to.

Dzięki ofercie Lucyny w mojej głowie tliła się nadzieja, że nie wszystko stracone. Rzeczywiście propozycja była kusząca. Postanowiłam, że będę walczyć dalej. Trzeba było jeszcze tylko upchnąć gdzieś jedno dziecko.

Z tych rozważań wyrwała mnie Kasia.

– Mamuś, muszę się pouczyć matmy, bo mam kartkówkę. – W ten oto sposób sprawiła, że szybko zesłam na ziemię.

– A z czego? – zapytałam.

– Z rodzajów trójkątów.

Oj, już w piątej klasie? Myślałam, że to jednak trochę później, no i nie tak oficjalnie. No ale nic, czego się nie robi dla nauki. Będę musiała zaprosić tego przystojnego sąsiada z dołu. Tylko, kurde, mężu teraz nie w sosie w związku z tym wyjazdem. Chyba będę musiała zaprosić dwóch sąsiadów.

– Potrzebujesz mojej pomocy? – upewniłam się.

– Nie, tylko sprawdź mi potem zadania.

Za chwilę przyszedł syn z cudownym objawieniem, że na jutro ma do przeczytania lekturę. No i weź tu wyjedź nawet po pomidory do innej

dzielnicy. Poszłam do kuchni i złapałam za utensylia, żeby przygotować pożywienie dla rodziny.

Z Wojtkiem byliśmy dla siebie uprzejmi. W ogólnym rozrachunku nic się przecież nie wydarzyło. Ja po prostu nie miałam jak wyjechać i nie było za bardzo o czym rozmawiać. Nie ma co robić z tego afery. Mężczyźni nie lubią wiercenia dziury w brzuchu. Ja za to nie lubię odpuszczać.

Gdy przyległości poszły już spać, usiedliśmy na kanapie. Zaczęłam ostentacyjnie wzdychać, żeby zwrócić na siebie uwagę. Chciałam, żeby on zaczął pierwszy. Zadziało.

– Co porabiasz? – zapytał.

– Nic – odparłam. „Nic” to moja ulubiona kwestia. Znaczy, że przecież wszystko jest w najlepszym porządku, ja tu sobie tylko tak siedzę sfochowana. – Dziewczyny wysłały propozycje hoteli – wyjaśniłam grobowym głosem. Niech wie, jaki zawód przeżywam.

– Zobaczysz, to nie wypali – próbował pocieszyć mnie albo siebie.

– Wypali. À propos, Lucy zaproponowała, że może wziąć do siebie Kasię na ten czas. Będzie u nich teściowa. Co ty na to? – drażylałam skałę niczym kropla z górskiego strumienia.

– Okej, a co z Piotrkiem? – Borze szumiący, co on tak się czepia? W końcu młody ma już osiem lat. Sędziwy wiek. Na pewno by się cieszył, gdyby został sam w domu. Trzeba otwierać się na nowe.

– No właśnie myślałam, żeby zapytać zaprzyjaźnionych rodziców z klasy, czy mógłby u nich zostać.

Spokój Wojtka doprowadzał mnie do irytacji.

– Jeśli chcesz zawracać ludziom głowę, to pytaj. – Znaczyło to dyplomatycznie nic innego jak: „Chyba cię pogięło”.

Znów zerknęłam, co przysyłają dziewczyny. Widząc ich wymianę zdań, i ja zaczęłam wątpić w powodzenie tego wyjazdu. Lucy wciąż podrzucała nowe propozycje hoteli, w których za noc trzeba było zapłacić jak za rower dobrej marki. Za to Baśka mogłaby spać w jurcie z dziurą w ziemi zamiast toalety. Może ten dach u mnie w bloku wcale nie byłby taki zły?

Rozdział 5

Wyjazd zbliżał się wielkimi krokami, ale byłam już pogodzona z myślą, że odbędzie się beze mnie. Wyczerpałam wszystkie możliwości sprzedania dzieci na ten czas. Życie to nie je bajka. Dziewczyny powiedziały, że nigdzie beze mnie nie jada, ale absolutnie im zabroniłam. Ja na pewno spędzę wspaniały czas z rodziną. Mężu będzie brylował z klientem w Krakowie, a ja posprzątam, ugotuję, opróżnię kosz na pranie. Swoją drogą nie wiem, jak można sprzedawać go bez dna, bo nigdy takiego nie widziałam. Powinnam chyba złożyć reklamację. Może Kasia będzie przerabiać czworokąty, to i jakaś rozrywka się trafi. A słynną węgierską łaźnię zrobię sobie w łazience. Tam jest taka para, jak otwieram pralkę i suszarkę, że co ja się będę po świecie szlajać.

Tego dnia obudziła mnie dobiegająca z kuchni rozmowa.

– *Yes, I understand* – mówił Wojtek do telefonu. Nie chcąc zakłócać zagranicznej konwersacji, weszłam na paluszkach i zaczęłam robić sobie kawę, gdy nagle nieopatrznie łokciem potrąciłam stojącą na blacie metalową miskę. Mój wzrok mówił „przepraszam”, a jego wyrażał chęć pokrojenia mnie na kawałki i ugotowania z nich zupy. No co, nie każdy rodzi się z gracją i lekkością motyla.

– *No, no, everything is OK. It's only my wife* – powiedział Wojtek, po czym, sądząc po mowie jego ciała, odbyły się szowinistyczne heheszki. Wydawało mi się, że rozmawiał z tym swoim szejkiem z Emiratów Arabskich i obgadywali jego przyjazd do Polski. Niestety za wiele nie słyszałam, mimo że wytężałam słuch.

– *So I'm waiting for our arrangement in Kraków* – perorował mężu, co dało mi pewność, z kim dialoguje. Rozmowa się zakończyła i Wojtek odwrócił

się do mnie zirytowany. Wiem, wiem – miska narobiła ogromnego hałasu.

– Wyjazd odwołany.

– No tak, nigdzie nie jadę.

– Nie mówię o tym. Mój wyjazd do Krakowa jest odwołany. Klient przełożył spotkanie na inny termin, ale kompletnie mi to nie pasuje.

Spojrzałam na Wojtka i ze szczęścia rzuciłam mu się na szyję. Mnie za to pasowało idealnie.

– To znaczy, że mogę jechać z dziewczynami! – krzyknęłam euforycznie. Mężu mimo wszystko się roześmiał.

– Kochanie, ty to zawsze spadniesz na cztery łapy. No teraz oczywiście jedź. Jakoś sobie tutaj bez ciebie poradzimy, choć łatwo nie będzie. – Puścił do mnie oczko.

Mej radości nie było końca. Od razu napisałam do dziewczyn. Teraz ja im pokażę, w jakim hotelu się śpi!

Miałam jeszcze do załatwienia ten temat w pracy. Nie pamiętam, kiedy tak szybko pędziłam do biura. Jak na złość trafiałam na same czerwone światła. Raz uznałam, że jest po prostu późne pomarańczowe. Mam nadzieję, że policja nie potraktuje tego inaczej niż ja i nie wyśle mi mandatu.

Jako pilna pracownica poszłam najpierw do siebie, żeby przejrzeć dzisiejsze maile. Jak to jest, że kiedy człowiek ma cały dzień, to nie robi prawie nic, a gdy jest presja, to ze wszystkim się wyrabia?

W biurze była już Kryśka.

– Cześć! Wygląda na to, że uda mi się wyjechać! Klient Wojtka przełożył spotkanie, więc oczami wyobraźni taplałam się już w węgierskiej łaźni – powiedziałam z radością jak mała dziewczynka, która cieszy się na nową lalkę.

– No to świetnie! – Kryśka podzielała mój entuzjazm.

– Ogarnę tu wszystko i idę do szefowej.

– Nic się nie martw. Jak będzie coś do załatwienia podczas twojej nieobecności, to zrobię, co będę mogła, a z resztą zagram na zwłokę.

– Tylko nie na zwłoki, bo już by w ogóle nie było komu pracować!

Wstałam i poszłam do pokoju Doroty. Chociaż mam wolny zawód, to jakoś wewnętrznie się stresowałam. Była to kwestia poczucia odpowiedzialności, ale także wmawiania sobie, że jak ja czegoś nie wykonam, to nikt inny tego za mnie nie zrobi.

– Cześć, mogę wejść? – Wsunęłam głowę do pokoju.

– Tak, tak, wchodź, co tam?

– Mam sprawę. Potrzebuję paru dni urlopu.

– Hmm, okej, tylko najlepiej jak najszybciej, bo niedługo ruszamy z nowym projektem.

– Idealnie się składa, bo chciałabym wyjechać w przyszłym tygodniu.

– O kurde, chyba nie o takie szybko mi chodziło.

– Znalazłyśmy z przyjaciółkami tanie bilety do Budapesztu i chcemy lecieć od poniedziałku do piątku. Na ten moment wszystko w pracy jest ogarnięte. A jak będzie coś pilnego, Kryśka się tym zajmie.

– Kryśka, no tak. – Dorota się zamyśliła. – Wiesz co? Jedź. Naładuj trochę baterie, bo zaraz znów będzie zachrzan. W sumie to nawet zazdroścę ci tego babskiego wyjazdu.

– Wielkie dzięki. I jeszcze jedno. Będę w tym czasie poza zasięgiem, ale Kryśka będzie miała mój służbowy telefon. – Gdy to powiedziałam, od razu poczułam spokój. – Oczywiście w najbliższy weekend, jeśli trzeba będzie, też coś porobię. W ogóle nie odczujesz mojej nieobecności.

– Na pewno odczuję, w biurze będzie zdecydowanie ciszej. – Dorota się uśmiechnęła.

Bardzo ją lubię. Choć zdarzają się między nami niesnaski, to generalnie dobrze nam się razem pracuje i można liczyć na jej pomocną dłoń. Moja szefowa nie ma rodziny i nie za bardzo chce o tym mówić. Nie wyżywa się jednak na tych, którzy ją mają. Wygląda na to, że jest pogodzona ze swoją sytuacją i nawet jej z tym dobrze.

Z tej euforii już tego dnia przekazałam Kryśce najpilniejsze sprawy, podałam jej hasło do swojego maila i obwieściłam, że lecę bez telefonu.

Tłumaczyłam sobie, że przez pięć dni świat się nie zawali, a ja nie muszę podtrzymywać go swoimi rękami.

Dopiero teraz poczułam, że wszystkie sprawy przed wyjazdem są załatwione i w pełni mogę zacząć się nim cieszyć. Cieszyć, ale i stresować, bo przecież zawsze trzeba znaleźć sobie coś, czym człowiek będzie się martwił.

– Mamuś, tatuś mówił, że gdzieś wyjeżdżasz? – zapytała mnie po południu Kasia.

– Tak, kochanie. Jadę z moimi psiapsi bestfrendi na parę dni do Budapesztu – odpowiedziałam, stosując jej nomenklaturę. Trzeba się rozwijać językowo, jeśli chce się nadążyć za dziećmi.

– Mamo, no weź – stonowała mnie córka. Widocznie nie pasowała do mnie ta nowomowa. – A my zostaniemy tak sami z tatą? – dopytywała.

– Oczywiście, a z kim innym?

Żeby oni wiedzieli, ile ja dla nich możliwości noclegowych rozważałam.

Do kuchni wszedł Piotruś.

– Piotrek, wiesz, że mama wyjeżdża? – poinformowała go czym prędzej siostra.

– Kiedy? – zapytał, jeszcze zaspany.

– W poniedziałek.

– Czyli?

– Za cztery dni.

– Ale sama?

– Nie, kochanie, jadę z koleżankami – wtrąciłam, bo tak jakby to była moja sprawa.

– A dlaczego nie możemy z tobą? – dopytywał młody.

No i co ja mam mu powiedzieć, że chcę mieć chwilę spokoju od wrzeszczunów, lekcji i problemów? Że będę leżeć leniwie w spa, pływać w basenie i jeść kolacje, delektując się węgierskim winem?

– Bo to jest taki wyjazd dla przyjaciółek, bez dzieci.

– A dokąd jedziecie? – Przesłuchanie trwało dalej.

– Do Budapesztu, stolicy Węgier – doprecyzowałam.

Tak dopytywał, że zrobiło mi się go szkoda. Pewnie będzie bardzo tęsknił. W końcu mama to mama.

– A będą w samolocie monitorki?

– Nie, bo to krótki lot.

– A, okej – rzucił od niechcienia. Odniosłam wrażenie, że właśnie minęła mu ochota na wyjazd ze mną. – A kto z nami zostanie?

– Tatus – odpowiedziała za mnie uradowana Kasia, patrząc wymownie na brata. Oczekiwałam jakiegoś darcia szat, leżenia Rejtanem, że mam nie jechać, a tu nic, pełna radość.

– Co się tak uśmiechacie? – zapytałam, bo węszyłam w tym jakiś podstęp.

– Nic, nic – odpowiedział Piotrek.

– No nie, powiedzcie, ale już. – Zżerała mnie ciekawość.

– A, no bo tata na więcej nam pozwala i będziemy mogli chodzić późno spać – wyznał szczerze syn.

No i wszystko jasne. Mama z domu, dzieciom lżej.

– Na nic tata nie pozwala – włączył się do rozmowy mąż. – Będziecie jeść tylko gotowane brokuły, a o ósmej leżeć w łóżkach.

– Ej, no weź, tato. Kiedyś, jak mamy nie było, mogliśmy zjeść lody o jedenastej w nocy – powiedział syn z szelmowskim uśmiechem.

– Wojtek? – zareagowałam natychmiast.

– To była jednorazowa sytuacja. Jęczeli przy posiłku, więc to była, powiedzmy, taka nagroda – tłumaczył się mąż. Jak to mówią, jednorazowa wielokrotnego użytku. – A propos obiadów, jak to będzie? – zapytał Wojtek.

– Nie martw się, coś sobie z dziewczynami na miejscu ogarniemy. – Było mi bardzo miło, że tak się o mnie martwił.

– Ale mi chodzi o dzieci – wyjaśnił.

– Aaaa. Kochanie, coś wymyślisz – powiedziałam i już mu współczułam. Co mu będę mówić, że krem z groszku, który Piotrek uwielbia, ostatnio był zbyt zielony. A jak mu w pośpiechu pokroiłam banana, to powiedział, że chce całego i mam go skleić, bo nie zje. Czytałam kiedyś, że są takie rodzaje ptaków, które zjadają swoje pisklęta. I to były właśnie te momenty, w których żałowałam, że nie należę do tego gatunku!

Weekend nadszedł szybciej niż zwykle. Mimo że za chwilę miałam wyjeżdżać, ta sobota nie różniła się niczym od poprzednich, wręcz przeciwnie. Nie wiedziałam, w co ręce włożyć. Zaczęłam się kompulsywnie pakować, z przerwą na wstawienie pralki i wiszenie na czacie z dziewczynami. Wybór hotelu trwał. Ewidentnie musiałam się w to włączyć.

Asia: Jak tak dalej pójdzie, to będziemy musiały spać w krzakach. Przecież wysłałam wam parę fajnych namiarów.

Mańka: No właśnie, wybierzmy coś w końcu.

Asia: Dziewczyny, musimy podjąć decyzję, bo rzeczywiście zostanie nam ulica. Głosujemy! Ja jestem za tym ciut dalej od starego miasta. Jest basen i spa, a do centrum dojedziemy metrem.

Baśka: Ja też wzięłabym ten.

Mańka: Zdaję się na was, jeśli cena za noc nie wynosi tyle co moja miesięczna pensja.

Lucy: No to zostałam przegłosowana.

Mańka: A o której spotykamy się na lotnisku?

Lucy: Wylot jest o 9.30.

Mańka: To może o 7?

Asia: Jak wstanę o piątej rano, będę musiała cały ten wyjazd odespać. A zresztą po co tak wcześniej? Ja biorę tylko bagaż podręczny, więc nie będę musiała się odprawiać.

Baśka: Ja też.

Lucy: No ja jednak się nie zmieszczę.

Mańka: A jakby nóżki obciąć? :)

Asia: Lucy, to tylko pięć dni. Naprawdę nie musisz mieć co kwadrans innej kreacji.

Mańka: Ja też się do tej małej nie spakuję. Przecież muszę wziąć kosmetyki.

Asia: Serio? Już widzę was na lotnisku wyglądające jak ruskie przemytniczki.

Mańka: Jeszcze będziesz chciała pożyczyć ode mnie kremik.

Asia: Chyba na żylaki.

Mańka: Ale nóg?

Asia: To zależy, czy będę więcej chodzić, czy siedzieć :) Dobra baby, muszę spadać, bo obowiązki domowe czekają. W taczku.

Próbowałam wszystko tak przygotować, aby rodzina jak najmniej odczuła brak mojej osoby przez kolejne dni. Zdecydowanie to ja bardziej stresowałam się tym wyjazdem niż oni.

W niedzielę miałam już reisefeber. Postanowiłam, że zrobię mężowi rozpiskę co, kto, gdzie i kiedy. To miało być preludium, zanim mu obwieszczę, że jadę bez telefonu.

– Kochanie, zobacz, przygotowałam niezbędne informacje. Kasia ma jutro dodatkowe zajęcia, Piotrek pianino we wtorek. Pamiętajcie, bo pani często stoi pod drzwiami, kiedy sama zapominam.

Od roku nie mogę się przyzwycząić, że te zajęcia są o piętnastej. A podobno mózg potrzebuje dwóch miesięcy, żeby przywyknąć do nowego. Mój widocznie zdecydowanie dłużej.

– Piotrek ma sprawdzian w środę, więc trzeba będzie z nim powtórzyć. – Spojrzałam na męża. Patrzył na mnie ze stoickim spokojem.

– Hmm – powiedział krótko i pozwolił mi się wygadać.

– A, i w czwartek jego klasa jedzie na basen. Żeby nie zapomniał kłapek. Ta szuflada w przedpokoju, druga od dołu. Wiesz która?

– Wiem.

– To tam ich nie ma, jakby co. Są w szafce na buty. No i coś do jedzenia trzeba dać dziecku. – Myślałam nerwowo, co jeszcze mu przekazać.

– Kochanie – powiedział mężu. – Ja wiem, że może nie wyglądam, że dzieci pewnie będą chodzić późno spać, bo u nas zawsze się to przeciąga, może nawet zjedzą lody o jedenastej i zęby nie zawsze umyją, ale na pewno będziesz miała do czego wracać i stan osobowy rodziny będzie się zgadzał – dodał z rozbijającą szczerością.

– Kocham cię! – rzuciłam spontanicznie.

– Ja ciebie też, wariatko. Nic się nie martw. Poradzimy sobie, a jak coś, to przecież do ciebie zadzwonię.

Miałam nieodparte wrażenie, że to był ten moment, w którym powinnam wyjawić wisienkę na torcie.

– Tylko że jest jeszcze jedna sprawa – zaczęłam niepewnie.

– Tak?

– Umówiliśmy się, że jedziemy bez telefonów.

– Słucham?

– No tak totalnie *unplugged*, wiesz, taki trochę powrót do przeszłości.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki? Która to wymyśliła? Pewnie Baśka?

Kiwnęłam głową.

– Nie dziwię się. Chyba tylko chomik może do niej zadzwonić.

– Wojtek, przestań.

– Co za głupota. I wszystkie się na to zgodziłyście?

Prawda jest taka, że zgodziło się nasze alter ego po wypiciu paru butelek wina.

– Tak jakoś wyszło – uśmiechnęłam się.

– I weź puść baby na spotkanie. Teraz ja się boję tego waszego wyjazdu. Nie wiadomo, co wam do głowy strzeli na „wolności”.

– Oj, kochanie. À propos telefonu, jak będzie coś pilnego, dzwoń do hotelu. Ale tylko wtedy. W końcu to zgodne z naszym planem, może tylko trochę naciągane – tłumaczyłam się.

Wojtek chyba jakoś to przełknął, pewnie myśląc sobie, jakie ma ze mną skaranie boskie. No cóż – widziały gały, co brały.

Wieczorem byłam teoretycznie gotowa do wyjazdu. Po szaleńczych poszukiwaniach dowodu osobistego, bo oczywiście zapadł się pod ziemię, poszłam położyć dzieci spać. To zawsze jest moment, kiedy latorośle najchętniej poruszają wszelakie tematy istniejące na tej planecie, a we mnie trwa walka, żeby nie zasnąć przed nimi.

– Mamo, kiedy wracasz? – zapytał syn.

– W piątek.

– A ile ten hotel ma gwiazdek?

– Nie wiem.

– A jest tam basen? I biały papier toaletowy?

– No chyba tak, a dlaczego pytasz?

– Bo w szkołach jest taki ścierny.

Jaki?! Ja rozumiem, że może placówki edukacyjne nie mają zbyt dużo pieniędzy, ale żeby papier ścierny serwować młodzieży?!

– A co będziecie robić, mamuś?

– Pewnie zwiedzać, gadać i dużo jeść.

– Przywieziesz nam coś?

– Oczywiście. Ale teraz już myślę, że powinniście iść spać. Słuchajcie tatusia, bardzo was proszę, i mu pomagajcie. Wiem, że mogę na was liczyć.

– Hmm – usłyszałam, ale nie było to jakoś szczególnie przekonujące.

– Bardzo was kocham – powiedziałam, tuląc każde z osobna.

– My ciebie też, mamuś. – Człowiek to jednak musi dom rodzinny opuścić, żeby usłyszeć od dzieci takie czułości.

Zapytałam dziewczyny na grupie, czy są gotowe do wyjazdu. Każda była we własnym domowym szaleństwie. Poszłam jeszcze na chwilę do salonu przytulić się do męża i padnięta wylądowałam w łóżku. Jedną nogą byłam już w samolocie, a drugą wystawiłam spod kołdry. Sen zmorzył mnie błyskawicznie.

Rozdział 6

Budzik zadzwonił o szóstej rano. „Żebyś musiał widelcem rowy w śniegu kopać!” – przeklinałam go niemiłosiernie. Wstałam niczym zombie i tylko wrodzona inteligencja pozwoliła mi dotrzeć do kuchni i nie zgubić się po drodze.

W pośpiechu piłam kawę, kiedy do kuchni wszedł mąż.

– Cześć, kochanie – powiedział zaspany.

– Cześć – uśmiechnęłam się.

– Wszystko masz?

– Chyba tak, a jak czegoś zapomnę, to dokupię. W końcu nie jadę na koniec świata.

– Okej, to bawcie się dobrze i pamiętaj: bądź grzeczna. – Spojrzał na mnie z czułością.

– Oczywiście, ja zawsze jestem grzeczna. – No, może prawie zawsze. Pamiętam te czasy, jak wracało się do domu o siódmej rano zimą bez płaszcza...

– Jak tylko dolecisz, zadzwoń do mnie – poprosił, ale natychmiast się zreflektował: – Aha, no tak, nie będziesz miała czym.

– Zostawiłam ci tu nazwę hotelu. W razie czego dzwoń.

Nerwowo obserwowałam parking przed blokiem, czy przyjechała już taksówka. Dla pewności, żeby się nie spóźnić, zaczęłam się ubierać. Jeszcze raz sprawdziłam, czy mam ze sobą dowód.

– Kochanie, to ja lecę. Bardzo cię kocham.

– Leć, ja też cię kocham i do zobaczenia. – Uściskał mnie na pożegnanie.

Wzięłam swoją małą walizeczkę i wyszłam z mieszkania. Przy pakowaniu bardzo doceniłam niewielkie gabaryty mojej skromnej osoby. Sklep z ubraniami dla dzieci już od dłuższego czasu miał dla mnie najlepszą ofertę odzieżową. A że niekiedy musiałam nosić T-shirty z Elszą z *Krainy Lodu*? Trudno, co robić. Dzięki temu w bagażu zmieściło się naprawdę sporo rzeczy.

– *Hello!* Joanna? – zapytałam kierowcę cudzoziemca, wsiadając do samochodu.

– *Da* – usłyszałam.

Rozsiadłam się wygodnie i odetchnęłam z ulgą. Ruszyliśmy w drogę. Warszawa dopiero budziła się do życia. Zaglądając w okna mijanych budynków, zastanawiałam się, co teraz robią ich mieszkańcy, dlaczego ktoś musiał tak wcześnie wstać albo już stoi na balkonie. I tylko dobry powód mógł go wytłumaczyć.

Jesień coraz bardziej dawała się we znaki – liście przykrywały chodniki, jakby chciały je ochronić przed światem. A ja właśnie chwilowo przenosiłam swój świat w krainę bezdzietności i braku obowiązków domowych.

W pewnym momencie zauważyłam, że chyba nie poznaję dzielnicy, w której się znajdowaliśmy.

– Przepraszam, dokąd jedziemy? – zapytałam, bo z tego, co wiem, droga na lotnisko ode mnie z domu wygląda zupełnie inaczej.

– *Airport* – odpowiedział kierowca.

– A gdzie?

– *Modlin*.

Gdy to usłyszałam, na chwilę zamarłam. Jaki, kurwuniu, *Modlin*, skoro ja mam jechać na *Okęcie*!

– *No Modlin, we have to go to Okęcie airport!* – podniosłam głos.

Spojrzałam na zegarek. Czas zdecydowanie nie był moim sprzymierzeńcem.

– *I wanted to go to Okęcie, my name is Joanna* – tłumaczyłam powoli, bo miałam wrażenie, że nie do końca się rozumiemy.

Facet pogmerał w aplikacji i zapytał:

– Anna, *da?* – Anna nic nie da! Jaka Anna, chyba z Zielonego Wzgórza!

– *No! Joanna.* – Czy Sasza to to samo co Władimir? Może dla niego tak, ale zdecydowanie nie dla mnie, zwłaszcza że tamta miała jechać do Modlina!

– *Please change in application* – powiedział nagle. *Change* to ja mogę *driver* zaraz!

Wzięłam do ręki torebkę w poszukiwaniu telefonu. No tak – trajektorię chyba sobie naszkicuję żdźbłem trawy. Będzie tak naturalnie! Jak bardzo nienawidziłam w tej chwili Baśki za jej durny pomysł spędzenia czasu analogowo.

Błagałam kierowcę, aby zmienił trasę, bo ja nie mam jak, albo w ogóle wyłączył tę cholerną aplikację. Ile ja kanapek i naleśników zrobiłam dla waszych matek i żon na Dworzec Zachodni! Po osiągnięciu kompromisu, który polegał na tym, że prawie wyrwałam facetowi kierownicę z ręki, udało się zmienić kurs i pojechaliśmy w stronę Okęcia.

Nerwowo patrzyłam na zegarek. Jak nic polecą beze mnie, bo nawet do mnie nie zadzwonią zapytać, gdzie jestem! Pospieszałam kierowcę na każdych światłach, przekonując, że czerwony to bardzo ładny kolor i nie ma co się tak przywiązywać do przepisów drogowych. Żałowałam, że nie jestem Flinstonem, który dodatkowo napędzi auto swoimi nóżkami. Gdy zobaczyłam lotnisko, chciałam już wyskakiwać w biegu, ale mój ukraiński przyjaciel ostudził ten zapal ponurym jak u zniwiarza spojrzeniem.

– Dżoana, gdzie ty byłaś, zaraz nigdzie nie polecimy – rzuciła zdenerwowana Baśka.

– W dupie byłam. Gdybym miała telefon, tobym mogła zadzwonić jak biały człowiek! – odpowiedziałam kompulsywnie. Z tych nerwów nie zauważyłam, że tuż obok nas stoi Afroamerykanin mówiący świetnie po polsku.

– Jest moja ptaszyna. – Mańka była serdeczniejsza.

– Lećmy szybko, bo samolot to już chyba zaczął kołować – zarządziła Baśka.

Każda zaczęła biec w inną stronę i miotać się, jakby ktoś oblał nas gorącą wodą. Brakowało nam tylko tabliczki z napisem „Koloniam dzieci wątłych”.

– Która to nasza bramka? – zapytałam.

– Pani przy odprawie bagażowej powiedziała, że trzydzieści pięć – zauważyła przytomnie Lucy. Spojrzałam na jej kostium. Matko Bosko Flueorescencyjna, nawet na własne poprawiny nie miałam tak wyborowego.

– Dawajcie, dziewczyny, naprawdę zaraz wylecą bez nas. – Baśka zagrzewała do szybkobiegu.

– Na maraton to ja się nie umawiałam – wysapała Mańka.

– Ja też nie! – wsparłam przyjaciółkę, dysząc niewiele ciszej niż ona.

– Czy można jeszcze siku? – zapytała Lucy.

– Nie można! – krzyknęłyśmy we trzy jak na zawołanie.

Zastanawiałam się, kiedy rozpoczną się nasze upragnione wakacje, bo jak na razie to był raczej karny obóz sportowy dla tych, co nie chcieli ćwiczyć w podstawówce na wuefie.

Na szczęście do kontroli bezpieczeństwa nie było kolejki. Tym razem ja przeszedłam ją bardzo szybko, tuż za mną stanęła Lucy, potem Baśka, a na końcu Mańka. Kontroler sprawdzał bagaż podręczny tej ostatniej wyjątkowo precyzyjnie. Przebierałyśmy nerwowo nogami.

– Szanowny panie, samolot nam zaraz odleci – zaczęłam, patrząc, jak z pietyzmem wyciąga z walizki każde pantalone Mańki. Był tak niski, że zapewne głowa śmierdziała mu stopami.

– Patrz, co za perwers – szepnęła do mnie Baśka.

Mężczyzna dokładnie przeglądał każdą rzecz. Zastanawiałam się, kiedy zaczniesz się nacierać jej biustonoszami. Z nas wszystkich Mańka najmniej wyglądała na terrorystkę, no chyba że mogłaby zabić ilością specyfików, które ze sobą wzięła.

– Mańka, a nie mówiłam, żebyś zostawiła narkotyki w domu? – chlapnęłam rozbawiona, niewiele myśląc. Mikrus spojrział na mnie takim wzrokiem, że zaczęłam żegnać się z życiem.

– Joanno, ten żart był nie na miejscu – oznajmiła przytomnie Lucy. Zdecydowanie miała rację, bo to nie przyspieszyło kontroli bagażu. Pan pchełka przyczepił się ostatecznie do kosmetyków w zbyt dużych opakowaniach, które Mańka musiała zostawić. Był to dla niej cios w samo serce.

– Gacie mógł już sobie wziąć, ale moje mazidła?

– Mańka, ustawień fabrycznych twarzy i tak już nie przywrócisz, przestań się w końcu oszukiwać – powiedziałam pocieszająco.

– Dziewczyny, tutaj jest nasz gej – krzyknęła Baśka.

Dobiegłyśmy ostatkiem sił i w końcu znalazłyśmy się w samolocie. W środku trwały ostatnie przygotowania do startu. Jedni chodzili, drudzy siadali, a trzeci upychali swoje bagaże na półkach, ale żadna z tych czynności mi nie przeszkadzała. Właśnie poczułam, że rozpoczynają się nasze wakacje. Nikt niczego ode mnie nie chciał – ani pić, ani jeść, ani siku – nie chciał też rozkręcić samolotu na części.

– Mańka, to jest jakiś cud, udało się! – powiedziałam zadowolona do siedzącej obok przyjaciółki. Ona jednak nie okazywała tyle radości co ja. – Co jest? Martwisz się tymi kosmetykami? Daj spokój. Przez te parę dni jakoś dasz radę.

– Nie, ja się panicznie boję latać. Bardzo dawno nigdzie tak nie podróżowałam – powiedziała zupełnie poważnie.

– Kochana, nic się nie martw. Samolot ma to do siebie, że jak zginiemy, to wszystkie razem – zażartowałam.

– Asia, przestań, ja się naprawdę boję. – Była nieźle przerażona.

– Rozumiem, ale na szczęście lot nie będzie długi. Jak tylko wystartujemy, od razu kupimy sobie rozluźniacz.

– Dają tu pavulon?

– Boszsz, wódkę dają!

– Czy ja dobrze słyszę, że mówicie już o śniadaniu? – odezwała się z tyłu zaciekawiona Baśka.

– Tak, w stylu rosyjskim. Mańkę trzeba naprawić, bo trochę się lęka.

– Kiedyś czytałam o takim treningu relaksacyjnym Jacobsona – wtrąciła Lucy.

– I co ten Jacobson robi? Klaszcze penisem przed oczami? – zapytała Mańka.

– Trening polega na napinaniu i rozluźnianiu poszczególnych partii mięśni od głowy do stóp – wytłumaczyła Lucy.

– Mańka, pamiętaj, że siedzę obok ciebie – ostrzegłam przyjaciółkę. – Jak rozluźnisz nieodpowiedni mięsień, może cię to kosztować zmianę barchanów.

– Masz, napij się. – Baśka podała jej małą zubrówkę.

– Kiedy ty to kupiłaś? – zapytałam żywo zainteresowana.

– Wczoraj wieczorem. Jak się lata tyle co ja, to zestaw turysty trzeba mieć zawsze pod ręką.

Mańka bez namysłu wzięła duży łyk, a ja właśnie w tej chwili po drugiej stronie przejścia zauważyłam małego wrzeszczuna, na oko dwuletniego. „Joanna, nie denerwuj się, to nie twój bąbelek. Ty masz urlop i nic nie jest w stanie wytrącić cię z równowagi” – mówiłam sobie w duchu. Na szczęście jak dotąd obgryzał tylko fotel.

– Zazwyczaj nie jadam tak wcześnie śniadań, ale daj mi trochę tej wódki z trawą – powiedziałam bez zastanowienia, zerkając na małego.

Samolot zaczął kołować. W tym czasie stewardesy odstawiły swoją pantomimę. Zawsze było mi ich szkoda, bo prawie nikt nie zwracał na nie uwagi – oprócz Mańki dzisiaj. A tak ładnie rączkami machały. Instrukcje, co robić na wypadek ewakuacji, zdecydowanie nie pomagały mojej przyjaciółce. Gdy samolot zaczął się wzbijać, złapała mnie mocno za rękę, aż się przestraszyłam, że będę miała siniaki.

– Asiunia, jakby co, to... – Nie dokończyła, ale pojęłam w lot, o co chodzi.

– Tak, tak, zaopiekuję się twoimi dziećmi. – To ją trochę uspokoiło. W końcu czego się nie robi dla najbliższych.

Po pewnym czasie samolot zaczął lecieć jednostajnie i Mańka odetchnęła. Spojrzałam w okno. Było przepięknie. Białe obłoki dryfowały po czystym niebie. Ileż tu, u góry, było wolności i spokoju. Niestety tylko za oknem, bo aktywność bąbelka nie skończyła się na obgryzaniu siedzenia. Młody człowiek postanowił pokazać swoje możliwości wokalne, zagłuszając skutecznie powitanie pilota. Co gorsza, zawartość małej buteleczki dość szybko się skończyła, ale na szczęście pojawiła się stewardesa ze swoim magicznym wózekkiem.

– Nie pamiętam, kiedy tak wcześnie rano piłam alkohol – powiedziałam do Mańki, sącząc drinka. Czułam się jak licealistka, która robi coś zakazanego.

Spojrzałam na zegarek. O, dzieci powinny być już w szkole. Ciekawe, czy się nie spóźniły. Nie potrafiłam się jeszcze wyluzować.

Wyciągnęłam przewodnik po Budapeszcie i kartkę, żeby rozpisać plan na najbliższe parę dni. Odwróciłam się do dziewczyn.

– To co, od czego zaczynamy zwiedzanie? – zapytałam.

– Od czegoś dobrego do jedzenia – powiedziała Lucy.

– O tak, zgadzam się – zawtórowała jej Baśka.

– No dobra, a jak zjemy, to idziemy w miasto. Jest tam tyle atrakcji, na przykład dzielnica żydowska, łaźnie Gellérta i Wzgórze Zamkowe wpisane na listę UNESCO.

– Asiunia, tylko pamiętaj, że nie zbieramy naklejek do Biedronki za dzienną ilość zrobionych kroków – upomniała mnie Mańka.

– O nie, nie, ja nawet nie mam dobrych butów do chodzenia – zastrzegła Lucy.

– A do leżenia masz? – zapytałam z nutką uszczypliwości. Wzięła tak dużą walizkę, że byłoby dziwne, gdyby jej się nie zmieściły.

– I nie bijemy się o to, żeby powiesili nasze zdjęcia na tablicy węgierskiego oddziału PTTK – dodała uśmiechnięta Baśka.

– Dobra, zrozumiałam przekaz. Wy stare leniwe tufty.

– A umiecie powiedzieć coś po węgiersku? – Mańka zmieniła temat. – Bo ja *egészségedre* pamiętam.

– A ja laskosz targosz minkosz wargosz.

– Bardzo przydatny zwrot, Joanno – ucieszyła się Mańka.

– Dobra, dobra, nie zagadujcie mnie. Ja zwiedzania nie odpuszczę – upierałam się. – Musimy wypracować jakiś kompromis – dodałam beztrąsko. Czułam już zbawienny wpływ roślinności zawartej w buteleczce na moje rozluźnienie. To dlatego pewnie dietetycy biją na alarm, żeby konsumować zieleninę.

– I to jest słowo klucz: „kompromis” – przyznała mi rację Baśka. – Ale pamiętajmy, że to wyjazd rekreacyjny, a nie obóz wędrowny. – Trochę mnie zawiodła, bo myślałam, że w niej będę miała największe wsparcie w tej kwestii.

Nagle samolot wpadł w lekkie turbulencje, co sprawiło, że Mańka momentalnie się usztywniła.

– Nic się nie dzieje – powiedziałam, dodając jej otuchy.

Spojrzałam na bąbelka skaczącego po swojej mamie. Dlaczego nigdy nie piszą w poradnikach dla rodziców, że posiadanie dzieci powoduje liczne uszkodzenia ciała? Człowiek by w pełni świadomie podejmował decyzję o macierzyństwie. Coraz bardziej podobał mi się nasz *city break* bez wrzeszczunów. Ba, nawet *toilet break* bez ciągłego „mamooo” jest tego wart.

Nieopatrznie maluch uderzył głową tak, że wypadła maska tlenowa.

– O kurwa, spadamy! – krzyknęła Mańka. Zrobiła to tak sugestywnie, że wzrok wszystkich skierował się na nas.

– To tylko turbulencje – próbowałam wytłumaczyć, choć sama byłam już lekko podenerwowana.

– Nie! Stewardesa mówiła, że jak coś tam się dzieje, to wypadają maski – panikowała Mańka, choć nie umiała dobrze powtórzyć samolotowej pantomimy. Jej popłoch udzielał się innym.

– Dzieciak ją strącił, uspokój się – próbowałam przywołać przyjaciółkę do porządku.

– Co się dzieje? – zapytała z tyłu Lucy.

– Spadamy! Matko, ja chcę żyć – krzyknęła Mańka na cały samolot, wywołując spore poruszenie. Ludzie zaczęli nerwowo kręcić się na siedzeniach.

– Mańka, uspokój się, bo zaraz nas stąd wyrzucą, i to jeszcze w kaftanach. A żyć za chwilę na pewno nie będziesz, bo sama się o to postaram! – warknęłam przez zaciśnięte zęby. A miało być tak pięknie. Pełen relaks bez bąbelków, tymczasem zamiast tego będzie morderstwo najbliższej przyjaciółki!

– Wyrzucą? – łapała mnie za słówka.

– Tak, otworzą drzwi i wypchną! – rzekłam dosadnie, uznając, że skoro po dobroci nie dociera, to może terapia wstrząsowa pomoże. Jak na złość samolot wpadł w jeszcze większe turbulencje.

– Pierdołę, wychodzę stąd – powiedziała Mańka z taką pewnością, że bałam się, że zaraz zacznie zbierać swój mandzur i ruszy do drzwi, żeby je sforsować.

– Chyba będzie ci ciężko – stwierdziła Lucy ze stoickim spokojem.

Wtedy obok nas zmaterializowała się stewardesa, czym wzbudziła zainteresowanie pasażerów.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała głosem Krystyny Czubówny opowiadającej o kopulacji orek bengalskich.

– Jak może być w porządku, skoro zaraz uśniemy w Panu? Zresztą wy zawsze tak pytacie – zaatakowała ją Mańka.

– Proszę się nie denerwować. To tylko lekkie turbulencje. Zaraz wylecimy z tej strefy – uspokajała ją kobieta.

Wszystkie oczy zwrócone były na nas. Gdybym wiedziała, że będę miała taką publikę, to przynajmniej bym się jakoś ładniej ubrała i włos przeczesła. Nawet wrzeszczun nie narobił tyle wiochy co Mańka.

– A ta maska wypadła, bo co, bo jej się nudziło? – Moja przyjaciółka nie wierzyła w żadne słowo stewardesy. Siedziałam obok i próbowałam nadrabiać uśmiechem. Może przynajmniej dowyglądam. Całe życie z debilami.

– Została strącona przypadkowo przez chłopca – tłumaczyła kobieta łagodnym głosem. Czekałam, aż zacznie odliczać Mańce przed oczami i machać wahadełkiem.

– Mówiłam ci, ale nie chciałaś mnie słuchać – syknęłam.

Samolot zaczął znów lecieć jednostajnie, co pomogło w opanowaniu sytuacji. Podziękowałyśmy stewardesie za pomoc.

– Jebany bąbelek – wymamrotała dosadnie matka dzieciom, to znaczy Mańka, gdy zostałyśmy same.

– Uśmiech naszego dziecka premią za trud wychowawczy – zacytowałam klasyka, spoglądając na wesołego sprawcę zamieszania.

– Mańka, niezłe miałaś wejście – rzuciła Baśka z tylnego siedzenia.

Dzięki tej dramie podróż minęła nam dość szybko. Samolot zaczął zniżać się do lądowania. Z tej ekscytacji poczułam nerwowe łaskotanie w brzuchu.

– Dziewczyny, gotowe na przygodę? – zapytałam. Byłyśmy w doskonałych nastrojach, no może oprócz Mańki, która przy lądowaniu chyba znów ćwiczyła technikę relaksacyjną Jacobsona.

Na lotnisku odprężone udałyśmy się do wyjścia. W powietrzu pachniało zagranicą. Tłum ludzi parł do przodu, musiałyśmy się przez niego przeciskać. Z każdej strony słychać było inny język. Uwielbiam ten stan. Spojrzałam na niebotycznie wysokie buty Lucy. Nie dziwiłam się, że nie chciało jej się chodzić po mieście. Ja bym w takich nawet nie potrafiła prosto stanąć.

– No dobra, dziewczyny, chodźmy szybko po te wasze walizki i poszukajmy taksówki do hotelu, okej? – zaproponowała Baśka.

– O, zobaczcie, to chyba tutaj, u góry jest napisane „Warsaw”. – Wskazałam na monitor nad taśmą bagażową.

Walizki wjeżdżały powoli jedna za drugą. Przypomniało mi się, jak moje dzieci na nie polują, zawsze gdy jesteśmy na lotnisku, biegając między innymi oczekującymi. Poczułam, że pomimo odżywczych właściwości trawy, którą sobie zaaplikowałam podczas lotu, zaczęło ogarniać mnie zmęczenie. Wczesna pobudka, afera z taksówkarzem i *drama queen* w osobie Mańki sprawiły, że moja energia zdecydowanie opadła. Generalnie w tym wieku na drugie imię powinnam mieć „opad” – cyków, brzucha, a nawet tyłka. Tępo wpatrywałam się w jeden punkt, starając się nie zasnąć na stojąco, gdy w pewnym momencie zobaczyłam ogromny plakat.

– Ty, Baśka, widzisz to? – Szturchnęłam przyjaciółkę.

– Co?

– No ten plakat, nie da się go nie zauważyć – wyjaśniłam.

– Widzę, to reklama jakiegoś kraju – odpowiedziała ze spokojem.

– Baśka, skup się, jaka znowu reklama?! Widzisz, co jest tam napisane? – ciągnęłam ją za język.

W tej chwili dołączyły do nas dziewczyny ze swoimi walizkami. Matko, one chyba zamierzały emigrować z Polski, bo nikt normalny nie wzięłby tylu rzeczy na parę dni.

– Ja tu widzę: „Romania, explore the Carpathian garden” – przeczytała zadowolona Lucy.

– Nie żebym była specjalnie dociekliwa, ale gdzie my jesteśmy? – zapytałam podejrzliwie, bo coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Odwołuję. Jednak trawa zamknięta w butelce nie daje jasności umysłu.

– No w Budapeszcie – stwierdziła Baśka z absolutną pewnością.

Spojrzałyśmy wszystkie po sobie bez słowa i wybiegłyśmy na dwór. Na budynku lotniska widniał jebitny napis „AIRPORT INTERNATIONAL BUCUREȘTI”. Przetarłam oczy ze zdumienia.

– O kurwa – wydusiła z siebie Baśka.

– Mówiłam, że coś jest nie tak. Reklama innego kraju! – drwiłam. – Lucy, pokaż te bilety. Gdzie my do cholery jesteśmy, ja się pytam?!

Przyjaciółka zaczęła szukać ich nerwowo w torebce. Pozostałe trzy pary oczu były w nią wpatrzone jak w trzydziestoletniego włoskiego gacha naszej koleżanki.

– No więc mamy „Warszawa–Bu...” – zaczęła Lucyna.

– „Bu” co? – dopytałam.

– Bu... – Lucy się zawahała.

– To już wiemy! A co dalej?

– BU-KA-RESZT! – przesyłabizowała wreszcie.

Zapadła wymowna cisza.

Rozdział 7

– *Fuck*. Co za akcja! – Baśka zaczęła się nerwowo śmiać.

– Tępe dzidy, jesteśmy w jakiejś pieprzonej Rumunii, a nie na Węgrzech. A to jakby robi różnicę! – powiedziałam głośno i dosadnie, bo odniosłam wrażenie, że chyba do nikogo to nie dociera.

– Po węgiersku to ja chociaż *egészségedre* umiałam. I co my teraz zrobimy? – zasmuciła się Mańka.

– Lucy, jak to się stało? – zapytałam podniesionym głosem.

– Nie wiem, musiałam się pomylić przy kupowaniu biletów, wiesz, szybka decyzja, szybkie picie wina – tłumaczyła się, aż zrobiło mi się jej szkoda.

– Tu Bu i tam Bu, łatwo popełnić błąd – broniła jej Mańka.

– Świetnie, serio, po prostu wyprawa marzeń. Mogłam jednak na ten Targówek pojechać! – nadal się wściekałam. – Co my wiemy o tym miejscu?

– Ja nic, ale jak ciągle gdzieś wychodziłam, to mój tatuś mówił: „Gdzie wy się szwendacie jak te Rumuny?”. Chyba więc lubią tryb koczowniczy – powiedziała Mańka.

– A wiecie, jak się nazywa Rumun z CD w tyłku? CD-ROM – rzuciła sucharem Baśka, patrząc na naszą reakcję. Rzeczywiście udało jej się rozładować trochę napięcie.

Gdy już sobie ustaliłyśmy, jaką posiadamy wiedzę o mieszkańcach tego kraju, należało zacząć myśleć racjonalnie.

– No dobra, dziewczyny, wyszło, jak wyszło, jesteśmy w dupie, ale wcale nie musimy się w niej jeszcze meblować. Bukareszt też na pewno jest fajny – powiedziała Baśka bez większego przekonania, ale się starała.

– Baśka ma rację. W końcu jesteśmy w Europie. Przecież nie będziemy teraz szukać samolotu do Budapesztu, bo szkoda czasu – dokończyłam, gdy już przeszła mi wścieklizna macicy. Kiedyś lekarz zapytał mnie na wizycie, czy mam wahania nastrojów. Odpowiedziałam zadowolona, że w życiu – zawsze jestem tak samo wkurwiona.

– Ze mną jak z dzieckiem – zapewniała Mańka.

Jedynie Lucy milczała.

– Lucy? Co jest? – zapytałam ją troskliwie.

– Strasznie mi głupio. Spieprzyłam nam wakacje – odpowiedziała ze smutkiem.

– Daj spokój. Pamiętasz, jak Mańka zamówiła po pijaku lamy w internecie, które potem paradowały przed twoją klatką? Musiałaś się tłumaczyć przez tydzień administracji na tym słodko pierdzącym osiedlu, gdzie nawet psy muszą robić kupę na wymiar – przypomniałam. Wtedy Lucy padła ofiarą naszych pijackich wybryków.

– I jeszcze zapłaciłam za nie z pieniędzy trójki klasowej – dodała z dumą Mańka.

Lucy uśmiechnęła się szeroko. Wiadomo przecież, że nic tak nie cieszy jak ludzka krzywda.

– Zobaczcie, tam jest informacja turystyczna. Zapytajmy o noclegi – zaproponowała Baśka.

– Po co, zaraz poszukam czegoś w aplikacji – wtrąciłam, sięgając do torebki po telefon.

– Asiunia, nie to, żebym chciała ponownie zaburzyć twój zen, ale nie mamy telefonów – przypomniała Mańka. Rzeczywiście o tym zapomniałam, jednak przyzwyczajenie było silniejsze. Normalnie wysłałabym już kilka esemesów do rodziny z pytaniami, czy żyją i mają się dobrze. Trudno było odciąć pępowinę albo raczej odpuścić kontrolę.

Przyjęłyśmy do wiadomości, że Budapeszt jest Bukaresztem i poszłyśmy do informacji. Nie zawsze w życiu jest tak, jak sobie zaplanowaliśmy, ale trzeba znów wypiąć cycki i iść dalej.

Poprosiłam o pomoc kobietę w okienku. Miała tak utlenione włosy, że mogłaby oddychać pod wodą bez powietrza. Poklikała w komputerze i po chwili powiedziała po angielsku:

– Będzie mi bardzo ciężko coś znaleźć. W Bukareszcie odbywają się targi Baby Boom oraz psów rasowych.

– No dobra, teraz to już przegięli, nawet dla mnie – jęknęła Mańka.

– *Baby boom*, zobaczcie, drugie słowo też zaczyna się na „bu”. Łatwo się pomylić. – Lucy nadal szukała wymówki dla swojej pomyłki.

Kobieta zaproponowała nam dwa obskurne motele.

– Tylko te są wolne.

Spojrzałyśmy po sobie.

– Mój chomik ma już lepszą klatkę – skomentowała Baśka.

– Nie ma takiej opcji – powiedziała Lucy stanowczo. Chyba nie spodobała jej się makatka nad łóżkiem, ale dywan był już niczego sobie. Ile męskich plemników musiało się na nim spotkać.

– Ja tam francuskim pieskiem nie jestem, ale ten widok nie zachęca – skrzywiła się Mańka.

Mnie było już wszystko jedno. Ze zmęczenia czułam się zagubiona jak dziwka przy konfesjonale. Marzyłam, żeby choć na chwilę przyłożyć głowę do poduszki. Byłabym idealną zakładniczką – w tym stanie zgodziłabym się nawet na najbardziej wyrafinowane męczarnie.

Kobieta z informacji, widząc nasze niezadowolenie i rozczarowanie, zaproponowała coś jeszcze.

– Jeśli lubią panie naturę i góry, mam coś naprawdę wyjątkowego, ale to jest trzy godziny od Bukaresztu. W pobliżu słynnego zamku, gdzie mieszkał Drakula – powiedziała, pokazując nam hotel ze spa jak z obrazka na tle majestatycznych szczytów.

– Dziewczyny, bajka, jedźmy tam – ucieszyła się Lucy.

Mogliby mi zaoferować nocleg w skrzynce na jabłka, i tak bym przyjęła. Widziałam, że Mańka też ma kryzys. Pewnie wstała o piątej rano, żeby zrobić się na kobietę.

– Bierzmy, do tego jest w dobrej cenie – zauważyła.

– Tak, nie ma co tracić czasu – poparła ją Baśka. Jeszcze nigdy na tym wyjeździe nie byliśmy tak jednomyślni.

Zapytałyśmy, gdzie jest wypożyczalnia samochodów, jednak i tam sytuacja nie wyglądała kolorowo.

– Dziewczyny, to jakiś obłąd. Ci od bąbelków i psów wynajęli wszystkie auta – zdała nam relację Baśka.

– Nie ma kompletnie nic? – Miałam już ochotę wsiąść w jakikolwiek samolot, który leciał chociaż w pobliże Polski. Resztę bym sobie przeszła piechotą.

– Jest. Dacia, rocznik siedemdziesiąty czwarty. Co robimy? – zapytała Baśka.

– Hm, dojrzały okaz – ironizowała Mańka.

– Jeśli tylko jedzie do przodu, bierzmy cokolwiek – powiedziałam załamana.

Od początku ten wyjazd się nie kleił. Zaczęłam żałować, że szejk jednak zmienił plany i mogłam pojechać. No dobra, jedno, co uznaję za udane, to że nie słyszę non stop „mama”. Spojrzałam na Lucy. Ona chyba też miała już dość, a zwłaszcza jej stopy.

– Lucy, co tak kopytkujesz? Czyżbyś miała nieodpowiednie obuwie? – zachichotałam.

– Rzeczywiście troszkę mnie uwiera – przyznała. Jednak biorąc pod uwagę jej pozy, opcje były dwie – albo zachęcała rumuńskich adoratorów do kopulacji, albo stanie w tych butach graniczyło z cudem.

Ruszyłyśmy na parking, żeby odebrać samochód. Przed nami stała leciwa zielona dacia.

– To co? Która odważy się pojechać bez automatu? – Baśka zadała kluczowe pytanie.

– A czy ten gruchot się nie rozpadnie? – zainteresowała się Lucy.

– Ja jestem rocznik siedemdziesiąty szósty i jeszcze jakoś dycham, aczkolwiek przydałoby się już w wielu miejscach naoliwić – powiedziałam

zgodnie z prawdą.

– Albo raczej tylko w paru miejscach nie trzeba – rzuciła Mańka z przekąsem.

– Czy jest tu klimatyzacja? – Lucy zajrzała do środka.

– Tak, mogę ci nachuchać – zaproponowałam, bo niewiele się spodziewałam po tym relikcie przeszłości. – Ja pokieruję potem, dobra? – Czułam się niepewnie, patrząc na to auto.

– Okej, to ja zacznę, a później będziemy się zmieniać – zdecydowała Baśka.

– A ja siadam z przodu. Jest tu jakaś nawigacja? – zapytała Lucy. Jako jedyna z nas nie miała prawa jazdy. Zdawała egzamin tyle razy, że komputer już chyba automatycznie wyrzucał ją z listy kursantów.

– Taaa, myślę, że najnowsza wersja z Google’a. Wiesz, otwieranie szyby korbką i pytanie o drogę – zaśmiała się Mańka.

– W takim razie reszta matek siedzi z tyłu – oznajmiłam zadowolona.

Wtrzyliśmy się z Mańką na tylne siedzenie. Wraz z nami usiadła walizka Lucy. Niestety nie wszystko udało się wepchnąć do niewielkiego bagażnika.

– Lucy, co ty tam nabrałaś? – gderałam, gdy próbowałyśmy jakoś ulokować na siedzeniach ten prawie mebel.

– Nic szczególnego. Odzienie wierzchnie, obuwie i trochę leków na wszelki wypadek – odpowiedziała.

– Trochę leków czy całą aptekę? Dobrze, że nie zamknęli nas za przemyt – zauważyłam.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – odcięła się Lucy.

Mańka z uporem maniaka przepychała walizkę na moją stronę, a ja na jej.

– Wybacz, Joasiu, ale ty ze swoją filigranową figurą potrzebujesz mniej miejsca niż ja. – W końcu cisnęła bagażysko prosto na mnie.

– Mniej to nie znaczy, że mam siedzieć za oknem. – Mańka tak na mnie napierała, że chyba najwygodniej byłoby wystawić nogi na zewnątrz.

– Dziewczyny, już ustaliłyście zakres siedzenia? – Baśka odwróciła się, widząc nasze przepychanki.

– Założmy. – Z twarzą przyklejoną do bagażu ledwo mogłam mówić.

– To w drogę! – ucieszyła się Lucy. W ręce dźmierzyła papierową mapę, którą dostałyśmy w wypożyczalni.

Baśka ruszyła, robiąc ze cztery hopki. Samochód stanął. Ponownie go odpaliła i wrzuciła bieg.

– *Shit!* – wyrzuciła z siebie, gdy auto zaczęło nagle jechać do tyłu.

– Baśka, na mój gust, żeby pojechać do przodu, to trzeba wrzucić jedynekę, ale może się nie znam. – Wsadziłam głowę między przednie siedzenia, wyginając się przy tym niemiłosiernie.

– Wiem przecież, ale jakoś ciężko chodzi. Kiedy ostatnio prowadziłaś samochód z manualną skrzynią biegów? – zapytała, wyzywając się na drażku.

– Może spróbuj delikatniej – zasugerowała Mańka.

– Staram się.

– Naciśnij mocniej sprzęgło – poradziłam.

Baśka miała ewidentnie dość naszych złotych rad. Chór grecki jednak nie przestawał. Ile głów, tyle pomysłów.

– To chyba trzeba jakoś inaczej – powiedziała Lucy, królowa prawa jazdy z paczki czipsów.

Wreszcie udało się wrzucić bieg i ruszyliśmy w drogę.

– Myślicie, że w końcu można uznać, że nasze wakacje się już rozpoczęły? – zapytałam z nadzieją w głosie, bo trochę inaczej je sobie wyobrażałam.

– Ja tak dawno nigdzie nie byłam sama, że nawet mogę sobie w samochodzie posiedzieć przez te parę dni na obcej ziemi – ucieszyła się Mańka.

– A ja wizualizuję sobie nasz hotel, w którym będziemy za kilka godzin – dodała Lucy.

– To na razie zwizualizujemy sobie podróż. Lucy, mów, jak mam jechać. – Baśka, skupiona na trasie, sprowadziła nas na ziemię.

– Musimy kierować się na Braszów. O, zobacz, tu jest zjazd. – Lucy wskazała tablicę informacyjną. Na ulicy utworzył się ogromny korek.

– Niby jesteśmy w Rumunii, a jednak czuję się jak w Warszawie – powiedziałam, patrząc przez szybę. Za oknami stał sznur aut.

– Obstawiam, że wszystkie matrony z wózkami wracają z tego Baby Boomu – stwierdziła Mańka.

– Zapomniał wół, jak cielęciem był. Pamiętasz, jak z naszymi bąbelkami w gondolach paradowaliśmy po osiedlu? – przypomniałam wcale nie aż tak odległą przeszłość.

– Oj, ja pamiętam, i to doskonale – wtrąciła Lucy. – Rosa od najmłodszych lat próbowała mnie terroryzować. Gdy tylko stanęłam choć na chwilę z wózkiem, od razu zaczynała się drzeć. Po pół roku spacerowania w tym samym parku asfalt w alejkach miał już wyżłobione tory od kółek. Bałam się, że będę musiała pokryć jego naprawę z własnej kieszeni.

– To i tak nic. Mój starszy synuś, serduszko moje najśłodsze, z uporem maniaka od dziesięciu lat budzi się o piątej rano! Mówili, że przejdzie. Gówna prawda – nakręciła się Mańka.

– Jak mówi mój brat: „Nie trzeba było się bzykać”. Ja to już na wszelki wypadek nawet folii z parówek nie ściągam – powiedziałam dosadnie, bo przypomnieli mi się jego koronny argument, gdy narzekamy na dzieci. Nie sposób się z nim nie zgodzić. W końcu nikt nikogo pod penisem, w sensie: pod pistoletem, nie trzymał.

– Już niedługo powinniśmy wyjechać na obrzeża miasta – oznajmiła Lucy, patrząc na mapę. – Wiecie co, zaczynam powoli czuć ssanie w żołądku. – Gdy to powiedziała, przypomnieli mi się, że niewiele

jadłyśmy. Trochę tej trawy w butelce w samolocie, potem jakaś szybka kanapka na lotnisku.

– A było brać kabanosiki na drogę – rozmarzyła się Mańka.

– Chyba lepiej, żebyśmy nie dotarły do tego Drakuli w środku nocy – powiedziałam. Poza tym chciałam jak najszybciej podać Wojtkowi numer telefonu nowego hotelu. Pewnie się już niepokoił, a może nawet próbował się do mnie dodzwonić.

– Dżoana ma rację. Jedźmy, ile się da, okej? – zaproponowała Baśka.

– Ja tam jestem nauczona hibernacji żołądka. To taka matczyzna sztuczka. Jedzenie przy dzieciach jest trochę jak rosyjska ruletka. Nigdy nie wiesz, czy wypali. Gdy akurat usiądziesz do posiłku, właśnie wtedy zaczyna się festiwal próśb przyległości. Wszystko jest bardzo ważne, a jeśli natychmiast im nie pomożesz, to odchodzi drama – powiedziałam.

– À propos jedzenia, mam taką koleżankę ekolożkę – przypomniała sobie Lucy. – Mieszka w lesie, uprawia zioła, robi z nich mieszanki i piecze sama chleby. Używa tylko naturalnych produktów. – Czułam, jak ślinianki zaczynają pracować mi z głodu.

– No to tylko pozazdrościć umiejętności. – Oczami wyobraźni próbowałam ujrzeć siebie w takiej roli, ale cóż. – Ja na przykład ostatnio robiłam dzieciom grzanki z serem.

– Brawo ty – skomentowała z sarkazmem Baśka, wpatrując się w ulice miasta.

– I jakoś tak się niefortunnie złożyło, że zapomniałam zdjąć folijkę z sera. Czułam się jak ostatnia debilka – żaliłam się dziewczynom.

– Ależ Asiunia, przecież to cenne źródło kwasu foliowego – wsparła mnie Mańka.

– Czyli jednak jestem równie proekologiczna jak koleżanka Lucy – ucieszyłam się.

– I wyobraźcie sobie, że ostatnio upiekła chleb – kontynuowała Lucyna.

– Już mówiłaś – przypomniała Mańka.

– Ale ten był na drożdżach z jej własnej waginy!

– Ożeż! Moja folijka przy tym to nic. – Nie kryłam zdumienia.

– Zaczekajcie, jak dobrze pogrzebię, to może miód w uszach znajdę. Mogłabym założyć z twoją znajomą kooperatywę – dworowała sobie Mańka.

– A może i gruyère’a między palcami. No i proszę, z jednego człowieka może powstać wyborna kolacja. To się właśnie nazywa drugi obieg. – Śmiałyśmy się z tyłu jak wariatki.

– Dziewczyny, zaraz się porzygam – ostrzegła Baśka.

Mańka i ja nadajemy na tych samych falach. Rzadko zdarza się taka przyjaźń od dzieciaka. I niełatwo utrzymać ją przez tyle lat. Obie się zmieniłyśmy, ale nie przeszkadza nam to dalej iść razem przez życie.

– Musisz tu skrócić w lewo – krzyknęła nagle Lucy. Chyba nasze konsumpcyjne opowieści sprawiły, że straciła czujność.

– Tutaj? – dopytała Baśka.

– Tak.

– Powiedziałam „w lewo”. Dlaczego skręciłaś w prawo? – Lucy wyglądała na zbitą z tropu.

– No to jest lewo.

– A nie prawo?

– Nie, Lucy, zdecydowanie nie.

– A no tak, sorry, czasami mi się myli – przyznała.

– Lucynko, a to „czasami” to jaką ma częstotliwość? – zapytałam niewinnie. Nie chciałam tym razem wylądować w kraju sąsiadującym z Rumunią. Już się przyzwyczaiałam do myśli o wampirach na zamku.

– Jak się lepiej skupię, to się nie pomylę – odparowała Lucy. I chciałam w to wierzyć.

Korki się skończyły, powoli opuszczaliśmy Bukareszt. Baśka włączyła rumuńskie radio. Bardziej trzeszczało, niż grało, więc idealnie wpisało się w naszą konwencję podróży. Za to my wyjątkowo zamilkłyśmy. Takie chwile powinno się spisywać na kartach historii. Wszystkie poczułyśmy

zmęczenie po całym dniu. Chyba jakimś cudem udało mi się zasnąć, bo po pewnym czasie obudził mnie głos Baśki:

– Zmieni mnie któraś? Muszę trochę odpocząć.

– Mogę poprowadzić – zaoferowała się Mańka.

– To ja będę nawigować – rzuciłam, spoglądając przez okno. Po krótkiej drzemce dostałam zastrzyku energii – jak króliczek duracella z nowymi bateriami. Zmieniłyśmy konfigurację w aucie i ruszyłyśmy w dalszą drogę.

– Myślę, że do hotelu mamy jeszcze około dwóch godzin – powiedziałam.

– Idealnie. Pierwsze co, to pójdę dokonać ablucji – cieszyła się Mańka.

– Baby, wyobrażałyście sobie, że będziemy tak siedzieć same razem za granicą i nie trzeba będzie nikomu nic kroić na talerzu w kosteczkę? Bo ja wciąż nie mogę w to uwierzyć – powiedziałam zadowolona.

– Wyobrażałam sobie trochę inne warunki, ale na szczęście już niedługo będzie cywilizacja – przyznała Lucy.

Uwielbiam ją za to, że nie udaje. Niektórzy mogą uważać Lucynę za wyniosłą, ale ona po prostu dobrze się czuje w ładnym otoczeniu, do którego sama się zalicza. Kiedyś mieli lecieć z rodziną na wycieczkę. Przed wyjściem z domu Lucy otworzyła paszport i oznajmiła, że nigdzie nie leci, bo źle wyszła na zdjęciu. Jebaniutka tak się uparła, że została w domu. No ja bym takich jaj nie miała.

– Są wakacje, trzeba się męczyć. Ma być drogo i źle, tak mawiał mój ojczulek – cieszyła się Baśka.

– Ja ostatnio przepuszczałam ludzi w kolejce, żeby przedłużyć sobie czas poza domem. A jak ktoś protestował, to mówiłam, że jestem matką czwórki dzieci. Widziałam zrozumienie na ich twarzach – powiedziała z radością Mańka.

– Przecież ty masz dwójkę dzieci – zauważyła trzeźwo Lucy.

– Ale dwójka chłopców liczy się podwójnie. Więcej się brudzą i bardziej śmierdzą.

– Uważaj! – krzyknęłam w pewnej chwili do Mańki.

– Stara, wiesz, że kierowcy nie można stresować? – zapytała ta ostatnia podniesionym głosem.

– Przecież ja cię nie stresuję, tylko powiedziałam „uważaj”.

– Już ja znam to twoje „uważaj”. Ostatnio, gdy prowadziłam, chciałaś mi wyrwać kierownicę.

– Zaraz tam wyrwać. Sprawdziałam, czy dobrze ją trzymasz – sprostowałam.

– Lepiej mi powiedz, gdzie mam teraz jechać, terrorystko drogowa – powiedziała Mańka z uśmiechem.

– Wygląda na to, że mniej więcej za dwieście metrów musisz skręcić w prawo. A może jesteś już zmęczona? Możemy się zamienić – zaproponowałam. Ze stresu aż cała zbladłam. Nawet będąc pasażerką, byłam kierowcą.

– Nie panikuj. Ale prawdziwe prawo czy takie jak u Lucy? – upewniła się Mańka, ignorując moje pytanie.

– W prawo, czyli tutaj. – Wskazałam ręką właściwą stronę i wzdrygnęłam się nerwowo.

– Asiunia, przestań, bo będę cię musiała wysadzić – zagroziła mi Mańka, ale skręciła zgodnie z poleceniem. Jechałyśmy dalej, aż naszym oczom ukazała się tablica z nazwą Buzau.

– Coś mi tu nie gra. Chyba miałyśmy jechać na Braşów?

– No tak – przytaknęłam.

– Boszsz, znowu wszystko na B. Czy oni nie mają innych liter? – zaskrzeczała Lucy.

Zatrzymałyśmy się na poboczu i spojrzałyśmy na mapę.

– No i dupa blada – powiedziała Mańka. – Asiunia, chyba masz nienachalny stosunek do map.

– Stosunek to ja zawsze mam nachalny, ale rzeczywiście dużo tych miast na B. Można się pomylić – przyznałam. Byłam tak zestresowana Mańką za kierownicą, że z nerwów chyba schudłam z pięć kilo. Zamiast skupić się na drodze, zastanawiałam się, ile mi jeszcze życia zostało.

Zaczełyśmy szukać trasy, którą miałyśmy dotrzeć do hotelu.

– Wygląda na to, że musimy pojechać przez te góry. – Baśka wskazała palcem miejsce na mapie.

– Gdybyśmy miały chociaż nawigację w telefonie, pewnie już dawno byłybyśmy na miejscu. – Ostentacyjnie wyraziłam swój stosunek do braku urządzeń, które uratowałyby nam tyłek.

– Ale nie mamy i bez sensu gdybać. Jesteśmy tu i teraz. Nauczyłam się tego od buddystów. Trzeba czasem wyjść ze strefy komfortu – rzuciła Baśka zupełnie poważnie.

– No ja jakby już wyszłam. Tak mi zimno, że aż moja wagina zaczęła klaskać – poskarżyła się Mańka, dzięki czemu rozładowała lekkie napięcie między nami. Rzeczywiście, na dworze upał jakby zelżał. Skręciłyśmy i ruszyłyśmy we właściwym kierunku.

– To co, zmieniamy się? – dopytywałam z uporem maniaka.

– Wierci, wierci, no i wywierci tę dziurę – skomentowała Mańka. – Jeszcze trochę i oddam ci kierownicę, spokojnie. – To ostatnie słowo działało na mnie jak płachta na byka.

Zaczełam sapać, przewracać oczami i wykonywać różne figury dobitnie wskazujące, z jaką dezaprobatą podchodzę do stylu jazdy Mańki. Ta w końcu ostatecznie po jakimś czasie się poddała. Skręciła w niewielką zatoczkę, gdy nagle usłyszałyśmy jakiś dziwny odgłos.

– Co to było? – zapytałam zaniepokojona. Jeszcze to na moje i tak już zszargane podróżą nerwy.

– No coś jakby jebło – odpowiedziała Baśka.

– Mańka, może kogoś przejechałaś! – wypaliłam zupełnie poważnie. W samochodzie zapadła cisza.

– Nie no, takie rzeczy dzieją się tylko w filmach – zauważyła trzeźwo Lucy.

Może i tak, ale miałam wrażenie, że mój cały żywot jest jednym długim filmem z gatunku thrillera z elementami groteski, a wieczorami to nawet horrorem, zwłaszcza przed tym, jak dzieci zasną.

– A mówiłam, żebyśmy się zmieniły – mruknęłam pod nosem.

– Nie pomagasz – zachnęła się Mańka. – Dobra, idę zobaczyć, co się stało.

Wysiadła z samochodu, a my tuż za nią. Wokół panowała głucha cisza, czasem przejeżdżały tylko pojedynczo auta.

– O kurwa – przeraziła się Mańka, schylając się przy samochodzie.

– Czyli jednak kogoś przejechałyśmy. Jak nic, trup! Ale są i tego plusy. Jeśli zamkną nas w pace, to przynajmniej się wyśpię za wszystkie czasy! – Z paniki dostałam słowotoku.

– Trupem to zaraz sama będziesz, jeśli nie przestaniesz mnie wkurzać – rzuciła Mańka. Może to wcale nie byłoby takie głupie rozwiązanie. I tak byłam bliska śmierci, siedząc z przodu i patrząc, jak moja przyjaciółka kieruje.

– O szlag. Chyba wjechałyśmy w jakąś mega wielką dziurę – oznajmiła Baśka. Wszystkie cztery wbiłyśmy wzrok w koło, które znalazło się w otchłani rumuńskiego zapadliska.

– No dobra, to co robimy? – Wzięłam się pod boki, jakby miało mi to pomóc w myśleniu.

– A ty co? Krakowiaka będziesz tańczyć? – rzuciła Mańka, patrząc na moją pozę.

– Tak, kiedyś uczęszczałam do grupy tanecznej Wściekle Macice i pomyślałam, że odświeżę sobie kroki, żeby rozładować napięcie.

– Czyli po charakterze przyjmowali.

– Tak, dla ciebie też było miejsce.

– Mam pomysł. Zadzwońmy po prostu do wypożyczalni – błysnęła Lucy.

– Pewnie przyprowadzą nam zastępczy samochód. Gdy nam się raz popsuło auto, mój mąż tak właśnie zrobił.

– Wszystko się zgadza, tylko jakby nie mamy telefonów – napomknęła Baśka.

– Lucy, kochanie, wy jeździcie samochodem, który kosztuje tyle co dwupokojowe mieszkanie w centrum Warszawy – przypomniałam

przyjaciółce. – Kiedy ma awarię, pewnie przywożą wam jeszcze przepiórki w sosie truflowym na przeprosiny i dywan czerwony rozkładają. My tymczasem mamy auto prawie w naszym wieku. Obstawiam, że jakbyśmy go nie oddały, to nikt by się nawet nie kapnął. Kto by szukał takiego grata. – Czułam, że w tym, co powiedziałam, jest jakaś głębia.

– O, wypraszam sobie, moje dzieci na pewno by mnie szukały – powiedziała szybko Mańka.

– Moje też, żeby zapytać, gdzie są ich czyste majtki – dodałam.

– Czyli co sugerujecie? – zapytała Lucy.

Odezwałam się pierwsza.

– Nie żebyśmy chciały popsuć tę sielską, przypominam: wakacyjną atmosferę, ale jesteśmy w jakiejś rumuńskiej dziurze, dosłownie i w przenośni, nie mamy telefonów, nie widzę tu żywego ducha, więc...

– ...jesteśmy w totalnej dupie – dokończyła Baśka.

Rozdział 8

Zapadł już zmrok. Niebo pokryło się licznymi gwiazdami. Wciągnęłam głęboko do płuc zimne powietrze. Oparłam się o samochód i wtedy nieopatrznie otworzył się bagażnik. Trzasnęłam, ale nie chciałam się zamknąć. Zaczęłam poprawiać w środku walizki i... natrafiłam na przewodnik po Rumunii.

– Zobaczcie, ktoś zostawił. – Pokazałam dziewczynom.

– To są tacy, którzy chcą tutaj przyjeżdżać z własnej woli? – zdziwiła się Lucy.

– Widocznie tak. Słuchajcie, spróbujmy jakoś wypchnąć samochód z tej dziury. – Odzyskałam nadzieję, że wyjdziemy z tego żywe.

– Jestem za – poparła mnie Mańka. – Jeśli dzięki temu się rozgrzeje, to mogę auto nawet przenieść. Ciągnie trochę po rajtuzach.

Na dworze było co najmniej rześko, a w repertuarze mojej garderoby nie znalazły się kalesony.

– Okej, do dzieła – zarządziła Baśka. – Jedna niech siada za kierownicą i odpala silnik, a reszta do tyłu.

– To ja usiądę za kółkiem – powiedziałam szybko, żeby uprzedzić Mańkę. Uruchomiłam samochód. Wcisnęłam sprzęgło, wrzuciłam bieg i spróbowałam ruszyć. Usłyszałam okropne piłowanie.

– Nie tak mocno, bo sprzęgło spalisz! – darła się z tyłu Baśka.

– Ale inaczej się nie da! Pchajcie mocniej – odkrzyknęłam.

Poczyliśmy parę prób, ale nie przyniosło to zamierzonego rezultatu. Wysiadłam wkurzona.

– To chyba jednak nie był dobry pomysł – stwierdziłam.

– Asiunia, w tej sytuacji każdy pomysł jest lepszy od perspektywy spania w tym gruchocie – pocieszała mnie Mańka.

– Słuchajcie, a może po prostu zatrzymamy kogoś i poprosimy o pomoc? – zapytała Lucy. Ciągle miała na sobie te niebotycznie wysokie szpilki. Ja na jej miejscu musiałabym już sobie zrobić przeszczep stóp. Ale są osoby stworzone do chodzenia w takim obuwiu, jak i takie, które od samego patrzenia mają otarcia. Ja należę do tej drugiej grupy.

– Genialne w swojej prostocie – zachwyciła się Mańka. I miała rację. Jesteśmy nauczone zazwyczaj radzić sobie same, bo przecież trzeba być przebojowym i samowystarczalnym. Lucy zdecydowanie potrafiła odnaleźć się w roli osoby, która chętnie tę pomoc przyjmie.

– No dobra, to która pierwsza idzie na ulicę? – zawahałam się.

– Ja mogę, moja prązynka ostatnio taka samotna – powiedziała Baśka.

– „Pra” co? – zdziwiłam się.

– Byłam ostatnio u znajomej, która ma małą córkę. I ta znalazła dla swojej latorośli odpowiednik słowa „cipka”. Uznała, że taka wersja dla małej dziewczynki jest ładniejsza – wytłumaczyła Baśka.

– Serio? A co z „cipką” jest nie tak? Potem, jak będzie starsza, to pójdzie i powie: „Czy mógłbyś mi przetrzepać moją prązynkę?” – naigrywałam się.

– Przetrzepać to może nie, ale schrupać to już zdecydowanie ma większy sens – odpowiedziała filozoficznie Mańka.

– To może ja pójdę. Chyba wyglądam z tu obecnych najbardziej reprezentacyjnie – obwieściła Lucy, mierząc nas wzrokiem.

Miała rację. Po całym dniu w podróży byłam tak brzydka, że nawet pot nie chciał mi spływać po twarzy. Poranny makijaż Mańki postanowił usadowić się na policzkach. A Baśka jak to Baśka – łatwo ją można było pomylić z kloszardem. Kiedyś wybrałyśmy się razem na zakupy. Weszłam do sklepu, a ona czekała na zewnątrz. Trochę mi się przeciągnęło, więc w oczekiwaniu na mnie przysiadła na chodniku i ludzie zaczęli jej rzucać pieniądze. To był moment, kiedy zaczęła się zastanawiać, czy zmienić styl

ubierania, czy rodzaj zarobkowania. W tej chwili jedno było pewne: nikt nie chciałby nas porwać dla okupu.

Lucy stanęła przy drodze w oczekiwaniu na przejeżdżające samochody. Zdecydowanie nie była to najbardziej uczęszczana rumuńska trasa. Biorąc pod uwagę natężenie ruchu, można było pomyśleć, że nie ma jej na żadnej mapie. Z nadzieją wypatrywałyśmy świateł pojazdów.

– O, coś jedzie! – krzyknęłam.

Lucy wystawiła rękę i zaczęła prężyć się jak kotka. Tego bym się po niej nie spodziewała.

– Taaaaa – skomentowała Mańka.

Niedługo potem przejechał kolejny samochód. Niestety i tutaj nie odniosłyśmy sukcesu.

– A może by jakiś pokaz specjalny przygotować? – zasugerowałam, bo jedyne, co mi zostało tego wieczoru, to wprowadzić się w dobry nastrój.

– Asiunia, ale co my atrakcyjnego możemy pokazać? – zastanawiała się na poważnie Mańka.

– Baśka kiedyś pokazała, pamiętacie? – Zaczęłam się śmiać.

– Oj tam, każdemu się może zdarzyć – krygowała się nasza przyjaciółka.

– Proszę teraz o przybliżenie tej historii – rzekła stanowczo Mańka.

– Kiedyś goliłam sobie... prązynkę. I zamiast lustra używałam aparatu w telefonie. Wszystko było zajebicie, do czasu gdy zaczęły przychodzić polubienia z Facebooka – powiedziała Baśka, rechocząc.

– O, stara, wygrałaś! – pochwaliła ją Mańka, zanosząc się śmiechem.

W naszą stronę zmierzał kolejny samochód.

– Żeby ci grób chujami obrósł, jak się nie zatrzymasz! – próbowałam rzucić klątwę na kierowcę. I nie wiem, czy podziałało i się wystraszył, ale auto się zatrzymało.

– Szybko, żeby się nie rozmyślił. Weź ten przewodnik, co znalazłaś. Tam są na końcu jakieś rozmówki! – rzuciła w pośpiechu Baśka.

Przed nami stanął duży samochód, z którego wysiadł mężczyzna mniej więcej w naszym wieku, czyli całkiem młody. No okej, może troszkę więcej niż młody – taki lekko wkraczający w dorosłość. Dobra, po prostu był w średnim wieku!

– Patrzcie, jaki Borat! – skomentowała po cichu Baśka, patrząc na jego ubranie.

– Ale za to jaki przystojny. Chyba zmienię zdanie o tym kraju – powiedziała Lucy, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– *Buna* – powiedział.

– *Buna* – odparłam z zadziornym uśmiechem. Już dawno zapomniałam, że potrafię być taka kokieteryjna. No bo co, mopa mam w domu uwodzić, żeby lepiej sprzątał? Czasami wdzięczę się do swoich pośladków, żeby zechciały trochę się podnieść, ale są odporne na moje zaloty. A jedyne, co się przy mnie rumieni, to tosty.

– Skąd ty wiesz, co to znaczy? – szepnęła mi do ucha Lucyna. Bawiło mnie to jej zdziwienie. Znajomość języka polskiego u tego faceta była tak prawdopodobna jak to, że uda mi się kiedyś upiec ciasto bez zakalca.

– Domyślam się, że nie prosi mnie o rękę, tylko się przywitał – powiedziałam, uśmiechając się do kierowcy.

Wzięłam do ręki przewodnik i zaczęłam nieskładnie czytać po rumuńsku.

– *Cum se ajunge la hotel?*

– Co to znaczy? – zapytała Mańka.

– Jak dojechać do hotelu.

– A po co go o to pytasz, skoro popsuł nam się samochód? – zapytała Lucy.

– Naprawdę, Szerloku? Chcę go jakoś naprowadzić, żeby nas stąd zabrał. Nic innego nie znalazłam w tych rozmówkach – usprawiedliwiałam się.

Mężczyzna zadał mi jakieś pytanie, oczywiście po rumuńsku. Zajrzałam znów do przewodnika i przewertowałam pospiesznie kartki, żeby tylko nie odjechał.

– *Nu înțeleg* – odpowiedziałam.

– To jakby wiemy, że masz pewne braki, ale żeby tak się wszystkim chwalić? – zdziwiła się Mańka.

– Cicho, bo zaraz sama będziesz prowadzić tę konwersację – zachnęłam się. – To znaczy „nie rozumiem”.

– Na jedno wychodzi. – Mańka ewidentnie sobie ze mnie dworowała.

– Może łatwiej nam będzie rozmawiać po angielsku? – zapytał kierowca w tym języku.

– O tak, zdecydowanie – ucieszyłam się. – Popsuł nam się samochód i szukamy jakiegoś hotelu w pobliżu. Mógłby nas pan gdzieś podwieźć?

– Przykro mi, ale tu niczego nie ma – oznajmił.

– Jak to nie ma? – nasrożyła się Lucy.

– Lucy, czasami tak bywa, że nie ma czegoś, czego się chce – uspokajała ją Baśka.

Wszystkie byłyśmy bardzo zmęczone. Nasza podróż trwała już kilkanaście godzin i nie było widać końca.

– No nic, dziewczyny, musimy zostać w samochodzie. Trochę się prześpimy i rano będziemy dalej kombinować – zdecydowała Mańka.

– Naprawdę nic? – próbowałam jeszcze dopytywać.

– Niestety. Ale mogę wam pomóc – powiedział nagle kierowca. – Mieszkam niedaleko. Możecie u nas przenocować. Jutro rano zadzwonicie do wypożyczalni, bo o tej porze już nic nie załatwicie.

Spojrzałyśmy po sobie.

– Nigdzie nie jadę, chcę żyć, zaraz nas na organy posprzedaje – zaparła się Mańka.

– Dobrze mu z oczu patrzy. Jest mi naprawdę wszystko jedno, kto na co nas posprzedaje – wypaliłam, bo miałam już dość.

– Dziewczyny, jest nas cztery. W razie czego chyba sobie jakoś poradzimy, nie? – poparła mnie Baśka.

– A ty, Lucy, co sądzisz? – zapytałam.

– Jego samochód przynajmniej działa i wygląda zdecydowanie lepiej od naszego. Ja bym zaryzykowała – zgodziła się.

– Mańka, raczej nie mamy wyboru. W razie niebezpieczeństwa obronię cię własną pierś – zachęcałam przyjaciółkę.

– Tego właśnie się obawiam. Jaki oręż, taka obrona, ale przecież nie zostanę tu sama. Przypomnijcie mi, czy to ja wymyśliłam ten Budapeszt? Czuję się współodpowiedzialna za to, że tu wylądowałyśmy – przyznała ze skruchą.

– Słuchajcie, prześpijmy się tam jedną noc i rano spadamy – uznała Baśka. – Jeszcze nie wszystko stracone. Powiedz Boratowi, że z nim jedziemy. Pakujmy walizki, póki się nie rozmyśli.

Upewniłam się, że to na pewno nie jest problem i zaczęłyśmy wkładać bagaże do środka. Zostałam wydelegowana do siedzenia z przodu. Nie wiem, czy zasłużyłam sobie na to znajomością rumuńskiego, ale miałam zabawiać kierowcę inteligentną rozmową. Modliłam się tylko, żeby za dużo much się nie zleciało. Nasz zapach absolutnie nie przypominał woni pąsowych róż.

– Bardzo dziękujemy za pomoc – powiedziałam, gdy ruszyliśmy.

– Nie ma sprawy. Co robicie w Rumunii? – zapytał. Choć nie wyglądał, bardzo ładnie mówił po angielsku.

– W sumie to jesteśmy tu przez pomyłkę. Miałyśmy lecieć do Budapesztu, ale nie wyszło – skróciłam naszą historię, nie chcąc wdawać się w szczegóły pijackiego dzidowiska.

Mężczyzna zaczął się śmiać.

– To bardzo częsta pomyłka. Wielu tu ląduje tak jak wy.

– Mogliby pomyśleć nad zmianą nazwy miasta, a nie bawić się w konkurs „Zgadnij, jaka to stolica” – powiedziała po polsku Mańka.

– A skąd jesteście? Z Rosji? – zapytał. Zawsze to samo i trzeba się tłumaczyć.

– *Poland* – wtrąciła Lucy.

– *Holland?*

– *Poland* – powtórzyłyśmy chóralnie.

– Aha – uśmiechnął się. Wydawał się bardzo sympatyczny. Przypominał mi mojego włoskiego chłopaka.

To były głębokie lata dziewięćdziesiąte i początki pierwszych mediów społecznościowych o nazwie IRC. Na czacie poznałam Francesca, bo jak inaczej mógł mieć na imię makaroniarz. Boski *grandissimo cazzo*. Massimo z 365 dni to przy nim pistolet na wodę i to z cieniutkim strumieniem. Rozmawialiśmy tylko przez internet. Z sympatii wysłał mi paczkę z makaronem, a po jakimś czasie zaprosił do Bari. W Polsce wtedy wiedza o Włoszech kończyła się na Rzymie, więc tatuś położył się Rejtanem, mówiąc, że nigdzie nie jadę. Widział mnie jako nowy nabytek we włoskim burdello. Teraz to może nawet i fajnie, bo człowiek by się trochę oderwał od obowiązków domowych.

Nie zważając na nikogo, poleciałam. Na lotnisku w Neapolu zjawiłam się z jedną małą walizeczką. Po dwóch godzinach przyjechały dwa samochody pełne Włochów – mój Francesco siedział w jednym z nich. Poznałam jego rodzinę do trzeciego pokolenia oraz ze stu najbliższych znajomych. Nazywał mnie pieśzeczotliwie „kurvellą”. Choć nasz związek nie przetrwał, to do dzisiaj się przyjaźnimy. A potem nastał mąż, który w młodości był jego klonem.

– Wiecie co, baby? Z łóżka to bym go nie wyrzuciła, kiedyś oczywiście... – podzieliłam się spontaniczną myślą.

– Asiunia, nasza przyjaźń będzie trwała wiecznie, wiesz dlaczego? Bo mamy ten sam gust, jeśli chodzi o alkohol, ale kompletnie inny, jeśli chodzi o facetów – skwitowała Mańka. I to jest właśnie tajemnica kobiecej serdeczności.

– A tak w ogóle to jestem Mihail – przedstawił się. Że ja na to pierwsza nie wpadłam.

– Patrzcie, jednak nie Borat – zdziwiła się Baśka.

– *No Borat* – zaśmiał się Mihail, patrząc na nią w lusterku.

– To tylko taki żart – tłumaczyła się Baśka, najwyraźniej zawstydzona.

– Ja jestem Joanna, ta od żartu to Barbara, a obok są Mery i Lucy – zaprezentowałam przyjaciółki.

– „Mery”, posłuchajcie, jak to dużo lepiej brzmi niż „Mańka”. Bardziej światowo – powiedziała właścicielka imienia.

– Zapytaj go, czy jeszcze daleko – poprosiła Lucy.

– A ty nie możesz? Nie tylko ja w tym towarzystwie znam angielski – zauważyłam. Zazwyczaj jest tak, że gdziekolwiek i w jakiegokolwiek konfiguracji jadę, to ja prowadzę konwersację w językach obcych.

– Asiunia, jesteś jedyną osobą, jaką znam, która czerpie energię z mówienia. Nie chcemy ci tego odbierać – uśmiechnęła się Mańka. Miała rację. Gdy milczę dłużej niż pięć minut, rodzina pyta, czy wzywać lekarza.

Mihail powiedział, że gdzieś za dwadzieścia minut dojedziemy na miejsce. Jechałyśmy w ciszy, zastanawiając się, co czeka nas za chwilę. Myślałam o Wojtku i dzieciach. A co, jak zadzwoni do hotelu w Budapeszcie i powiedzą mu, że nie dojechałyśmy? Przecież muszę coś teraz wymyślić. Zastanawiałam się, czy to, co robimy, jest poważne. Wydawać by się mogło, że wiek do czegoś zobowiązuje. W naszym przypadku chyba do robienia większych głupot. Wraz z upływem lat nie tylko uda zrobiły się galaretowate, mózgi również.

Samochód zaczął się wspinać górską serpentyną. Liczne wertepy powodowały, że walizki latały z tyłu jak oszalałe.

– Dziewczyny, tu nic nie ma. Gdzie on nas wiezie? – zapytała z obawą Lucy.

– Jak tam się łudzę, że nikomu nie chciałoby się otwierać burdelu w takim miejscu – powiedziała Mańka.

– Spójrzcie prawdzie w oczy. Kto by nas tam chciał. Trzeba liczyć siły na zmarchy – uspokajała nas Baśka.

– Fakt – stwierdziła Mańka.

Zaczęłam kręcić się nerwowo na siedzeniu. Mihail musiał to dostrzec, bo od razu zareagował.

– Nie denerwujcie się. Niedługo będziemy na miejscu. Mieszkamy w górach w miejscowości Gura Siriului.

Nie żebym mu nie wierzyła, ale ukradkiem zajrzałam do przewodnika w poszukiwaniu tej nazwy. A że jestem królową dyskrecji, nasz nowy znajomy szybko dostrzegł mój owiany największą tajemnicą plan.

– Tutaj. – Wskazał palcem na mapie. Uśmiechnęłam się do niego, bo nic innego mi nie pozostało. Gdyby nas tu zostawił, byłybyśmy w jeszcze większej dupie, niż gdybyśmy spały w naszej leciwej dacji.

– Myślicie, że to będzie niestosowne, jeśli powiem, że muszę do toalety?
– zapytała Mańka.

– Boszsz, mnie też się chce, ale się nie odzywam. – Lucy zagryzła zęby.

– Baby, zaraz będziemy na miejscu, tak powiedział. Głupio go jeszcze prosić, żeby się zatrzymał – wyraziłam swoją opinię.

– Ale ja już mam żółte oczy od moczu – jęczała Mańka.

– Z wami gorzej niż z dziećmi – bąknęłam pod nosem. – Zaciśnij psiochę. Podobno to dobre ćwiczenie.

Wjeżdżaliśmy coraz wyżej, od zmiany ciśnienia aż zatykały mi się uszy. W oddali widać było mieniące się niewielkie światło. Samochód sunął powoli, gdy nagle naszym oczom ukazały się jakieś budynki. Podjechaliśmy pod dom.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Mihail.

Rozejrzałam się. Do samochodu podbiegły trzy duże psy.

– Dziewczyny, on chyba tu mieszka. – Odwróciłam się.

– W tej chatce na kurzej nóżce? – wzdrygnęła się Lucy.

– Na to wygląda. – Wpatrywałam się przez szybę. Stojące tuż przy drzwiach sierściuchy nie zachęcały do wyjścia.

– Zapraszam, nie ma się czego obawiać. – Mihail chyba czytał w moich myślach.

– No dobra, kto nie ryzykuje, ten nie śpi w wygodnym łóżku – powiedziałam i wysiadłam pierwsza.

Psy postanowiły przywitać mnie jak najgościnniej, skacząc ze szczęścia. Byłoby to nawet przyjemne, gdyby nie to, że ważyły dwa razy więcej niż ja.

Z tylnego siedzenia wyspały się pozostałe dziewczyny. Czworonogi przywitały je z nie mniejszym entuzjazmem.

– A sio! – krzyknęła Lucy, odganiając zwierzęta.

– Śmiem twierdzić, że twoje „A sio!” nie robi na nich wrażenia – zauważyła Mańka.

– Chodźcie tędy. – Mihail wskazał wejście do domu.

– A co z walizkami? – zapytałam.

– Zostawmy je na razie w samochodzie – zaproponowała Lucy. – Może się okaże, że będziemy musiały się stąd zaraz ewakuować – powiedziała, nadal odganiając sforę psów.

Ruszyliśmy za Mihailem. Chata, do której weszliśmy, wyglądała jak wyjęta prosto ze skansenu. Mężczyzna nacisnął klamkę, drzwi zaskrzypiały.

– *Buna seara* – powiedział donośnym głosem, wchodząc do środka.

– *Buona sera* to chyba po włosku. Znowu pomyliłyśmy kraje? – zapytała po cichu Mańka.

Znajdowałyśmy się w czymś na kształt przedsionka. Z boku stała ława, a pod nią leżało mnóstwo butów. W końcu poczułam się jak u siebie. Dokładnie taki sam pierdolnik jest w moim przedpokoju. Przecież szafki na obuwie to zbędny mebel.

Weszliśmy dalej. Na środku stał stół z krzesłami, przy którym siedzieli jacyś ludzie. Wszystkie oczy skierowały się na nas. Stałyśmy bez ruchu, ładnie się uśmiechając. Na szczęście nie wyglądało to na dom publiczny ani miejsce rozbiórki ludzkich ciał.

Mihail wskazał na nas i wyjaśnił coś obecnym. Pewnie mówił, że spotkał na drodze takie tępe Polki, które nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Sądząc po reakcjach, domownicy przyjęli wiadomość – jakakolwiek by była – z sympatią.

– To jest moja rodzina – powiedział Mihail. – Moja mama Maria Teodora, mój tata Vasile oraz mój wuj Teodor, brat mamy.

– Borze szumiący, zapisała któraś te imiona? – szepnęłam do dziewczyn.

– *Hello* – powiedziała nieśmiało każda z nas.

Po chwili podeszła matka Mihaila, wyściskała nas i gestem zaprosiła do stołu. Tuż za nią przydreptał tata, który też nas wycalował, i na końcu wujek. Sytuacja była dość krępująca. Wylądowałyśmy w domu u obcych ludzi, w jakiejś odciętej od świata dziurze. Jak nic idealne miejsce na spędzenie krótkich wakacji z przyjaciółkami. Następne się pewnie nie odbędą albo dopiero gdy dzieci się usamodzielnia. Ale wtedy jedyne, na co będę miała siłę, to robótki ręczne. Swoją drogą znajoma zaczęła na starość dla odstresowania dziergać na drutach. Najpierw były to szaliczki, a potem plandeka na samochód. Widać miała ogromne nerwy w życiu.

Rozejrzałyśmy się wokół. Trafił swój na swego. Ale tu się działo! Słynne „Jeszcze tu nasrać można” miało rację bytu. Na podłodze leżał pstrokaty dywan. Niedaleko stołu stało podwójne łóżko przykryte jakąś kolorową kapą. W pokoju znajdowało się też kilka dużych drewnianych szaf. Pod ścianą zaś stało chyba coś w rodzaju wersalki. Pomieszczenie było niewysokie, więc miałam nieodparte wrażenie, że sufit zaraz spadnie mi na głowę.

– Usiądźcie, proszę – powiedział Mihail, widząc naszą konsternację.

– Mogliby tu trochę wyremontować. – Lucy oceniła stan ścian.

– Nie wiedzieli, że przyjedzie księżniczka z Warszawy – skwitowała Baśka z uśmiechem.

Mama Mihaila zaczęła przynosić z kuchni jedzenie, a tata postawił przed nami jakiś trunek, zachęcając po rumuńsku do jego skosztowania.

– To *tuica* – wyjaśnił Mihail. Wyglądała jak nasza polska wódka. Na stole stanęły również różnego rodzaju nalewki.

– Dziewczyny, próbujemy? – ośmieliłam się.

– Chcą nas upić i wykorzystać – powiedziała Mańka. – Wchodzę w to – uśmiechnęła się zadziornie.

Tymczasem kobieta przyniosła wielki bochenek wiejskiego chleba, miskę śmietany, jakieś małe papryczki, oliwki i ziemniaki.

– Wspaniale! – ucieszyłam się jak dziecko. Pieczywo i ziemniaki są podstawą mojej jakże wyrafinowanej diety. Mam jak najlepsze predyspozycje ku temu, żeby wieść życie wieśniaczki. Nieraz zresztą dałam temu wyraz, zachowując się jak burak. Ponoć nikt jeszcze z głodu się nie zesrał, ale jak zobaczyłam na stole te wszystkie pyszności, poczułam, że jestem bliska tego stanu.

– Myślicie, że można zacząć? – zapytałam, hipnotyzując pieczywo wzrokiem.

– Dla pewności ja bym się najpierw napiła. Licho nie śpi – ostrzegła Mańka. Kieliszki były już pełne, a tata i wujek Mihaila tylko czekali, aż je przechylimy.

– *Noroc* – powiedział ojciec, stukając o nasze szkło, i szybko wypił zawartość. Ja i reszta dziewczyn zrobiłyśmy dokładnie to samo.

– Oesuu... – powiedziałam, bo po przełknięciu poczułam, że wypala mi gardło.

– Matko kochana, co to jest?! – wrzasnęła Mańka. Spojrzałam na butelkę. Ten zajzajer miał ponad sześćdziesiąt procent alkoholu. Jeden kieliszek sprawił, że miałam miękkie nogi. Niewiele mi było trzeba.

Matka naszego wybawcy co rusz donosiła talerze wypełnione jedzeniem.

– Częstujcie się – zachęcił nas Mihail. Patrzyłam na Lucy, która nerwowo spoglądała na stół.

– Co jest? – szepnęłam.

– Tu nie ma żadnych sztuczków.

Lucy miała rację. Wstałam i poszłam do kuchni. Było to niewielkie pomieszczenie z kamienną kuchenką. Pod ścianę wciśnięty był narożnik, a obok niego stał stół z taboretami. Mieli wszędzie tyle łóżek, jakby wręcz czekali na niespodziewanych gości.

Na migi pokazałam matce Mihaila, że potrzebujemy noża do chleba. Kobieta się zaśmiała i również na migi pokazała, że trzeba go po prostu

porwać na kawałki. Po chwili jednak przyniosła sztucce. Tymczasem domownicy zaczęli już jeść dokładnie tak, jak sugerowała gospodyni. Zrobiłam to samo.

– Lucy, a ty nie jesz? – zapytałam, bo jako jedyna nawet nie skosztowała chleba.

– Chyba wolałabym pokrojony... – Ach ten francuski piesek. Poczułam się jak z moimi dziećmi.

– No co ty, stara, daj spokój – obruszyła się Baśka.

– Takie ciągnięcie pieczywa z każdej strony jest po prostu niehigieniczne – wybełkotała Lucy.

– Generalnie ciągnięcie jest mało higieniczne – wypaliłam bez zastanowienia.

– Ale za to jakie przyjemne – dodała Mańka, pałaszując przeszcześliwa.

Domownicy bezceremonialnie jedli rękami. Miałam odruch wymiotny. Jestem bardzo wyczulona, gdy ktoś je i się przy tym brudzi albo coś wypada mu z ust.

– Zaraz puszczę pawia – powiedziałam z uśmiechem, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Spojrzałam na Lucy, która z uporem maniaka siłowała się z widelcem i nożem. W anturazie tej wiejskiej chatki wyglądała przekomicznie w tym swoim „hrabiostwie”.

– Asiunia, wiem, o czym mówisz. – Mańka mnie rozumiała. Ona na przykład nie lubi jeść w towarzystwie, zwłaszcza przy obcych.

Niespodziewanie matka Mihaila przyniosła jeszcze jedno danie – w ceramicznej misce żółtą breję o konsystencji stolca noworodka.

– Dziewczyny, to wygląda, jakby ktoś już raz to zjadł. – Patrzyłam z obrzydzeniem.

– To chyba mamałyga – zgadywała rozbawiona Baśka, widząc moją minę. – Oglądałam kiedyś Makłowicza, jak był w Rumunii. To jedno z najbardziej znanych dań ich kuchni – zabłysnęła wiedzą.

Gdy domownicy zajadali się rumuńskimi przysmakami, mama Mihaila dostawiła jeszcze zupę oraz coś, co przypominało nasze gołąbki. Na stole

wylądowała też jakaś brązowa potrawa pokrojona w kostkę.

– To wygląda, jakby miało oczy – powiedziałam, czym wywołałam nerwowy tik u Baški.

– Asiunia, toż to chyba jakby nasz salceson. – Mańka przyglądała się z zaciekawieniem.

– To jest *ciorba*, czyli zupa. – Mihail wskazał wazę. Trzeba przyznać, że starał się, żebyśmy czuły się dobrze. Nie wiem, czy byłoby mnie stać na taki gest, żeby przyjąć do domu z ulicy obcych ludzi. Niby my, Polacy, jesteśmy otwarci, ale jak przychodzi co do czego, to strach zagląda nam do dupy.

– A obok leży *sarmale*, czyli mięso zawijane w kapustę – wytłumaczył. Miał w sobie jakiś taki spokój, w przeciwieństwie do jego ojca i wujka, którzy nie przestawali polewać. – Chcesz spróbować? – zapytał Baškę z uśmiechem. – Nie otrujemy was.

– Bardzo dziękuję, ja po prostu nie jem mięsa, ale chleb jest przepyszny. – Nie chciała sprawić gospodarzowi przykrości.

Nie udało mi się uciec przed kolejnym kieliszkiem wódki. Gdy wpadłam na pomysł, aby zbierać kwiatki z ceraty o kwiecistym wzorze, uznałam, że nie mogę już więcej pić. Od jakiegoś czasu, gdy tylko procenty uderzają mi do głowy, dochodzi do uruchomienia tak zwanej samokontroli. Czasami tego żałuję, bo nie pamiętam, kiedy tak po prostu odpięłam wrotki.

Do stołu w końcu usiadła mama Mihaila. Była starszą kobietą, której dobrze patrzyło z oczu. Jak każda z nas postępowała podobnie – cały czas czuwała, czy czegoś nam nie brakuje. Byłam najedzona, lekko podpita, a może już nawet powoli trzeźwiejąca. Po raz kolejny tego dnia dopadło mnie zmęczenie, a wraz z nim włączyło się myślenie, co dalej. Mihail gaworzył przy stole z Bašką, Mańka, podobnie jak ja, miała błędny wzrok. Jedynie Lucy nadal trzymała fason.

– I co teraz? Ja bym już z chęcią przytuliła się do jakiejś poduszki. Musimy obmyślić dalszy plan – powiedziałam do niej po cichu.

– Ja też, ale tutaj nie zasnę. Widzisz te szklane ryby na kredensie? – Wskazała głową mebel.

– No – odpowiedziałam tępym głosem.

– One cały czas się na mnie gapią – odezwała się z powagą. Fason to może i trzymała, ale chyba nawet jej ta wódka ścięła szare komórki.

– Dziewczyny, musimy ogarnąć jakieś spanie. Już ledwo patrzę na oczy – oznajmiłam. Mój apel nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Matka Mihaila wyciągnęła album i zaczęła pokazywać rodzinne zdjęcia. Wyglądało to komicznie, bo ona mówiła po rumuńsku, a Mańka odpowiadała jej po polsku.

– Zobacz, Asiunia, brałabym go jak ołówki z IKEI. – Przyjaciółka wskazała na jakiegoś mężczyznę.

– Baśka, zapytaj Mihaila, gdzie możemy się przespać – poprosiłam. – Nie powinniśmy już dłużej nadużywać ich gościnności.

Cała trójka była jak kreciki na automatach, które trzeba uderzyć młotkiem w wyskakujące główki. Gdy jedna już się zbierała, żeby wstać od stołu, druga siadała, żeby jeszcze dojeść.

– Ruszcie dupy – powiedziałam w końcu dosadnie i wtedy usłyszałam podniesiony głos Lucy.

– Co to jest? – Wskazała palcem na okno.

– Serio tak ci się wódka rzuciła na oczy? Ogólnie na świecie ten przedmiot został uznany za okno – powiedziałam umęczona niekończącym się biesiadowaniem.

– Nie chodzi mi o to. Widziałyście, co jest za oknem? Chyba jakieś wielkie zwierzę! – Aż trzęsła się z przerażenia.

– Przed chwilą ryby z kredensu cię atakowały. Lucy, daj spokój – powiedziałam poważnie.

– Asiunia, ona ma rację. Tam jest jakby... niedźwiedź! – Mańka podniosła głos.

– Jaki niedźwiedź? Może to te psy pasterskie, co nas tak serdecznie przywitały. – Próbowałam dojrzeć coś, co widziały moje przyjaciółki.

– Nie wiem, jak ty, ale ja bym takiego nie chciała trzymać w domu. O fuck, rzeczywiście, zobacz to bydlę. – Baśka przerwała nagle rozmowę

z Mihailem.

– Ja stąd wychodzę, i to teraz! – krzyknęła Lucy i zaczęła się ubierać. – Powiedzcie im natychmiast, żeby nas gdzieś zawieźli!

Stałyśmy wpatrzona w okno jak sroki w gnat. To nie były żadne zwiady ani psy pasterskie. Za oknem stało coś wielkiego i owłosionego. Domownicy kompletnie nic sobie z tego nie robili.

– Spokojnie, zaraz sobie pójdzie – powiedział Mihail. Jeszcze miał czelność być opanowany. Ja do tej pory byłam stabilnie wolno pływającą zajebistością, ale teraz zmieniałam się w rwącą rzekę z nieobliczalnymi prądami. Na osiedlu jestem przyzwyczajona do psów i kotów. Kiedyś pod blokiem grasowały dziki, co wzbudziło ogromne zainteresowanie przewrażliwionych mieszkańców. Jednak niedźwiedź to nawet dla mnie było za dużo.

Mihail podszedł do okna i je po prostu zamknął.

– Niedźwiedzie są u nas jak psy. Przychodzą, grzebią w śmieciach i zazwyczaj sobie idą – wytłumaczył. Chyba mieliśmy zupełnie inną definicję zwierząt domowych. Trzeba było jednak przyznać, że sierściuch otrzeźwił nasze umysły w mgnieniu oka.

– Ja tu nie śpię – powtarzała Lucy jak mantrę.

– To co, wolisz tam, na dworze? – dowcipkowałam.

– Nie wiem, chcę do domu – jęknęła. Nie powiem, i ja miałam takie myśli.

– Dobra, pójdziemy spać, a jutro rano stąd spadamy. Taki był plan. – Baśka próbowała zachować spokój. Pomyślałam o swoim ciepłym i bezpiecznym łóżku.

– Lucynko, może nas nie zeżrą – łudziła się Mańka. – A jak już, to zaczną ode mnie. Przynajmniej będą miały czym się najeść. A wy uciekniecie – szukała pocieszenia dla przyjaciółki.

Lucy powoli opanowała emocje, tymczasem mama Mihaila pokazała nam pokój do spania. Chyba wyczuła, że to już ten moment. Znajdowało się tam jedno podwójne łóżko, dwie wersalki i masa gratów.

Mihail przyniósł nam z samochodu walizki. Podziękowałyśmy, pożegnałyśmy się ze wszystkimi i zamknęłyśmy się w pokoju.

– Ja pieprzę, ale żeśmy wylądowały – dałam upust swoim emocjom.

– Fakt, to nie są wakacje marzeń – zgodziła się Mańka. – A mamy na jutro jakiś plan?

– Zadzwonimy do wypożyczalni samochodów, przecież muszą mieć tutaj telefony. Powiemy, co się stało. Może rzeczywiście uda się załatwić jakieś zastępcze auto – myślała głośno Baśka.

– Chyba wóz z końmi. Zobacz, gdzie my jesteśmy – zauważyłam.

– Na razie niewiele widać, bo ciemno jak w dupie – stwierdziła Mańka.

– Dobra, dziewczyny, padam na cyce. Jak śpimy? – zapytałam, bo byłam już w stanie agonalnym.

– Ja muszę osobno, bo przypominam, że kopię – wyjaśniła Lucy.

– Ja chrapię, ale to wiecie – dodała szybko Mańka.

– A ja jak zwykle muszę mieć klapki na oczach i zatyczki do uszu – oznajmiłam. – A ty, Baśka, jakie starcze objawy masz podczas spania?

– Wstaję w nocy na siku – powiedziała zadowolona.

– O, ja też – ucieszyłam się. – Tylko gdy się przebudzę, to najpierw się zastanawiam, jak bardzo mi się chce, bo boję się, że jak wstanę, to już nie zasnę. Więc rozmyślam dobre parę minut, co robić – wytłumaczyłam.

– Czyli tak: nocne wycieczki do toalety, kopytkująca Lucy, moje chrapanie – podsumowała Mańka. – Nie wiem, czy jest sens się kłaść, bo i tak się nie wyśpimy.

– Słyszałyście? Co to był za odgłos? – przeraziłam się. – Jakies „pi pi pi”.

– Może „szopiiiiipiiii” za głęboko wpadło ci w ucho? – stwierdziła Baśka.

– Nie no, słyszałam coś, serio!

– Asiunia to mogłaby wystąpić w teleturnieju *Jaka to melodia?* i zawsze by brała po jednej nutce, bo słyszy to, czego nie wyłapuje nikt inny – żartowała Mańka.

– Dobra, im szybciej zaśniemy, tym prędzej jutro będzie można stąd spadać. Ja śpię tu. – Baśka wskazała jedno z łóżek.

– To ja tutaj. – Lucy usiadła na kolejnym pościeliu. Leżała na nim kolorowa kapa, którą zaczęła nerwowo wyrównywać. Chyba musiała się oswoić z myślą, że spędzi noc w zgoła innym miejscu niż te, do których była przyzwyczajona.

– Czyli nam, Manieczko, zostało wspólne małżeńskie łóżko. – Spojrzałam na nią z uwielbieniem.

Baśka jako pierwsza udała się do łazienki. Dziewczyny otworzyły walizki i powyciągały rzeczy do spania. Mańka zaczęła ustawiać na małym stolyczku pudełka z kremami.

– Przepraszam, ale czy ty będziesz to jadła? – zapytałam, gdy zobaczyłam ich ilość.

– Nie, to i tak tylko część, bo przecież na lotnisku mi zabrali – żaliła się Mańka. Owszem, wiek zobowiązuje do tego, aby wklepywać sobie te wszystkie mikstury, ale nie, żeby poświęcać temu połowę nocy! – Tobie też by się przydało – powiedziała przyjaciółka, zerkając na moją facjatę.

Baśka wróciła z łazienki, którą następnie zajęłam ja. Wzięłam szybki prysznic, przebrałam się w piżamę i byłam gotowa do spania.

– Dżoana, a nie było dla dorosłych? – zapytała Baśka, śmiejąc się na głos, gdy weszłam do pokoju. Spojrzałam na siebie, na swoją w czerwonej piżamkę, na której widniała żyrafa mojej wielkości.

– O co wam chodzi? No może to nie Victoria's Secret, ale przynajmniej ciepła i nie jest na mnie za duża – obwieściłam. Kiedyś otworzyłam w niej drzwi kurierowi. Gdy mnie zobaczył, zapytał, czy mogę zawołać mamę. Uznałam to za komplement, że młodo wyglądam, a nie że jestem przerośniętą jedenastolatką.

Kiedy Mańka poszła do łazienki, pożyczyłam od niej krem. Skoro już na mnie patrzą, to może i ja narzucę sobie coś na twarz. Gdy wróciła, leżałam już w łóżku.

– Spójrz na mnie – uśmiechnęłam się szeroko.

– Wrr, wrr, wrr, zaraz do ciebie idę, maleńka – wychrypiła zadziornie Mańka.

– Nie chodzi o to. Zobacz, jaka jestem gładka. – Wyeksponowałam twarz.

– Ogoliłaś się w końcu i wąsa obcięłaś? Dobra dziewczynka – pochwaliła.

– Chodź tu i mnie powąchaj.

– Moja droga, ja rozumiem, że przyjaźnimy się od czterdziestu lat, ale teraz to już przegięłaś.

– Powąchaj, jak pięknie pachnie moje lico. Posmarowałam się twoim kremikiem – powiedziałam z dumą.

– Którym? – zapytała z niepokojem Mańka.

– No, tym. – Wskazałam pudełeczko. Zresztą one wszystkie wyglądają tak samo.

– To świetnie, bo on jest na... eee... hemoroidy. – Odwróciła głowę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Że na co, przepraszam? Nie mogłaś go jakoś oznaczyć? – oburzyłam się. – A w ogóle to ty masz hemoroidy?

– Jeszcze nie, ale zawsze mogę mieć.

Próbowałam zdjąć krem z twarzy, jednak zmęczenie wygrało. Z dupą na gębie położyłam się spać.

Dziewczyny odpadły szybko, tylko ja przewalałam się w łóżku z prawa na lewo. W nowym miejscu nigdy nie mogę od razu zasnąć. Tak samo kokosiła się Lucy.

– Śpisz? – zapytałam, bo nie wiedziałam, czy wierzga nogami przez sen, czy na jawie.

– Nie śpię, nie mogę – odpowiedziała po cichu.

– Ja też, mam gonitwę myśli. Jak się stąd wydostaniemy, co tam w domu, jak dzieci. A ty?

– Nadśluchuję, czy nie przyjdą niedźwiedzie. Też myślę o Rosie i o tym, że nasze małżeństwo... ma szansę przetrwać naprawdę długo.

– No to chyba dobrze.

– Jasne, biorąc pod uwagę, że przez większość czasu się nie widzimy, bo Marcina ciągle nie ma.

– No ale chyba tak było od początku?

– Gdy wyjeżdżaliśmy z naszej pipidówki do Warszawy, mieliśmy wspólne plany, pracowałam. Potem urodziła się Rosa. Po macierzyńskim miałam wrócić do życia zawodowego, ale jak widzisz, wyszło inaczej.

– Myślałam, że generalnie jesteś szczęśliwa.

– Niby wszystko mam i nie powinnam narzekać – podsumowała krótko, strofując samą siebie, gdy naszą rozmowę przerwało głośne chrapanie Mańki.

– No to sobie dzisiaj pośpię. – Wetknęłam zatyczki w uszy, przykryłam głowę poduszką i odwróciłam się na drugi bok.

Rozdział 9

„Jeszcze chwilkę, nie budźcie mnie” – mówiłam do siebie, bo wydawało mi się, że słyszę w tle jakieś dzieci. Poczułam, że ktoś ciągnie mnie za włosy. Jedna noc poza domem i już przywidzenia. Tylko matka potrafi mieć takie współczucie.

– Pipi – dochodziło do moich uszu mimo zatyczek. Może mają tu jeszcze inne zwierzęta domowe, o których my w Polsce nie mamy pojęcia. Zdjęłam klapki z oczu, żeby zobaczyć, skąd dobiegają te odgłosy. Naprzeciwko stały dwie pary piwnych oczu wpatrzone we mnie jak w obrazek. Należały do gatunku homo sapiens.

– Borze szumiący! – zareagowałam impulsywnie i obudziłam dziewczyny.

– Asiunia, co się stało? – Mańka szybko się ocknęła, gdyż krzyknęłam jej prosto do ucha.

– Widzisz? – Szturchnęłam ją, żeby się upewnić, że już nie śpi.

– Ooooo! Chyba obraz mi się podwoił. Kurde, a może mam zwidy po tej wczorajszej wódce? – Mańka nie wierzyła w to, co widzi. Przy naszym łóżku stały dwie identyczne dziewczynki, na oko dwuletnie.

– Skąd one się tu wzięły? – zapytała Lucy zaspana.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznałam. – Ale skoro niedźwiedzie podchodzą tu do okien jak kozy, to może i nad ranem podrzucają dzieci.

Spojrzałam na zegarek. Była szósta. O tej porze to nawet nie wiem, jakiej jestem płci. Dziewczynki przyglądały nam się z zaciekawieniem.

– Wczoraj nie widziałam tu żadnych dzieci – zauważyła Baśka. Jej twarz była wygnieciona od poduszki.

– Wiecie co, ja idę dalej spać, serio, jestem nieprzytomna. Wystawię je za drzwi. Skoro tędy weszły, to i wyjdą – powiedziałam zupełnie poważnie. Wstałam, wzięłam obie za ręce i odprowadziłam do wyjścia.

– Do twarzy ci – rzuciła Mańka.

– Chyba do dupy – skwitowałam, biorąc pod uwagę, jakiego kremu wczoraj użyłam.

Są dwie rzeczy w moim życiu, które grożą śmiercią wszystkim wokół – pierwsza: to, że jestem niewyspana, i druga: to, że jestem niewyspana. Obie właśnie się zdarzyły.

Położyłam się z powrotem do łóżka. Choć byłam potwornie zmęczona, nie mogłam już zasnąć. Pieprzone babskie rozkminki o całym świecie. Teraz miałam wyjątkowo dużo powodów do dumania – co w domu, czy Wojtek już mnie szukał w hotelu w Budapeszcie, czy ogarnie szkołę dzieciaków, co w pracy, no i co będzie dalej na tym rumuńskim zadupiu. W zasadzie to jedna kobieta mogłaby obdarzyć myślami stu facetów. I nawet wtedy mieliby jeszcze dużo wolnego miejsca na swoim twardym dysku. Zaciskałam oczy na siłę, żeby zasnąć, gdy usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi. To znowu były te niezidentyfikowane małe osobniki. Nie wiem, dlaczego upodobały sobie akurat mnie!

– Mańka! – Znow ją szturchnęłam. Nie chciałam być sama w tej niedoli.

– Oesuu, co znowu?

– No zobacz, jeszcze raz przylazły.

– Widzę. Nie wiem, zaśpiewaj im może *Świnkę Peppę*.

– Tak się złożyło, że wyleciało mi z głowy, jak to jest po rumuńsku!

– A, no tak, to może coś międzynarodowego. Jakaś kolęda? Nie wiem, jak ci pomóc, zarobiona jestem – rzuciła i odwróciła się ostentacyjnie na bok.

Brązowe oczka wgapiały się we mnie jak w cukierek. Dlaczego akurat ja? Łatwiej już było z tymi wielkimi włochaczami. Przyszły, przywitały się i poszły. Pełna kultura. A te potworki chyba doskonale wiedziały, że to ja z całej czwórki mam największe problemy ze spaniem, i były to

przemysłane tortury. Mogłabym to nawet podciągnąć pod konflikt między dwoma narodami! W pewnej chwili usłyszałam ciche stukanie.

– Mańka, ktoś puka!

– Kogo? – zapytała półprzytomnie.

– Nie kogo, tylko co! – Tyle lat upłynęło, a ja wciąż pamiętam. – Mańka, ogarnij się, ktoś puka do naszych drzwi. – Ta informacja zrobiła na niej wrażenie. Usiadłyśmy obie na łóżku, gdy po chwili usłyszałyśmy to samo. – Tak? – zapytałam po angielsku.

Obrałyśmy jak najlepsze pozycje. Gdyby to był atak terrorystyczny, miałybyśmy szansę jeszcze się jakoś obronić. Pod ręką znajdowały się kremy, poduszki i ubrania w walizkach – w ostateczności miałyśmy też żywą tarczę w postaci bliźniaczek.

Drzwi się uchylily i w szparze zobaczyłyśmy głowę Mihaila. Obie momentalnie wyprostowałyśmy się jak struny, udając, że tak sobie siedzimy od szóstej rano i na niego czekamy. Klasyczna babska zagrywka. Ja nigdy nie śpię. Mam tylko zamknięte oczy, żeby sobie odpoczęły.

Dziewczynki natychmiast podbiegły do Mihaila uradowane i zaczęły mówić po swojemu. Przytulił je, tłumacząc im coś po rumuńsku. Ten poranny dyskurs obudził ponownie Lucy i Başkę. Na widok naszego gospodarza również natychmiast zaczęły udawać, że właściwie nie wiedzą, co to sen.

– Bardzo przepraszam, że was obudziliśmy – powiedział Mihail lekko zawstydzony.

– Nie szkodzi – machnęła ręką Mańka.

– Nie wiem, czy tak nie szkodzi – burknęłam, ale przyjaciółka szturchnęła mnie w bok i syknęła:

– A chcesz stąd dzisiaj wyjechać? – I tu miała rację. Nie można było niczym podpaść.

– To są moje córki, Anna Maria i Julianna Izabela – przedstawił dziewczynki Mihail.

– Patrz, kto by pomyślał. Skoro są dzieci, to musi być jakaś właścicielka macicy – myślała głośno Baśka.

– A widziałaś tu inną kobietę niż jego matka? – zapytałam.

– Mają takie ładne oczy – powiedziała dyplomatycznie Lucy.

Dziewczynki pokręciły się wokół nóg taty i cała trójka wyszła z pokoju. My jednak byliśmy już w pełni rozbudzone.

– Skoro rozpoczęliśmy dzień, musimy obrać jakiś plan i spadać stąd jak najszybciej – powiedziałam.

Stałam przy oknie i dopiero teraz zobaczyłam, gdzie tak naprawdę jesteśmy. Moim oczom ukazały się majestatyczne góry w brązowych jesiennych barwach.

– Dziewczyny, zobaczcie. – Prawie zaniemówiłam.

– Robi wrażenie – rzekła Mańka, naśladując głos uwielbianego przez nasze dzieci jutubera.

– Góry jak góry – skwitowała Lucy, nerwowo rozglądając się po pokoju. Dzień zdecydowanie obnażył mankamenty naszej kwatery. Chyba Lucyna nie była na to gotowa.

– Dobra, ustalmy grafik porannej toalety – zarządziła Baśka.

– Ja pierwsza! – krzyknęłyśmy niemal jednocześnie.

– Nie, ja muszę pierwsza, bo się zsikam, serio – powiedziała błagalnie Baśka.

– Mam to samo – jęczała Mańka.

– Dobra, to idziemy teraz tylko na siku. Żadnego nakładania tapety ani gapienia się w lustro. – Spojrzałam ostentacyjnie na Lucy. Choć znam ją dobre parę lat, chyba nigdy nie widziałam jej bez makijażu. Czasem mam wrażenie, że wstaje w środku nocy, żeby na rano być już gotowa dla świata. W przeciwieństwie do mnie. Kiedyś dostałam w prezencie cienie do oczu w odcieniach brązu. Myślałam, że to puder na policzki, który nada mej bladej facjacie kolorytu. Przez pół dnia nie mogłam tego zmyć, takie to było kleiste.

Baśka pobiegła do łazienki. Siedziałam jak na szpilkach, czekając, aż stamtąd wyjdzie. Wieczorem ta procedura przebiegała dużo szybciej.

– Jakbym widziała poranek u mnie w domu. Gra o tron! – skomentowałam, bujając się, co miało odwrócić moją uwagę od pełnego pęcherza. Chyba już czuć było ode mnie mocz.

– Ooo tak. Posiedzenia jak przy plenarnym stole – powiedziała Lucy.

– Zabiję, przysięgam – groziłam.

– Asiunia, pomyśl o czymś przyjemnym – zaproponowała Mańka.

– Właśnie pomyślałam – jak ją przyjemnie zabiję!

Baśka chyba poczuła moje fluidy, bo wyszła z toalety. Pobiegłam tam w te pędy i zgodnie z umową szybko wyszłam. Usiadłam na łóżku i spojrzałam na dziewczyny. Wszystkie byłyśmy zmęczone – wczorajszą podróżą i chyba życiem. Każda niosła swój własny bagaż.

– Ciekawe, jak poradzą sobie beze mnie w pracy – powiedziałam, bo ta myśl dręczyła mnie od rana.

– Dżoana, nie ma ludzi niezastąpionych. – Baśka sprowadziła mnie na ziemię.

– Nie pomagasz – obruszyłam się. Miała rację, ale chciałam myśleć, że jestem im niezbędna. Przecież zawsze tyle z siebie daję.

– Chciałam, żebyś się po prostu nie martwiła – wytłumaczyła.

– Zmartwienia to chyba nasza specjalność. Mamy to w genach – powiedziała Mańka.

– Myślicie, że faceci rozkładają wszystko na czynniki pierwsze jak my? W życiu! – zauważyła Lucy.

– To fakt, u nich jest zero-jedynkowo – przyznałam. – Na przykład z tym cholernym jedzeniem. Gdy czasem proszę, żeby Wojtek przygotował dzieciom coś do żarcia, to w jego menu istnieją tylko dwie pozycje: jesz albo nie jesz. No chyba że dla pieska gotuje. Jak ja bym czasem też chciała mieć takie podejście – pożałowałam się.

– Mówiąc szczerze, chętnie bym skorzystała teraz z pozycji „jesz”. Jestem potwornie głodna – obwieściła Mańka.

Ona jako pierwsza była z nas wszystkich przygotowana do pokazania się ludziom. Dobra organizacja to jej drugie imię. Ja siedziałam w piżamie, a Lucy naprawiała to, czego poskąpiła jej natura. Ja nawet nie próbowałam. U mnie z urodą jest jak ze wzrostem – dupy nie urywa. Baśka wciskała się w spodnie.

– Jeszcze niedawno były dobre – stęknęła, naciągając je na pupę i wyginając się przy tym jak baletnica. Była to rumuńska wersja *Jeziora łabędziego* Czajkowskiego. Zakładanie ciasnych spodni jest nie lada wyczynem. Od samego patrzenia na Baśkę miałam już zakwasy. W życiu bym tak nie wyprostowała nogi.

– Ja ostatnio w ramach odchudzania kupiłam sobie spodnie o rozmiar mniejsze – pochwaliła się Lucy.

– I co? – Baśka dalej siłowała się z tekstyliami.

– Niestety iluzja. Jak ciało niepożądane ma wyjść, to wyjdzie z najbardziej zaskakującej strony – wytłumaczyła Lucy, łapiąc się za boczki.

– PESEL-u nie oszukasz – dorzuciłam swoje trzy grosze, ale byłam w tym mało wiarygodna. Wzrok dziewczyn mówił dokładnie to samo. – Ale chude za to szybciej się starzeją – wypaliłam na swoją obronę. Czułam, jak pogłębia mi się lwia zmarszczka od wnikliwej analizy naszego metabolizmu.

– Nie ma cudów, jest jedna najslawniejsza dieta na świecie: em żet, czyli mniej żreć – westchnęła Mańka.

– Ale ja byłam na specjalnej diecie. Jadłam tylko drób i nabiał – wyznała Baśka.

– A konkretnie? – zapytała Lucy, specjalistka w tej dziedzinie. Zna chyba wszystkie istniejące na tym świecie sposoby na odchudzanie.

– Noooo... – zawahała się. – To było... ptasie mleczko. – Baśka parsknęła śmiechem, a wszystkie jej zawtórowałyśmy. – Co mogę poradzić, że za słodczyce oddałabym nerkę?

– Ba, ja nawet dwie. Życie jest jednak niesprawiedliwe. Jedni tyją od powietrza, a inni... – wskazałam na siebie. – Dlatego ja powiększam sobie

tyłek eklerami. Tanio i przyjemnie – dodałam zadowolona.

– Ale chyba mało efektywnie – rzuciła Mańka. – Dziewczyny, jak dłużej będziemy tak gadały o jedzeniu, to chyba nadszarpnę tych drewnianych szafeczek.

– Dobra, racja. Nie możemy pozwolić, aby Mańka skonsumowała te rumuńskie biedermajery, wychodzimy! – zarządziłam.

No i wtedy się zaczęło. Lucy musiała poprawić ust korale, Baśka po nierównej walce zdjęła spodnie i zaczęła szukać czegoś luźniejszego, a ja z kolei nie wiedzieć czemu wzięłam do ręki przewodnik, jakby było mi to w tej chwili do czegoś potrzebne.

– Właśnie widzę, że „wychodzimy” ma dla mnie kompletnie inne znaczenie niż dla was – zauważyła Mańka, stojąc już w bloku startowym.

Fakt, chyba posiadałam umiejętności dzieci. „Już wychodzimy” można u nas w domu obliczać w godzinach. Nastąpił jednak ten cudowny moment, gdy wszystkie byłyśmy gotowe.

– Idź pierwsza. – Mańka mnie wypchnęła.

– Dlaczego ja?

– Zawsze lubiłaś grać pierwsze skrzypce.

– Tak, ale z wiekiem wolę dmuchać w fagot w czwartym rzędzie.

– Kochana, o takie szczegóły to cię nie wypytywałam.

– Dobra, ja pójdę pierwsza – zaoferowała się Baśka. Wyszła z pokoju, a my podreptałyśmy gęsiego za nią, jak kaczki podążające za matką. Rzadko jesteśmy takie nieśmiałe.

– *Good morning* – powiedziała Baśka, wchodząc do salonu.

– *Buna* – przywitałam się.

W pokoju przy stole siedział ten sam zestaw ludzki co wczoraj wieczorem. Jedynie Mihaila nigdzie nie było.

Jego mama zaprosiła nas do środka i zaczęła uwijać się jak pszczołka, przynosząc śniadanie. Rzuciłyśmy się do pomocy, bo żaden z męskich osobników nawet nie raczył podnieść tyłka. Chyba tutejszy świat jest

mocno patriarchalny. Jednak nasza pomoc musiała być dla kobiety krępująca, bo odprowadziła nas z uśmiechem do stołu. Rozglądałam się za gospodarza. Musiałyśmy się jak najszybciej dodzwonić do wypożyczalni samochodów.

Nagle do pokoju wpadły wesole potworki czyhające nad ranem na sen gości. Momentalnie zrobił się harmider. Tuż za nimi wszedł Mihail. Dziewczynki biegały wokół stołu jak szalone. Jest jednak międzynarodowy kod wszyskkich przyległości.

– Cześć jeszcze raz – powiedział nasz gospodarz zadowolony. Pewnie uśmiech wynikał stąd, że widział nas po porannym tuningu.

– Mihail, mamy do ciebie prośbę – zaczęłam. – Musimy jak najszybciej zadzwonić do wypożyczalni, żeby dali nam jakiś zastępczy samochód.

– Nie ma sprawy. Zjedzcie spokojnie śniadanie i zaraz to załatwimy – powiedział.

Wrzeszczony nie przestawały dokazywać. Na szczęście tym razem upatrzyły sobie Baśkę. O dziwo z godnością przyjęła to na klatę.

– Mańka, patrz na nią – zakpiłam.

– No wiesz, my już wyczerpałyśmy limit cierpliwości dany nam przy narodzinach naszych dziecinek – stwierdziła Mańka.

– Mnie się skończył wyjątkowo szybko – przyznałam.

– Przy własnych dzieciach to jest źródło odnawialne. W przeciwnym razie chodziłybyśmy już w kaftanach po oddziale zamkniętym. – Miała rację. Za każdym razem, gdy myślę, że nie znajdę już w sobie żadnych pokładów cierpliwości, to jednak udaje się resztkami sił. To się chyba nazywa zbilansowane macierzyństwo.

Zjadłyśmy szybko śniadanie i podeszłam do Mihaila z numerem telefonu wypożyczalni.

– Mamy tu słaby zasięg – powiedział Mihail po kilku próbach nawiązania połączenia. No tak, jak być w dupie, to tylko głębokiej.

W pewnej chwili usłyszałyśmy głośne rozmowy. Drzwi do domu się otworzyły i do środka weszło kilkanaście osób. Każda z nich zaczęła nas

całować i przytulać. Kompletnie nie wiedziałyśmy, co jest grane.

– Czy to jacyś statyści, a my jesteśmy w ukrytej kamerze? – powiedziałam do dziewczyn między jednym buziakiem a drugim.

– Nie wiem, ale jeśli będę musiała całować się z kimś jeszcze, to nie ręczę za siebie – rzuciła obśliniona Mańka.

Mihail zobaczył nasze skonfundowane miny.

– Dziewczyny, to są nasi znajomi z wioski. Dowiedzieli się, że mamy gości, no i tak to u nas wygląda. Rumuńska gościnność – wytłumaczył zachowanie przybyłych.

– Zasięgu nie mają, a rano już cała wieś wie, że przyjechałyśmy. Są lepsi niż światłowod – stwierdziłam, przyglądając się z podziwem temu całemu zamieszaniu.

– Przepraszam, pewnie jesteście nieprzyzwyczajone. U nas to po prostu z sympatii – uśmiechnął się Mihail.

Jasne, generalnie ja też codziennie rano wstaję i obcałowuję sąsiadów z całej klatki. A taka znajoma z drugiego piętra, to już w ogóle jest bardzo gościnna – tylko że ona to akurat w kroku.

Gdy już uprzejmości polsko-rumuńskie zostały wymienione, nadal byłyśmy w punkcie wyjścia.

– Wezmę telefon i spróbuję zadzwonić na dworze – powiedział Mihail i wyszedł.

My również postanowiłyśmy wyjść przed dom. Z tej strony widok był zgoła odmienny od tego, co widziałyśmy z naszego pokoju.

– Ten Mihail to prawdziwy Borat, tylko się ukrywa. – Gwizdnęłam, lustrując najbliższe otoczenie. Po podwórku biegały kury i indyki. Z jednego z budynków gospodarczych dochodził odgłos chrumkania. Pod nogami kręciły się wesołe kundelki.

– Mam alergię na wszystko, co do tej pory tutaj zobaczyłam! – psioczyła Lucy.

– Niezły armagedon – oceniła Mańka.

– Matko z córką, tyle zwierząt naraz to ja ostatnio w zoo widziałam.

Dostrzegłam, jak Mihail szuka zasięgu. Udał się do jakiejś małej drewnianej budki.

– Gdzie on idzie? – zaciekawiła się Lucy.

– Jak na mój gust to latryna – powiedziała Baśka.

– O nie, to coś takiego jeszcze istnieje w cywilizowanym świecie? – Lucy była oszołomiona tym odkryciem.

– Jak widać na załączonym obrazku – stwierdziła Mańka.

Mihail przez jakiś czas siedział w budce, po czym wyszedł i powiedział:

– Rozmawiałem z wypożyczalnią. Niestety zastępczy samochód mogą podstawić dopiero za kilka dni.

– Aha, czyli jest szansa, że będzie dopiero wtedy, gdy my już wrócimy do Polski? – zaniepokoiłam się.

– Jak nam się kierunki nie pomylą – dworowała sobie Mańka.

Patrzyłam na ten cały rozgardiasz na dworze. Że też ludzie tak mogą żyć – zaszyć się gdzieś w górach, gdzie zasięg jest tylko w kiblu. Hasło „Rzuć wszystko i wyjedź w Bieszczady” nigdy nie robiło na mnie wrażenia. Chyba bym z nudów całą korę z drzew pozrywała. Naprawdę dzisiejszego poranka liczyłam, że to wszystko da się jeszcze jakoś naprawić. Teraz jednak miałam co do tego sporo wątpliwości.

– To co robimy? – zapytałam dziewczyn.

Z domu wyszedł wujek Mihaila. Uśmiechnął się serdecznie i gdzieś zniknął.

– No więc: zostałyśmy bez samochodu w środku rumuńskiej wioski, z latającym wokół drobiem i zaglądnącymi w okno niedźwiedziami – streściła Baśka.

– Dodałabym jeszcze budzące nas rano bąbelki i całusnych mieszkańców wioski – powiedziała Mańka.

Mihail stał obok nas, ale nerwowo rozglądał się na boki. Po chwili z domu wyszła jego matka i oboje gdzieś pobiegli.

– Gdzie oni wszyscy poszli? – zapytałam, bo zdziwił mnie ten nagły zryw.

– To jakiś bardzo narwany naród – stwierdziła Lucy.

Zaintrygowała nas ta sytuacja, więc postanowiłyśmy sprawdzić, co się dzieje.

– A może oni tak mają, że w południe uprawiają wspólne rodzinne biegi?
– zapytałam. – Chyba można zwariować, mieszkając w takim miejscu.

Na dworze było chłodno. Ogromne szczyty gór majaczyły nad chatą. W oddali widać było zamazane kontury pojedynczych domów. Zobaczyłyśmy Mihaila, który szedł w naszą stronę.

– Widziałyście, dokąd poszedł wujek? – zapytał lekko zasapany.

– W prawo – powiedziała Lucy.

– W lewo – rzuciła jednocześnie Mańka, wskazując ten sam kierunek. Miałam nieodparte wrażenie, że w rajdzie samochodowym nie sprawdziłyby się w jednej parze.

– To w którą? – próbował doprecyzować Mihail.

– A coś się stało? – Baśka spojrzała mu w oczy.

– Nie możemy znaleźć wujka.

– Jak to mówią, ciągnie wilka do lasu – mruknęłam pod nosem.

– Wuj ma demencję starczą i szalone pomysły. Jak ostatnio wyszedł, to szukaliśmy go przez trzy dni. Powiedział jakimś przyjezdnym, że był przetrzymywany siłą, i kazał się zawieźć do naszej dalekiej rodziny. Tamci, niczego nieświadomi, myśleli, że po prostu odwiedził ich po latach.

– A to dowcipniś – zauważyła Lucy.

– Pomożemy wam szukać – powiedziała Baśka bez zastanowienia.

Ja i ona poszłyśmy za Mihailem, a Lucy i Mańka jeszcze przez chwilę rozszyfrowywały kierunki geograficzne. Do poszukiwań przyłączyli się też znajomi naszego gospodarza, których zwabiłyśmy swoją obecnością.

– No i tak to właśnie jest. Najpierw pilnują nas, jak jesteśmy mali, a potem my musimy pilnować ich na starość – zauważyła słusznie Mańka.

– My też będziemy miały takie pomysły, zobaczycie – powiedziałam z pewnością w głosie.

– W twoim przypadku, Asiunia, nie trzeba nawet czekać do tego złotego wieku – powiedziała Mańka.

– To znaczy?

– A kto mi ostatnio zrobił przelew bankowy z opisem „za zakopanie zwłok”?

Dość szybko sobie przypomniałam, że rzeczywiście puściłam wodze fantazji.

– Oj dobra, zdarza się nawet najlepszym – próbowałam się wytłumaczyć.

– Wcześniej było za przemyt kokainy albo na środki na otwarcie plantacji. A potem ja, matka dzieciom, musiałam świecić oczami w banku, że mam niezrównoważoną przyjaciółkę.

– To może następnym razem napiszę: „za odkrzaczanie brochy”? Myślisz, że będzie lepiej? – Puściłam oczko do Mańki.

Draka z wujkiem odciągnęła nas na chwilę od naszych kłopotów. Na szczęście szybko znalazł się cały i zdrowy. Tym razem próbował dostać się do cywilizacji. Chciał napić się dobrej kawy w jakiejś uroczej kawiarence. W życiu jednak ważne są priorytety, nawet gdy stawia się na nogi połowę wioski.

– Mam pomysł – wypaliła nagle Lucy. – Mihail nas tutaj przywiózł, prawda?

Przytaknęłam.

– Więc skoro nas przywiózł, to musi nas stąd wywieźć. Takie jest odwieczne prawo natury. – Lucyna była niezmiernie dumna ze swojego doskonałego planu.

– No świetnie, tylko przypominam, że uprawiałyśmy taniec godowy, aby nas zabrał gdziekolwiek ze środka drogi – przypomniała Baśka.

– Założmy, że nas stąd wywiezie, i co dalej? Znów na ulicę? Gdybym wiedziała, że człowiek tak nisko upadnie, nogi bym nie ruszyła ze swojego ciepłutkiego domku – zadumała się Mańka.

– Słuchajcie, przecież nie jesteśmy w dziczy. – Nagle nabrałam energii do działania.

– Skądże. Jesteśmy w centrum cywilizacji w pięciogwiazdkowym hotelu ze spa. Kury przynoszą nam śniadanie do łóżka, indyki wachlują podgardlem, a twoje chude łokcie, które wbijałaś mi dzisiaj przez całą noc w żebra i nie tylko, były niczym balijski masaż – kpiła Mańka.

– Jakbyś nie wpychała się na moją połówę, byłoby inaczej – odcięłam się.
– Chodzi mi o to, że w okolicy może jest jakiś wolny hotel. Mamy jeszcze trzy dni. Wiecie, ile można zrobić przez ten czas?

– To niegłupie. Tylko jak go znaleźć? – zastanawiała się Mańka.

– Zapytam Mihaila, zaczekajcie – powiedziała Baśka i pobiegła do naszego gospodarza.

Siedziałyśmy w pokoju, patrząc na swoje walizki. Lucy zajęła się pakowaniem. Każdą rzecz z pietyzmem zwijała i wkładała do walizki.

– Co robisz? – zapytała ją Mańka.

– Składam rzeczy.

– Chyba zwijasz w kulki – zauważyłam.

– Oglądałam kiedyś taki program, w którym pokazywali, że w ten sposób zaoszczędza się najwięcej miejsca – wyjaśniła Lucy.

W walizce mignęło mi coś koronkowego.

– Lucy, co ty tam masz? Seksowną bieliznę? – zapytałam zadziornie.

– Oj, chyba musiałam wziąć to przez przypadek – odparła.

– Ja tam nie mam takich przypadków w szafie – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Siadaj i opowiadaj. Masz jakieś nikczemne plany? – ciągnęła temat Mańka.

– Dajcie spokój, dziewczyny. – Lucy odbiła piłeczkę.

– Dobra, dzideczki, więc tak – zaczęła Baśka, która wróciła z informacjami. – Godzinę stąd jest całkiem niezły hotel. Mihail się do niego dodzwonił i są miejsca. Powiedzieli też, że mają do wynajęcia samochód, którym wrócimy potem do Bukaresztu. Idealnie, co? – cieszyła się jak dziecko.

– Wspaniale! W końcu się wyśpię! – Zaczęłam skakać z radości.

– A kto nas tam zawiezie? No i co z naszą dacią? – zapytała Lucy.

– Mihail zaproponował podwózkę. A jeśli chodzi o auto, wypożyczalnia zabierze je do naprawy. Przy wyjeździe oddamy na lotnisku wszystkie dokumenty.

– To ja już jestem spakowana jakby co – powiedziała zadowolona Mańka.

– Ale że jak? Kiedy ty to zrobiłaś? – zdumiałam się.

– Kiedy ty gadałaś, cukiereczku – uśmiechnęła się.

Nie wiem, jak ona to robi, ale jest tak poukładana, że aż mnie to wkurza. Za czasów studenckich, kiedy umawialiśmy się na wyjście na dwudziestą, to bez zegarka było wiadomo, że przyjdzie punktualnie albo trochę przed czasem. Ja dopiero byłam w procesie myślowym, co na siebie włożyć.

Lucy też już zwinęła swoją garderobę, a u mnie? Jak zwykle burdel. I tym razem nie było na kogo zrzucić winy, że dzieci, mało czasu i tak dalej. We wszystkich domowych rzeczach, w przeciwieństwie do zawodowych, jestem jednym wielkim nieogarem!

Upchałam swoje rzeczy w walizce z prędkością światła. Baśka też szybko się zebrała. Byłyśmy bardziej niż gotowe, żeby opuścić to urocze gniazdko.

Wyszliśmy z pokoju, aby podziękować za gościnę. Przez chwilę zrobiło mi się nawet trochę smutno. Choć nie chciałam tu być ani minuty dłużej, to czułam do tych ludzi ogromną wdzięczność. Nie byłam jednak gotowa na górskie wygnanie, spanie z Mańką na kanapie i niańczenie cudzych bąbelków. Gdy gospodyni dowiedziała się, że wyjeżdżamy, oczywiście nie chciała wypuścić nas na głodnego. Uparła się, że zrobimy jeszcze grilla, i nie było możliwości odmowy.

– Jak z moją matką. – Mańka przewróciła oczami. – Obiad o trzynastej i nie ma zmiłuj. Przeciwstawienie się grozi fochem do końca dnia. Albo życia.

– Czyli ma to swoje plusy – zauważyłam. – Święty spokój.

– To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Fochowi towarzyszą wszelakie symptomy chorobowe, a zwłaszcza sapanie, w celu zwrócenia na siebie

uwagi. Wiesz, jaka to trudna gra aktorska tak sapać?

– A to jak mój tatulek – ucieszyła się Baśka.

Ja też opowiedziałam swoją historię:

– Na początku naszej wspólnej drogi z Wojtkiem moja teściowa postanowiła ze złości zamknąć się w sypialni. Gdy chciała wyjść, okazało się, że drzwi się zatrzasnęły. Musieliśmy znaleźć ślusarza. Pech chciał, że mógł przyjść dopiero następnego dnia – dodałam z niewinną miną.

– A kto szukał? – zapytała podejrzliwie Mańka.

– Ja – odpowiedziałam z szyderczym uśmiechem. – Ale po tylu latach już się dotarliśmy.

– Czyli teraz w ogóle nie dzwonisz po pomoc, jak się zatrzaśnie? – roześmiała się na cały głos.

Nasze pogaduszki przerwała matka Mihaila. Zaprosiła nas do letniej kuchni, która znajdowała się na zewnątrz. W tym czasie panowie poszli po drewno do lasu. Klasyczny damsko-męski podział obowiązków.

Gospodyni opalała paprykę i bakłażany na płycie nad paleniskiem. Na haczykach poprzybijanych w różnych miejscach wisiały garnki i patelnie. Wokół suszyły się zioła. Wszystko tak cudownie pachniało.

– Zobaczcie, jak ona to wspaniale robi. Jak to jest, że jedne mają umiejętności pani domu, a inne nie? – żaliłam się.

– Nie można być we wszystkim dobrym – podniosła mnie na duchu Mańka.

– Jasne, a wstawiłaś kiedyś kości z kurczaka do zmywarki?

– Dżizas, nie. Wygrałaś. – Baśka zaniósła się śmiechem.

– Na swoje usprawiedliwienie dodam, że planowałam zrobić drób w winie. Skończyło się na tym, że ja się nawodniłam, a ptak był trzeźwy. Jakież było moje zdziwienie, gdy rano chciałam wyciągnąć sobie czysty widelec.

– Ja myślę, Joanno, że jakbyś chciała, tobyś się nauczyła – stwierdziła Lucy.

– Wyciągać ze zmywarki czyste widelce?

– Gotować, moja droga.

Może i miała rację. Najwięcej ograniczeń ma się we własnej głowie.

Na zewnątrz zaczęły rozchodzić się piękne zapachy i momentalnie zrobiłam się głodna. W moim świecie chciałabym, żeby to wszystko działało się szybciej, ale tutejsza rzeczywistość była zgoła odmienna.

W pewnym momencie coś mi mignęło na blacie.

– Widziałyście? Tutaj chyba coś chodzi – powiedziałam ze stoickim spokojem. Nie robią na mnie wrażenia insekty czy inne niewielkie stworzenia.

– Weź odstaw te leki – szydziła Mańka.

Znowu miałam wrażenie, że coś się rusza. Tym razem na wysokości górnych półek, ale nie chciałam kolejny raz się wygłupić, gdy nagle usłyszałam krzyk Lucy:

– O matko, ratunku, wąż!

Aha, a jednak. Może po czterdziestce dopadła mnie już starczowzrocność, ale nie na tyle, żeby nie zauważyć gada.

– Widzicie! Mówiłam! – Łypałam jednak w panice na boki.

– Kurwa, on jej włazi na szyję! – krzyczała Lucy, wskazując matkę Mihaila. W jej przypadku użycie wulgaryzmu oznaczało najwyższy poziom zdenerwowania.

– Nie na takie atrakcje się pisałam. – Mańka przebierała nogami.

Nagle starsza pani upadła na podłogę jak rażona piorunem. Przed nią z miną seryjnej wężowej morderczyni, uzbrojona w żeliwną patelnię, stała Baśka. Patrzyłyśmy to na nią, to na leżącą na ziemi kobietę.

– Coś ty zrobiła?! – wrzasnęłam na przyjaciółkę.

– Nie wiem, o matko. Chciałam zabić tego węża! – mówiła jak w amoku.

Intuicyjnie pochyliłam się i sprawdziłam tętno matki Mihaila. Dobrze, że oglądałam kiedyś *Na dobre i na złe*.

– Nie żyje – oznajmiłam.

Baśka zamarła.

– Co nie żyje? A ty doktor Queen jesteś, że takie opinie wydajesz? – zbulwersowała się Mańka.

– Nie czuję tętna – powiedziałam.

– Niemożliwe, pewnie masz jakąś znieczulicę palców. To jakiś koszmar – lamentowała Lucy.

– Może trzeba zrobić masaż serca? – zasugerowała Mańka.

– Zaraz zwariuję. Na chuj mi był ten wyjazd! – Szalałam z nerwów, wsłuchując się, czy poszkodowana oddycha. – Jak nic zamkną nas w rumuńskim więzieniu i będą chłostać przez następne dwadzieścia lat! Jest puls! – krzyknęłam nagle.

– I co teraz? – zapytała Mańka z powagą.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam. – Nieczęsto, nawet kurewsko rzadko, a w zasadzie to nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

– Dlaczego ona tak leży? – Po chwili Baśce udało się sformułować niezbyt logiczne pytanie.

– Może się zmęczyła opalaniem papryki – odpowiedziałam sarkastycznie.

– Bo walnęłaś ją z całej siły patelnią! – zrelacjonowała Lucy.

– Dobra, co robimy? Bo chyba nie jest dobrze – mówiłam podniesionym tonem. W oddali zobaczyłam panów wracających z lasu i wesołe bliźniaczki.

– Musimy ją gdzieś schować. Przecież dzieci nie mogą jej tak zobaczyć. – Baśka nagle się ocknęła.

– Przepraszam, ale gdzie chcesz ukryć mamusię? – zirytowała się Mańka.

– Nie wiem, przykryjemy ją czymś. – Morderczyni wpadła na kolejny genialny pomysł.

– Chyba tymi bakłazanami! Pędzę po Mihaila – krzyknęłam i wybiegłam. I co ja mam mu powiedzieć? „Twoja matka leży nieprzytomna na

podłódze, ale to nie tak, jak myślisz?”. Zawsze mnie uczyli, żeby mówić prawdę, lecz czy to się w życiu sprawdza? Serce biło mi jak oszalałe. W sumie to nie wiem, dlaczego wyrwałam się do tej misji.

– Joanna, wszystko okej? – zapytał, gdy mnie zobaczył. Musiałam wyglądać koszmarnie.

– Nie do końca. Coś się stało z twoją mamą. – Uznałam, że będę mu dawkować informacje.

Mihail powiedział coś do ojca i pobiegł za mną. Przy jego matce klęczały dziewczyny. Gdy go zobaczyły, rozstały się niczym Morze Czerwone. Nasz gospodarz zbadał matce puls i sprawdził, czy oddycha. Nagle zauważył na jej szyi ślad po ugryzieniu.

– To żmija – powiedział zdenerwowany.

– Zajeście – bąknęłam pod nosem. U nas jedynym zagrożeniem są rybiki cukrowe w łazience.

– Muszę jak najszybciej jechać z nią do szpitala – wysapał Mihail.

– Mówimy mu o tej patelni? – zapytała po cichu Mańka. Baśka kręciła przecząco głową.

– Nie no, trzeba przecież. Nie wiemy, co tak naprawdę jej się stało – uznałam.

– Ale sam mówi, że to żmija – powiedziała przerażona Baśka.

Popatrzyłyśmy po sobie.

– Trzeba mu powiedzieć – zdecydowałam. – Mihail... – zaczęłam.

– Nie teraz – uciął.

Do chaty wszedł ojciec z wujem i dziećmi.

– Weźcie je stąd. – Nasz gospodarz wskazał dziewczynki i poszedł po samochód. Lucy zaprowadziła bliźniaczki do domu, a panowie włożyli półprzytomną kobietę do auta. Sytuacja była co najmniej niefortunna.

– Joanna – zaczął Mihail. – Mam do was ogromną prośbę. Możecie tutaj zostać, dopóki nie wrócę? – Kompletnie zaskoczył mnie tym pytaniem. – Pomogłybyście ojcu przy dziewczynkach i w gospodarstwie.

– Nie ma sprawy. – Obstawiałam, że chodzi mu o dzisiejsze popołudnie.

– Tylko to może trochę potrwać – ostrzegł.

– To znaczy?

– Nawet parę dni. Ukąszenia żmii są u nas dość częste i niestety niebezpieczne. Matka będzie musiała leżeć w szpitalu, a ja jej tam samej nie zostawię – wytłumaczył.

„Parę dni” dudniło mi w uszach niczym mantra.

– A może zawieźć dziewczynki do ich matki? – zaproponowałam.

– Ich matka nie żyje – powiedział krótko.

No to by było na tyle. Makao i po makale.

– To jak, zostaniecie?

Mihail wcale nie czekał na odpowiedź. Było to tak zwane pytanie oznajmujące. Bardzo często wypróbowałam je na mężu, gdy chciałam coś osiągnąć.

– Dziękuję – powiedział, wsiadł do samochodu i odjechał.

Wpatrywałam się w tylne światła auta. Tuż za mną stały Baśka i Mańka. Nie ma sprawy. Nie dziękuj, człowieciu. Dokładnie tak wyobrażałam sobie wakacje z przyjaciółkami.

Rozdział 10

- Czy ja dobrze usłyszałam? – zapytała Mańka.
- A myślaś uszy? Tak, mamy tu zostać do jego powrotu.
- Mańka miała minę cierpięcicy.
- I jak mniemam, nie wróci dzisiaj na kolację – dedukowała.
- Obawiam się, że ani dzisiaj, ani nawet jutro – stwierdziłam ponuro.
- Baśka ciągle nie doszła do siebie. Wciąż gapiała się w jeden punkt.
- Jestem morderczynią – powiedziała nagle.
- Baśka, przestań, to był nieszczęśliwy wypadek. Zresztą chciałaś zabić żmiję, a nie mamusię, prawda? – pocieszałam ją.
- Może co najwyżej jesteś kobietą buszującą z patelnią – próbowała rozśmieszyć ją Mańka. Na nic jednak zdały się te zabiegi.
- Weszliśmy do domu, w środku czekała na nas Lucy.
- I co? – zapytała.
- Sytuacja jest patowa – stopniowałam napięcie.
- Jego matka nie żyje? – zdenerwowała się.
- Nie, a to wcale nie byłoby takie złe w obecnej sytuacji – powiedziała poważnie Mańka.
- Mihail zabrał matkę do szpitala. Poprosił, żebyśmy zostały do jego powrotu i zajęły się dziewczynkami, no i pomogły przy gospodarstwie – przedstawiłam sprawę.
- No i co w tym złego, poczekamy. – Lucy starała się zachować spokój. – Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze i wkrótce uda nam się stąd wydostać.

– Okazuje się, że to nie takie łatwe – chrząknęłam.

– Czyli? – zniecierpliwiła się Lucy.

Wokół stołu biegały nieświadome niczego pełne energii bąbelki.

– Bo Mihail może wrócić ze szpitala nawet za kilka dni – wytłumaczyła Baśka.

Lucy nagle wstała. Wyprostowała się jak struna i powiedziała:

– Drogie panie, było mi niezmiernie miło, ale nie zamierzam kontynuować tej podróży. To nie moja bajka.

– A myślisz, że ja mam ochotę? – odparowałam. – Co miałam mu powiedzieć? „Bardzo cię przepraszam, ale radźcie sobie sami. Może i przez przypadek uderzyłyśmy twoją matkę patelnią, teraz jednak musimy się zbierać, bo mamy zamiar moczyć nasze podstarzałe tyłki w jacuzzi i pić szampana z truskawkami?!”. Mam to gdzieś!

– Wypraszam sobie. Mój wcale nie jest taki podstarzały – odcięła się Mańka.

– Przecież my nawet po rumuńsku nie umiemy – powiedziała Baśka ze smutkiem. – A co z dziewczynkami? Gdzie jest ich mama?

– Niestety usnęła w Panu – obwieściła Mańka.

– No to jesteśmy naprawdę w dupie – zauważyła Baśka. Chyba zdawała sobie sprawę, że jest po części odpowiedzialna za tę sytuację.

Byłam wkurzona. Prawda jest taka, że Baśka powiedziała dokładnie to, o czym wszystkie myślałyśmy. Byłyśmy w sytuacji bez wyjścia. Podobno takich w życiu nie ma. A jednak w tej chwili nie potrafiłam znaleźć żadnych, nawet uchylonych drzwi.

– Wiecie co? – zaczęłam. – Szkoda mi tych bakłażanów i papryki. – Nagle wszystkie oprócz Baśki zaczęłyśmy się śmiać.

– A co będzie, jeśli ona umrze? – Baśka nie mogła przestać myśleć o swojej zbrodni.

– Nie martwmy się na zapas – uznała Mańka. – Teraz nie mamy już na to żadnego wpływu. – Miała rację, rzeczywiście jedyne, co nam pozostało, to czekać i, biorąc pod uwagę cały nasz wyjazd, nie broić, nikogo nie zabić ani

generalnie nie przeszkadzać. Nie znoszę takich sytuacji. Jak my się stąd wydostaniemy? Co z Wojtkiem i dziećmi, co z pracą? Wszystko zaczęło wymykać nam się spod kontroli. Przecież to nie jest jakiś cholerny film przygodowy, tylko prawdziwe życie!

Do domu weszli tata Mihaila i wujek uciekinier. Ci dwaj na oko osiemdziesięcioletni panowie nie wyglądali na specjalnie wystraszonych. Wręcz przeciwnie – wyglądali na całkiem wyluzowanych.

– *Relax* – powiedzieli, gdy zobaczyli nasze posępne miny.

– *Relax*, słyszałyście? – powiedziała zdziwiona do dziewczyn.

– Niezależnie od szerokości geograficznej u wszystkich mężczyzn zawsze jest *relax* – stwierdziła Mańka. – Panowie uznali, że po prostu życie toczy się dalej.

– No tak, co tam ukąszenie przez żmiję i nieprzytomna matka. Takie babki leżą w Wilanowie na chodniku co dwa metry. Podnoszę nogi i je przeskakuję. Dzień jak co dzień – dworowałam sobie.

Lucy nadal milczała. Bałam się, że opracowuje jakiś tajemniczy plan, który wpakuje nas w jeszcze większe kłopoty.

– Dziewczyny, czujecie ten smród? – zapytała nagle Baśka.

Pociągnęłam nosem. Rzeczywiście zapach był mało królewski. Spojrzałam na dziewczynki.

– Chyba ktoś tu zrobił dwójkę. – Wskazałam bliźniaczki.

– A myślicie, że kupę to one robią symultanicznie? – dociekała Mańka.

– Nie wiem, ale trzeba je wysłać do dziadka – uznałam i wzięłam małe za rękę. Poszłam do kuchni, ale nie mogłam go znaleźć. Zajrzałam do kolejnego pokoju – też nic.

– Nikogo tu nie ma. Idę poszukać na dworze – powiedziałam do dziewczyn.

– Przepraszam, a co z zawartością pieluch? Chyba trzeba im wyczyścić podwozie – zasugerowała Baśka.

– Na razie to przeczekamy – uśmiechnęłam się.

Na dworze zmierzchało. Wypatrzyłam Vasilego i Teodora, którzy kończyli przygotowywać grilla. Chyba uznali, że posiłek w tej sytuacji jest najlepszym rozwiązaniem. Gdy poczułam dochodzące zapachy, przypomniało mi się, że jestem głodna. Podeszłam do taty Mihaila i pokazałam mu na migi, żeby ze mną poszedł.

– *Children* – powiedziałam, żywiąc nadzieję, że mnie rozumie.

Gdy weszliśmy do domu, bliźniaczki podbiegły do niego wesolo. Śmierdzący balast kompletnie im w tym nie przeszkadzał. To uruchomiło moje wspomnienia, jak mały Piotruś zrobił kiedyś kupę w foteliku samochodowym. Jechaliśmy wtedy do Gdańska i mój syn jakoś tak się postarał, że nikt tego w samochodzie nie wyczuł. Jakież było nasze zdziwienie po przyjeździe, gdy okazało się, że jest żółto-brązowy na plecach aż po szyję. Owszem, podczas podróży miał trochę dziwną minę, ale myślałam, że się do nas uśmiecha.

Dziadek chyba sam wyczuł, że dziewczynki fiołkami nie pachną. Zniknął w pokoju i po odgłosach poznałam, że zaczął otwierać wszystkie szafki. Zajrzałam, co tam robi.

– Aha, szukaj wiatru w polu – mruknęłam pod nosem.

Dziewczyny, zwabione hałasami, przyszły sprawdzić, co się dzieje.

– Myślisz, że znajdzie pieluszki? – zapytała Mańka.

– Jeśli szuka tak jak nasi starzy, to dziewczynki będą się taplać w gównie do osiemnastego roku życia – stwierdziłam.

Trzaskanie szafkami i szufladami nie miało końca. Ach, ten południowy temperament.

– *Curva* – usłyszałyśmy tuż po tym, jak rozległ się wielki huk.

– O proszę! Chyba zdecydowanie więcej nas łączy, niż dzieli – ucieszyłam się.

Wreszcie po paru dobrych minutach Vasile wyszedł z pokoju. W ręce niósł pampersy. Podeszedł do mnie i mi je wręczył.

– *Multumesc* – powiedział, klepiąc mnie po ramieniu, i wyszedł na dwór. Spojrzałam na dziewczyny.

– Obstawiam, że my mamy się tym zająć? – zapytałam z pieluchami w dłoniach.

– Nie, same sobie założmy. W tym wieku to nigdy nic nie wiadomo – zadrwiła Baśka.

– My jak my, ale jakby tobie je dał. – Mańka zrobiła niewinną minę.

– Bo byłam pod ręką. Dlaczego zawsze znajdę się tam, gdzie nie powinnam – wściekałam się. Wpadłyśmy z deszczu pod rynnę, i to długa.

– Która przebiera dziewczynki? Bo zaraz puszcę pawia – zagroziła Mańka.

– O nie, ja z pieluchami skończyłam dobre parę lat temu – powiedziałam.

– To dość późno się odzwyczaiłaś, biorąc pod uwagę, że masz czterdzieści sześć wiosen – naigrywała się ze mnie.

– Wal się i zrób to sama.

– Ja je przebiorę – zaoferowała się nagle Lucy. – Przecież dzieci nie są niczemu winne. – To było jej pierwsze zdanie wypowiedziane od dłuższego czasu.

– Dzięki – odetchnęłam. Inaczej dalej grałybyśmy w papier, kamień, nożyce.

Do domu wszedł Vasile i zawołał nas na grill. Ubrałyśmy dziewczynki w to, co znalazłyśmy, i wyszłyśmy za nim.

Było już chłodno, w powietrzu unosiła się delikatna mgła, która dodawała magii temu miejscu. Zastanawiałam się, co robią moje dzieci. Dzisiaj Piotrek miał pianino; ciekawe, czy zdążył. Jutro ma sprawdzian, powinien powtórzyć materiał. Kasia też pewnie ma sporo lekcji do odrobienia. A co w pracy? Kryśka miała załatwić kilka ważnych spraw w moim imieniu. Nie, nie powinno mnie tu być. Ten pomysł był niedorzeczny.

– Mańka, nie tęsknisz za dziećmi? – zapytałam, patrząc na bawiące się z Baśką dziewczynki.

– Tak i nie. Jestem przyzwyczajona, że co drugi tydzień są u ojca, i powiem szczerze, bardzo cenię sobie te chwile.

Ja w zasadzie bez przerwy myślałam, co się dzieje w domu. Z jednej strony chciałam być tam z nimi, a z drugiej cieszyłam się, że jestem sama. Nie dawało mi jednak spokoju, że Wojtek mógł chcieć się ze mną skontaktować. A co, jak rozpocznie międzynarodowe poszukiwania? Jeszcze tego nam brakowało.

Wujek Teodor wyciągnął swój wysokooktanowy zajzajer i nalał każdemu po kieliszku. Chyba nam się należało.

Dzień powoli dobiegał końca. Bliźniaczki biegały wokół radośnie, ale nagle zaczęły marudzić. Na mój gust były już zmęczone.

– Idę do pokoju. Zimno mi – powiedziała Lucy.

– Też myślę, że czas się zbierać – zgodziła się Baśka, próbując ujarzmić dzieci.

Vasile wstał.

– Idźcie do dziadka, kochane bąbelki – odezwała się po polsku Baśka, jakby mogły to zrozumieć.

Jednak dziadek ewidentnie nie chciał się zająć dziewczynkami. Zaczął ogarniać biegające po podwórku zwierzęce tałatajstwo.

– Widzicie? A my narzekamy, że mamy dużo roboty w domu – rzekła filozoficznie Mańka.

Vasile przywołał Lucy machnięciem.

– Czego on ode mnie chce? – przeraziła się Lucyna.

– Może pożyczyć twoje buciki na obcasie – zakpiłam, patrząc na jej obuwie.

– Nigdzie nie idę – obruszyła się.

– Rozumiem. Też bym nie dała. – Pokiwałam głową. – Niemniej rusz tę dupę, uprzejmie proszę. Jakoś nie widzę wielu propozycji spędzenia najbliższych dni w ekskluzywnym spa. Więc jeśli chcesz mieć dzisiaj dach nad głową i ciepłą wodę, żeby przemyć skrzydło, to nie becz.

– A pójdziesz ze mną? – zapytała Lucy z nadzieją w głosie.

– Chyba nie mam wyboru.

Pokazałam Vasilemu, że wszystko dobrze, i spacyfikowałam Lucy, która poleciała się przebrać.

– Normalnych ciuchów nie zabrałaś? – spytałam.

– No co, nie mam innych. – Spąsowiała, gdy obrzuciłam ją lodowatym spojrzeniem. Niestety mówiła prawdę.

Kiedy nasza feshynistka nareszcie była gotowa, ruszyliśmy w ślad za Vasilem.

– Gdzie on nas prowadzi? – zaniepokoiła się Lucy.

– Nie mam pojęcia, może gdzieś nas zakopie – wysunęłam przypuszczenie.

Vasile wyglądał na mocno zmęczonego już życiem człowieka, ale dziarsko podążał przed nami do przodu. Może pomyślał, że na stare lata zrobi jeszcze coś szalonego?

– Boszsz, jak on szybko chodzi – narzekała Lucy.

– Szybko chce się nas pozbyć – podkreślałam atmosferę. Lucynie jednak nie było do śmiechu. – Potraktuj to jak trening na łonie natury, a nie w domu na podłodze: brzuszki, wygibasy, skłony i ta cała strata czasu.

– Przynajmniej nic mi nie wisi – odszczeknęła Lucy.

– Co ma wisieć, nie utonie. Ja przynajmniej jestem bezpieczna w wodzie.
– Puściłam do niej oczko.

Przed nami ukazała się wielka łąka, na której wypasały się owce i kozy. Czyli zwierzęta, które widziałyśmy w gospodarstwie, stanowiły tylko część owłosionych mieszkańców. Vasile zaczął zaganiać je w jedno miejsce. Pokazał nam, żebyśmy robiły to samo.

– Patrz, sery z Lidla idą – skwitowałam. Normalnie jak u mnie w domu. Gdy jedno dziecko jest gotowe do wyjścia, drugie musi jeszcze coś zrobić. – Lucy, powinnaś iść z drugiej strony, bo się rozłożą, lafiryndy – powiedziałam.

Moja przyjaciółka wyglądała przekomicznie. Podchodziła do zwierząt tak delikatnie i powoli, jakby miały ją połknąć w całości. Nigdy wcześniej

tego nie robiłam, a Lucy to pewnie nawet do końca nie wiedziała, z jakimi gatunkami ma do czynienia.

– O, zobacz, jest jedna czarna owca. – Wskazałam palcem. Nie dość, że była innego koloru, to jeszcze odstawała od stada.

– Myślisz, że jest szczęśliwa? – zapytała zamyślona Lucy.

– Pewnie tak, wyróżnia się z tłumu i jest nieszablonowa. Ja też zawsze taka byłam, wiecznie na kontrze. Pyskata i niepokorna. Ale to dopiero od liceum. Wcześniej taki cycuś mamusi. A ty?

– Zawsze byłam na świeczniku, wiesz, z ojcem dzielnicowym... Gdy wszyscy szli na imprezę, musiałam być najszybciej w domu, i to jeszcze trzeźwa.

– Martwił się o ciebie.

– Nie, nie o to chodziło. Ciągłe mi truł. „Lucyna, musisz dawać dobry przykład, żeby mi wstydu nie przynieść” – naśladowała głos ojca.

– Masz z nim dobry kontakt?

– Średni. Nawet na emeryturze pozostał z natury policjantem.

– Ale na pewno jest dumny z córeczki. Ojcowie tak mają. Rzadko okazują uczucia i do tego są dość oszczędni w słowach. Ostatnio dzwonię do Eduarda. Opowiadam, co u nas i u dzieci, koperkowe afery szkolne, gównoburze osiedlowe, chuje moje dzikie węże. Tyle gadałam, że można by powieść jednotomową napisać. I pytam: „A co u ciebie?”. On na to: „No dobrze”. Jedno krótkie „no dobrze”. Udało mi się jeszcze wyciągnąć, co zjedli z mamą na obiad. I tyle w temacie.

– Ech, gdyby mój ojciec wiedział o mnie więcej, chyba nie byłby dumny.

– Myślisz, że miałby pretensje o tę ostatnią manifestację, kiedy to psikaliście mlekiem prosto z krowiego cycka w polityków?

– Nie, nie o to chodzi.

– Nie lubi krowiego mleka?

– Asiu, ty to zawsze potrafisz człowieka rozbawić. – Lucy się uśmiechnęła.

Nigdy nie opowiadała zbyt wiele o swojej rodzinie, więc tym bardziej zaskoczyły mnie jej zwierzenia.

Trochę się namęczyłyśmy przy tym zaganianiu, ale w końcu wszyscy dotarliśmy szczęśliwie do domu. Ten spacer spowodował, że na chwilę zapomniałam o reszcie świata. To tak można?

Mańka i Baśka siedziały w pokoju, gdy wparowałyśmy i padłyśmy ze zmęczenia na łóżko.

– Następnym razem wy idziecie po sery z Lidla.

– Jest tutaj gdzieś sklep? – zainteresowała się Mańka.

– Tak, żywy, właśnie przyprowadziłyśmy go na wieczorną toaletę do stodoły – zakpiłam.

– Dziewczyny, muszę wam coś powiedzieć – zaczęła ni stąd, ni zowąd Mańka. – Mam problem.

– O nie, chciałabym, żebyśmy już nie wymawiały więcej na wyjeździe tego słowa. – Baśka zadrżała.

– Jak by to powiedzieć... Doszło do zachwiania równowagi zdrowotnej w mojej prażynce.

– To znaczy? – Nie skumałam. – Chyba jestem zbyt zmęczona na takie anatomiczne zagadki.

– Tak mnie brocha ogniem pali, że nie wytrzymam. Zaraz sobie drugą dziurę wydrapię – krzyknęła Mańka.

– O matko, dostałaś grzybicy pochwy! To bardzo częsta przypadłość na wyjazdach – stwierdziła Lucy.

– A nie masz na to żadnego kremiku? Może ten na hemoroidy? – zapytałam i poczułam, że z solidarności mnie też swędzi.

– Niestety nie. Użyłam już prawie wszystkich. Chyba będę spała dzisiaj z psiochą w misce – powiedziała zmartwiona, drapiąc się aż do kolan.

Bardzo jej współczułam. Nieraz miałam to samo. Kiedyś, jak dopadło mnie w Peru, to szukałam szamanów po dżungli, żeby mi pomogli. Nie zrozumie ten, kto nie jest kobietą.

– Lucy, przecież ty masz w walizce całą tablicę Mendelejewa. Nic tam nie znajdziesz? – dopytywała Baśka.

Lucyna zaczęła przeglądać swoją obszerną apteczkę.

– Hmm... Rutinoscorbin, leki na gorączkę, plastry, bandaże, coś na odciski, leki na alergię, dalej, maść na reumatyzm.

– Na reumatyzm? – Nie dowierzałam. – A swoją drogą wiecie, że jest taka choroba, że śmierdzi się zdechłą rybą? – Przypomniało mi się, że kiedyś oglądałam program o najdziwniejszych dolegliwościach świata.

– Przepraszam, co ty mi tutaj imputujesz? – oburzyła się Mańka.

– Ależ nic, Maniuniu.

– Krople na katar i do oczu. No patrz, jak na złość nie wzięłam żadnych globulek – zmartwiła się Lucy.

– Widzisz, Mańka, tak gadałyśmy o tych drożdżach, że wywołałyśmy wilka z pochwy – stwierdziłam.

– Biorąc pod uwagę intensywność swędzenia, to nawet niedźwiedzia – odpowiedziała z grymasem na twarzy. Czulałam, że kolejna noc również nie będzie należała do najłatwiejszych.

– A gdzie są dziewczynki? – zapytałam.

– Z wujkiem – odparła Baśka.

– Jak to z wujkiem? – Zmroziło mnie. – Wiesz, że on ma demencję starczą i jego samego trzeba pilnować? – krzyknęłam i wybiegłam z pokoju.

Na szczęście z wujkiem Teodorem i bliźniaczkami był już Vasile. Dziewczynki siedziały przy stole i marudziły przy jedzeniu. Wyglądało to tak, jakby zaserwowano im pół wołu. No tak, faceci. Jak kiedyś zostaliśmy z tatą przez parę dni, to nałożył mnie i bratu po trzy gołąbki i był zdziwiony, że nie chcemy zjeść wszystkiego.

– *Need help?* – zapytałam.

Kiwnął głową, więc poszłam do kuchni z zamiarem przyrządzenia omletów. Chyba wszystkie dzieci je lubią, a ja niewiele więcej umiem. O ironio losu. Byłam w jakiejś rumuńskiej chacie na końcu świata, stałam w kuchni i trzepałam jajka dla obcych bąbelków. Może czasem chcemy

uciec od macierzyństwa, ale macierzyństwo chyba nigdy nie ucieknie od nas.

Kątem oka zauważyłam pokój, w którym stał komputer. Momentalnie mnie oświeciło: skoro jest komputer, to musi też być internet. W końcu Mihail w jakiś sposób znalazł hotel, do którego nie udało nam się dotrzeć.

Szybko zaniósłam dziewczynkom jedzenie, które ku mojej uciechu zjadły ze smakiem. Wróciłam do kuchni pod pretekstem posprzątania. Rozejrzałam się ukradkiem na boki i wślizgnęłam do pokoju z kompem. Hurra! Napiszę do Wojtka maila, że żyję i wszystko jest w porządku. A może nie powinnam? Miałyśmy nie mieć kontaktu z rodziną. Ale przecież to nie będzie kontakt dwustronny, tylko informacja, że żyję – przekonywałam samą siebie.

Drżącymi rękami wpisałam adres strony internetowej swojej poczty. Internet działał tak, że zdążyłabym się wyspać i ogolić nogi. Szybko wklepałam login i hasło. „Błędne” – wyskoczyło mi powiadomienie. Co „błędne”? Przecież doskonale pamiętam, ty sztuczna inteligencjo! Spróbowałam ponownie. Dokładnie ta sama informacja. Jak to było: mój rok urodzenia, dzieci, męża? A może nie rok, tylko miesiąc? Albo imię psa lub kota? Kto by pamiętał takie bzdury?! Po kilkunastu próbach usłyszałam wołanie Baśki:

– Dżoana? Gdzie jesteś?

Z nerwów rosła mi się pacha. Wstałam szybko i wyszłam naprzeciw przyjaciółce.

– Sprzątałam w kuchni. Napijesz się może herbaty? – zapytałam z głupia frant, bo nie chciałam, żeby nakryła mnie na nieczym czynie. A przecież to ona była pomysłodawczynią tej durnej zabawy bez telefonów i kontaktu.

– Dlaczego tak dziwnie wypowiadasz słowo „wino”? – Baśka wlepiła wzrok w butelki z alkoholem. Spojrzałyśmy na siebie przebiegle. – Myślisz, że się kapną, jak weźmiemy ze dwie buteleczki? – zastanawiała się.

– Zawsze mogę powiedzieć, że dodałam do omleta.

– Tego, co zrobiłaś dzieciom? Chyba nie przejdzie.

W końcu znalazłyśmy dobrą wymówkę.

– Dobra, jakoś trzeba pomóc Mańce w cierpieniu – uznałam. Schowałyśmy po jednym winie pod swetry i cichcem wymknęłyśmy się z kuchni.

Vasile walczył jeszcze ze zmęczonymi dziewczynkami, które wcale nie chciały iść spać. Gdy zobaczyły Baškę, natychmiast ją obsiadły. Zafiksowały się właśnie na niej, a ona, choć nie była chętna do czyszczenia ich podwozia, to z przyjemnością weszła w rolę dobrej cioci. A ja całe życie personel pomocniczy – przynieś, podaj, nakarm.

Zostawiłam Baškę z bliźniaczkami i poszłam pokazać Mańce i Lucy naszą zdobycz.

– Mańka, może przyniesie to tobie i twojej prażynce ukojenie – powiedziałam.

– Dzięki. Zawsze można na ciebie liczyć.

– Dzisiaj już nic nie zrobimy, ale jutro musimy znaleźć lekarza – zadecydowała Lucy.

– A wiecie, co ostatnio odwaliałam? – przyznałam się. – Byłam umówiona do ginekologa. Oczywiście jak zwykle się spóźniłam. Wpadłam do pierwszego lepszego gabinetu jak burza. Siadam i mówię, że chciałam się przebadać i zrobić cytologię, a lekarz do mnie z uśmiechem: „Nie jestem ginekologiem, ale chętnie spojrzę”. Myślałam, że spalę się ze wstydu.

– Na mnie mógłby teraz spojrzeć ktokolwiek – jęczała Mańka.

Do pokoju weszła Baśka.

– Zasnęły – powiedziała z satysfakcją.

– Coraz bardziej mnie zaskakujesz – uśmiechnęłam się do niej.

– Dzieci są fajne, ale tylko na chwilę. Ta codzienna obróbka chyba by mnie wykończyła.

– Mnie na przykład bardziej niż bąbelki wykańcza moja matka – zasepiła się Mańka.

– Ale przecież masz ponad czterdzieści lat. Chyba już dawno odcięłaś pępowinę? – zapytała Baśka.

– Ja tak, ale moja matka nie. Dzwoni do mnie ostatnio i mówi: „Co tak długo nie odbierasz?”. Ja jej na to: „No przecież odebrałam po dwóch sygnałach”. A ona dalej: „No i co tam u ciebie? Co się nie odzywasz?”. Wy tłumaczyłam jej, że przecież dzwoniłam przedwczoraj, ale nie odebrała. Usłyszałam: „No właśnie to tak, jakbyś nie dzwoniła”. Każda rozmowa wygląda podobnie. I oczywiście gdera, że dzieci źle karmię. Ostatnio się dowaliła, że kładę na kanapce ser pod szynką. Albo będzie tak, jak ona chce, albo w ogóle – psioczyła Mańka.

– No i miała rację – powiedziała Lucy.

– Że po dwóch sygnałach za późno odebrałam?

– Nie, że najpierw szynka, a potem ser.

– Chyba oszalałaś! Najpierw ser. – Mańka broniła zaciekle swojej wersji.

– No co ty – obstawała przy swoim Lucy. Kłóciły się we dwie, bo reszty ten spór nie dotyczył: ja nie jem sera, a Baśka mięsa.

– Ale i tak fajnie, że macie się z kim kłócić – powiedziała refleksyjnie Baśka i dodała ze smutkiem: – Moja mama umarła, gdy miałam pięć lat. Wychowywał mnie ojczulek. Wspaniały z niego człowiek, ale co matka, to matka.

– Nawet jak mówi, że źle kładę szynkę? – burknęła pod nosem Mańka.

– Chyba tak. Nie zrozumie syty głodnego – stwierdziła Baśka.

– Ale napity spragnionego już tak. Dajcie to drugie wino, bo nawet szkło zaczęło się irytować – powiedziałam, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

– No to, drogie panie, za zdrowie sosny, z której będzie robiona nasza trumna. Oby rosła jak najdłużej – rzekła Baśka.

Gdy położyłyśmy się spać, Mańka się drapała, Lucy znów kopytkowała, a ja słyszałam dziwne pikanie. Czekałam jeszcze, aż Baśka zacznie gadać przez sen. Kobiety w tym wieku już chyba nie powinny same podróżować...

Rozdział 11

„Wojtek, weź tę rękę. Przecież ona waży więcej niż ja”. Tak właśnie wyglądało wspólne spanie. Kradzież kołdry, leżące na mnie bezwładnie jego części ciała i sukcesywne spychanie z łóżka. Taka gimnastyka i walka miały miejsce każdej nocy.

– Weź tę rękę, chłopie, bo nie mogę oddychać! – Otworzyłam oczy. Coś mi się nie zgadzało. Przede mną widniały plecy Mańki ubrane w peniuarową piżamkę. Jeśli to ona, to znaczy, że nie jestem we własnym łóżku. A skoro tak, to czyja owłosiona ręka trzyma mnie w objęciach?! Nie no, przecież wczoraj aż tak dużo nie wypiliśmy. Zaczęłam klepać Mańkę po plecach.

– Mańka! – Spała tak twardo, że mogłabym ją przebrać i nawet by się nie kapnęła. – Mańka, do cholery! – krzyknęłam.

– Co się drzesz, przecież słyszę – obruszyła się.

– Ktoś jest z nami w łóżku – powiedziałam przerażona.

– Asiunia, ja wiem, że ci Wojtka brakuje, ale po to mnie budzisz o szóstej nad ranem, żeby poopowiadać mi o swoich fantazjach?

– Możesz się odwrócić i zobaczyć, kto się do mnie przykleił? Jest tak ciasno, że nie mogę się ruszyć.

Mańka podjęła próbę przemieszczenia swojego ciała.

– Ożeż! – zareagowała.

– Mów szybko, bo nie ręczę za siebie!

– Wuj Teodor chyba szukał kogoś do trójkącika – parsknęła śmiechem.

Spojrzałam na jego owłosioną rękę. Nie byłam w stanie się od niej wyzwolić.

– Borze szumiący, co on tu robi? To jest ta ich rumuńska gościnność, że wchodzą sobie do łóżek niewinnych niewiast?

– Zaraz tam niewinnych, mógł chociaż zapukać, przepraszam: zapytać – naśmiewała się Mańka. Żarty jej się trzymały, bo to nie ona spała w objęciach kogoś, czyj rok urodzenia kończył się mniej więcej na czterdzieści cztery.

– Pomożesz mi zrzucić jego łapsko? – poprosiłam Mańkę. Jeszcze takiej przygody mi brakowało.

W końcu udało nam się wyzwolić z objęć wujka. Wyszliśmy z łóżka i usiadliśmy na podłodze. Wuj za to rozwalił się szeroko i dalej spał niewzruszony.

– Dlaczego ja mam takiego pecha? – rzuciłam. – Nie mógł chociaż przyjść do nas jakiś rumuński Romeo? Byłabym wtedy usprawiedliwiona, bo po pierwsze sam by przyszedł, a po drugie na wyjeździe się nie liczy.

– A ja znam wersję, że gol strzelony na wyjeździe liczy się podwójnie.

– Wiem, wiem, ale to na szczęście nie ten przypadek – przerwałam. Oparłam ręce i głowę na kolanach. Byłam nieprzytomna.

– Co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? – zapytała Mańka.

– Chcę do domu – jęknęłam, bo naprawdę miałam dość.

– Wiem, ptaszyno. To nie są wakacje z katalogu. – Nagle Mańka zaczęła się wiercić. Jej prądynka też chyba się obudziła. – Oesuu, zaczyna się!

Zrobiło mi się jej żal.

– Znaleźć lekarza to nasz dzisiejszy cel numer jeden – zarządziłam.

– To ja skoczę do toalety – wysapała Mańka i popędziła do łazienki.

W pokoju panowała cisza. Dziewczyny i wuj Teodor słodko spali. Wróciłam na łóżko, wcisnęłam się w kąt, żeby nie przeszkadzać wujowi, i przymknęłam na chwilę oko. Po chwili usłyszałam otwieranie drzwi do pokoju.

– Już wróciłaś? Szybko ci poszło poprawianie urody – powiedziałam, nie otwierając oczu.

– Teodor! – usłyszałam nagle męski głos.

Zerwałam się na równe nogi. To był Vasile. Był naprawdę zaskoczony, gdy zobaczył wuja ze mną w jednym łóżku.

– Co tu się dzieje? – zapytała Lucy, obudzona hałasami. – Joanno! – Spojrzała z dezaprobatą na łóżko.

– Przylazł do nas w nocy. Pewnie pomylił pokoje. Co miałyśmy zrobić? – tłumaczyłam się.

Vasile obudził wuja, który nie przejął się zbytnio tą sytuacją. Po chwili przybiegły dziewczynki, które postanowiły obudzić Baškę.

Poranne zawirowanie nie pozwoliło już nikomu zasnąć. Pomogłyśmy przygotować śniadanie. Mnie znowu przypadło w udziale przyrządzenie dziewczynkom omletu. Vasile skinął ręką na Baškę, co oznaczało nic innego jak zagonienie jej do roboty. Lucy za to dzisiaj zmywała. Aczkolwiek słowo „zmywała” w jej przypadku było chyba wielkim nadużyciem.

– Co robisz? – zapytałam, gdy zobaczyłam, jak wyrzuca garnek do śmietnika.

– Nie da się go domyc – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

– Serio? W domu też tak robisz?

– W domu domywa się w zmywarce. A jeśli nie, to nie ma się co męczyć z materia – rzekła z zupełną powagą. Pomyślałam sobie wtedy, że nie zaszkodzi chodzić z psem na spacer w okolice śmietnika Lucy. Inflacja wysoka, a trzeba sobie w życiu jakoś radzić.

Wyszłam na dwór w poszukiwaniu Vasilego. Okazało się, że wraz z Bašką karmił zwierzęta, wożąc w taczkach paszę. Ruszyłam za nimi do stodoły i zobaczyłam wpatrzone w niego oczy kóz i owiec. Znałam to spojrzenie, gdy dzieci chciały jechać do Maczka. Wtedy się okazywało, że potrafią być i miłe, i grzeczne – zupełnie jak nie moje.

– Vasile, *unde se află doctorul* – powiedziałam powoli, patrząc w rumuński słowniczek na końcu przewodnika.

Vasile powiedział coś po ichniemu, ale pomimo bystrości i wielu talentów nic nie zrozumiałam. Chyba po mojej minie tępej dzidy

się kapnął, że *nicht verstehen*. Wziął ode mnie przewodnik i pokazał mi na mapie, dokąd mamy się udać.

– *La trei kilometri*. – To akurat załapałam. Podziękowałam za pomoc. Baśka jeszcze dorzuciła trochę paszy i wróciłyśmy do dziewczyn.

– Dobra, wiem, gdzie znajdziemy lekarza – oznajmiłam zadowolona. – To jakieś trzy kilometry stąd, więc pójdziemy pieszo.

– Oesuu, to chyba wolę, żeby mnie swędziało – burknęła Mańka. – Albo nie, chodźmy. – Szybko zmieniła zdanie.

Był piękny październikowy dzień. Słońce oświetlało szczyty gór, do pewnej wysokości pokryte rudym jesiennym kolorem. Z daleka widać było pasące się kozy i owce.

– Gdyby nie te całe okoliczności, to tu jest naprawdę ładnie – stwierdziła Mańka, rozkoszując się widokami.

– Może i tak, ale co dalej, dziewczyny? Bardzo się martwię, co z mamą Mihaila – powiedziała Baśka.

– Pojutrze mamy samolot i nie wiem, jak wy, ale ja muszę nim polecieć – ogłosiłam z pełnym przekonaniem. – Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność. Mam obowiązki, pracę. Już dość tej farsy.

– Ja też nie zamierzam tu zostać ani chwili dłużej – zawtórowała mi Lucy.

– W wielu miejscach na świecie już byłam, ale w rumuńskim więzieniu nigdy – fantazjowała Baśka.

– Zawsze to jakieś nowe doświadczenie – uśmiechnęłam się do niej.

– Trzeba na to spojrzeć bardziej optymistycznie – pocieszała ją Mańka. – Mój kumpel ostatnio narozrabiał i wylądował w areszcie na dwa tygodnie.

– I? – dopytywała Baśka.

– Bardzo się cieszył, bo akurat po jego wyjściu miała dojść paczka z AliExpressu.

– Baśka, nie czekasz na nic przypadkiem? – zapytałam.

– Na rezonans głowy na NFZ, ale to za cztery miesiące – powiedziała zupełnie poważnie.

– No widzisz. Wszystko się świetnie układa. Akurat jak wyjdiesz, to zdążysz na wizytę – dworowała sobie Mańka. I chyba przyniosło skutek, bo Baśka zaczęła się śmiać.

Szłyśmy pod górę i zgodnie zaczęłyśmy sapać. Drzewa wyglądały tak samo, tylko pagórki wydawały się jakby coraz wyższe.

– Dobrze idziemy? – zapytała Lucy.

– Chyba tak. – Spojrzałam na mapę, szurając nogami.

– A co, damy nieprzyzwyczajone do długich spacerków? – zadrwiła Baśka. Jej jakoś najlepiej wychodził ten marsz. Na jej miejscu też bym teraz jak najwięcej chodziła. Na spacerniku sobie nie pohasa.

– Dziewczyny, ja już dłużej nie dam rady. Może i psiocha przestanie mnie swędzieć, ale za to nie będę mogła ruszać palcami u nóg – wystękała Mańka.

– A z czyjego powodu musimy tyle iść? – fuknęła Lucy. Stawiała każdy krok, podnosząc nogi wysoko jak czapla. Najwidoczniej bała się bliskiego spotkania z jakimś żywym organizmem.

– A z czyjego powodu przedzieramy się przez krzaki rumuńskie, a nie węgierskie? – odgryzła się Mańka.

Wszystkie byłyśmy już zmęczone i dlatego zaczynałyśmy się wkurzać.

– Nie denerwujcie się, bo złość piękności szkodzi. A wy nie macie specjalnie czym szafować – powiedziałam, uśmiechając się do nich złośliwie.

– Przyganiał kocioł garnkowi – rzuciła Mańka, puszczając do mnie oczko.

W oddali zaczęły się pojawiać niewielkie budynki. W pewnym momencie wyrosła przed nami ogromna willa. Jej wejścia pilnowały dwa ogromne kiczowate posągi lwów.

– Zobaczcie, jaka chata! – Baśka aż gwizdnęła.

– O matko! Kiedyś oglądałam program o najbogatszych Polakach i podobną miał producent prezerwatyw Pėkuś spod Grudziądza – przypomniało mi się, gdy wpatrywałam się w chawirę.

Patrzyłyśmy na majestatyczny budynek. Dom był zupełnie inny od tego, w którym obecnie mieszkałyśmy. Trawa była idealnie przystrzyżona, a każdy krzak wydawał się posadzony w przemyślany sposób. Nie było tu miejsca na przypadkowe przedmioty, które nie wpisywały się w atmosferę blichtru i splendoru.

– Tu jest wszystko tak perfekcyjne, że boję się koło tego płotu przechodzić, żeby nie zaburzyć aury boskości – szepnęła Mańka.

– Na pewno nie mają dzieci – stwierdziłam. – W przeciwnym razie te idealne krzaczki ściągane z zakątków świata, o których istnieniu nawet nam się nie śniło, byłyby już łysymi chabaziami, a trawa miałaby dziury od grania w piłkę.

Kiedyś poszłam w odwiedziny do bezdzietnej znajomej. Wchodzę do niej, a tam czysto jak w laboratorium. Bałam się, że mój nieświeży oddech osiadzie na jej firankach. „Przepraszam za ten bałagan” – powiedziała, gdy weszłam do salonu. Rozejrzałam się wokół i pomyślałam, że mam jakieś halucynacje – w końcu tyle na głowie – ale nie. „Kobieto, ty chyba nie wiesz, co to jest bałagan” – pomyślałam, gdy spojrzałam na jedną szklankę stojącą w zlewie.

– A mnie się tu podoba – rzuciła Lucy. Tak to w życiu jest: jeden lubi jeść pomarańcze, drugi, jak mu nogi śmierdzą.

– Podoba nie podoba, ale pewnie znalazłby się jakiś kącik dla każdej z nas na tych lichych dwustu metrach kwadratowych, żeby nie musiała dzielić łóżka z tobą i wujkiem Teodorem – zauważyła Mańka.

I tu trafiła w mój czuły punkt. Samotnie przespana noc w komfortowych warunkach – tego potrzebowałam najbardziej. Kiedyś można było przyłożyć głowę gdziekolwiek. Teraz jednak człowiek stał się bardziej wymagający.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi do domu i pojawił się w nich mężczyzna w średnim wieku, który ruszył w naszą stronę.

– On tu idzie – zaalarmowałam.

Szedł powolnym krokiem. Takim to się nigdy nie spieszy, no bo niby gdzie. Pewnie nie musi iść do żadnego sklepu, bo sklep przychodzi do niego. Mężczyzna należał do kategorii ludzi, którym brzuch robi za stolik. Miał tyle fałd tłuszczu, że gdybym wpadła pod jedną z nich, to nikt by mnie nie znalazł. Na jego szyi wisiała niezliczona ilość złotych łańcuchów. Facet wyglądał jak rumuński ojciec chrzestny.

– Może tutaj nie można stać? – powiedziała Lucy nerwowo.

– A jest jakaś informacja? – zapytała Baśka z przekąsem.

Mężczyzna ominął trzy ekskluzywne samochody, za które można by wyżywić niejedną wioskę w Afryce, i podszedł do płotu.

– Ja wiem, na pewno chce pożyczyć od nas pieniądze. Widać, że ledwo wiąże koniec z końcem – zażartowałam. – Zastanawiam się, czym sobie zasłużyliśmy, że wylazł ze swojej pieczary.

– Albo chce, żeby ktoś mu potrzyzymał biżuterię na szyi. Pomyślcie, ile to musi ważyć. Biedaczysko tak się męczy – stwierdziła Mańka.

To chyba nie był dobry moment, żeby wziąć nogi za pas, więc stałyśmy jak cztery słupy soli. Mężczyzna zmierzył nas wzrokiem i powiedział coś po rumuńsku, poruszając czarnym dorodnym wąsem.

– Niby o co on pyta? Bo chyba nie o pogodę? – dociekała Baśka.

– Biorąc pod uwagę jego odzienie jak z cyrku, chyba szuka krawca – odparła Mańka, mierząc wzrokiem przaśny dresik.

– To źle trafił. Mój jedyny związek z nitką to owijanie nią zrazów – rzuciłam.

– *Hello, do you know where is the doctor?* – zapytała ni stąd, ni zowąd Lucy.

– *Doctor?* – powtórzył Rumun.

Lucy kiwnęła głową. Mężczyzna wskazał nam ręką drogę. Podziękowałyśmy serdecznie i szybko się oddaliśmy.

– Uff, nie chciałam mu podpaść – powiedziała Baśka, oglądając się za siebie.

W końcu dotarliśmy do jakiegoś budynku, który nie wyglądał zbyt zachęcająco. Nic jednak w tym kraju już mnie nie dziwiło.

– Myślicie, że to tu? – zapytałam.

Drzwi były otwarte, więc postanowiłyśmy sprawdzić. W mikropomieszczeniu stały dwa zdezelowane krzesła, a na ścianie wisiały plakaty z lat siedemdziesiątych z rumuńskimi landszaftami i zwierzętami.

– No cóż, Medcover to to nie jest. – Przetarłam ręką siedzenie i szybko na nim usiadłam, bo jedyne, o czym marzyłam, to nie dotykać stopami podłoga. Lucy wykazała się daleko idącą brawurą, bo wytarła krzesło chusteczką i również na nie klapnęła. Dwa siedzenia, cztery baby – walka była nierówna, ale czy życie jest sprawiedliwe? Musiałam ją wygrać. Byłam tak zmęczona, że usiadłabym nawet na dzikim wierzchowcu.

– Mańka, ja nie wiem, ale chyba wolałabym drapać się do śmierci, niż dać się tutaj zbadać – powiedziała Baśka.

– Masz rację, idziemy stąd. – Mańka ruszyła do wyjścia.

– Chyba cię pogięło – uniosłam się i złapałam ją za rękę. – Szliśmy tutaj ponad trzy kilometry, żeby ci pomóc.

– No i takich infekcji nie można lekceważyć. Może być tylko gorzej – dorzuciła Lucy, szczęśliwa, że nie musi już stać.

Nagle otworzyły się drzwi do jakiegoś gabinetu. W progu stanął ogromny mężczyzna w zielonym fartuchu, którego czystość pozostawiała wiele do życzenia. Gdybym miała określić, jaki zawód wykonywał odziany w niego człowiek, z pewnością uznałabym, że to rzeźnik.

– Że tak powiem, spieprzam stąd. – Mańka nie chciała nas słuchać.

– *Hello, are you a doctor?* – Przejęłam stery.

– *Doctor!* – odpowiedział zadowolony, świecąc złotym zębem. Jaki kraj, taki lekarz, ale może ma dobre serce.

– Idź, bo teraz już głupio uciec – szepnęła Baśka.

Mańka przez chwilę się wahała, ale chyba nasze złowrogie spojrzenia sprawiły, że zdecydowała się wejść do jaskini lwa. Lekarz zaprosił ją

gestem do środka. Rozglądał się jeszcze za czymś, po czym zamknął drzwi. Może szukał współnika do obróbki tusz poubojowych.

Przyłożyłam ucho do drzwi.

– Cicho – wyszeptałam. – Może trzeba będzie ją ratować. – Niestety nic nie było słychać.

– Pewnie się dogadują na migi, stąd ta cisza – stwierdziła Lucy.

– Już widzę, jak mu tłumaczy swoją przypadłość – zachichotała Baśka, odstawiając teatrzyk okołoprażynkowy.

Po chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich purpurowa Mańka, a tuż za nią wyjrzał uśmiechnięty Hannibal Lecter.

– Mańka, żyjesz? – zapytałam, lekko przerażona.

Nic nie odpowiedziała. Wyszliśmy wszystkie przed budynek.

– No i co? – dopytywała Baśka. Ja sprawdzałam, czy liczba części ciała Mańki się zgadza.

– To był doktor! – krzyknęła w końcu Mańka.

– No to chyba dobrze? – zapytałam niepewnie.

– Tylko jakby weterynarii. To był we-te-ry-narz – przeliterowała.

– Jak to weterynarz? – zapytała zaskoczona Lucy.

– Tak to. Taki od piesków, kotków i innych koni.

– O matko z córką! Wszyscy mówili, że to doktor. A zresztą niezła świnka z ciebie – powiedziałam, powstrzymując śmiech.

– Może i doktor, tylko że w odrobinę inne psiochy patrzy! – Mańka zaczęła rechotać. Dobry humor udzielił się i nam. – Był taki miły. Najpierw rozglądał się, z czym przyszedłam. Nie widział obok żadnego sierściucha i trochę się zdziwił. Zaczęłam mówić po angielsku i pokazywać mu na migi, gdzie mam *disease*.

– No i pokazałaś mu, że twoja *disease* jest w pochwie? – Szczerze interesował mnie ten międzynarodowy dialog.

– Najpierw się zdziwiłam, że na środku tego podejrzanego gabinetu stoi duży stół. Chyba go przerobił z takiego domowego. Owszem, może na

koliberka to ja nie wyglądam, ale żeby zaraz świniowe korytko? – relacjonowała Mańka.

– I co wtedy zrobił pan doktor? – dopytywała Lucy.

– „Pan doktor” to zdecydowanie za duże słowo. Chyba się kapnął, że przyszedł tu ze swoją prążynką, bo zaczął mówić do mnie po rumuńsku i pokazywać konie, krówki i inne zwierzęta.

– Boszsz, a może jednak chciał cię zbadać? – Lucy była ewidentnie zmartwiona.

– Niech by tylko spróbował, tobym się zamachnęła na niego nóżką, a ona jest pokaźnych rozmiarów – odparowała Mańka.

– No tak, tylko problem dalej nie jest rozwiązany – zauważyłam.

– Pan weterynarz był tak miły, że zaproponował mi czopki... – wyjaśniła Mańka.

– Jeśli miałyby pomóc, to dlaczego nie – stwierdziłam.

– ...dla konia – dokończyła.

Zaczęłyśmy rechotać. Nagle z budynku wyszedł lekarz.

– *Wait!* – krzyknął, gdy nas zobaczył.

– No nie wiem, Mańka, ale on chyba jednak chce ci zaaplikować tę końską dawkę – powiedziała Baśka.

– *One minute, please* – powiedział do Mańki, po czym wszedł do samochodu i gdzieś pojechał.

– Rumunia to jednak stan umysłu – stwierdziłam i spojrzałam na dziewczyny.

Z zaciekawieniem i obawą wróciłyśmy do środka. Tym razem nie udało mi się usiąść. Swoje dupencje na krzesłach posadziły Mańka, no i oczywiście Lucy. Ta to się umie ustawić. Ja nawet jak w podstawówce na plastykę niosłam całą siatkę różnych piórek, bo pani kazała przynieść, to zostawałam bez niczego, bo każdy pożyczał i już nigdy nie oddał.

W pewnej chwili usłyszałyśmy, że pod budynek podjechał jakiś samochód. Myślałam, że to wrócił nasz szalony doktorek, ale nie. Była to

ekskluzywna limuzyna, której podwozie podświetlało się na kolorowo, a w środku pobrzmiwała głośna muzyka.

– Dziewczyny, patrzcie. – Szturchnęłam Baškę i wszystkie rzuciłyśmy się do okna. – Czy to nie jest ten Gonzo z willi?

Rzeczywiście. Facet wysiadł z torbą od Louisa Vuittona. W pewnej chwili wyciągnął z niej coś owłosionego.

– Jakie ma dobre serce. Przyszedł ze swoim chomiczkiem – powiedziała Baška.

– To jest pies maltipoo – obruszyła się Lucy.

– To coś troszkę większe od chomika nazywasz psem? – chciałam się upewnić.

– Tak, połączenie maltańczyka z pudlem – doprecyzowała Lucy. Na rasach psów, zwłaszcza celebryckich, znała się jak mało kto, i to by było tyle, co łączyło ją z tym gatunkiem ssaka.

– To trochę jak kurwy z osłem – rzuciła Mańka pod nosem.

– Co mówiłaś, bo nie dosłyszałam? – dopytywała Lucy.

– Nie, nic, to te drzewa na zewnątrz szumią – tłumaczyła się Mańka.

Rumuński wilk z Wall Street wszedł do budynku i postawił okołopsa na podłodze. Nie wykazywał on jednak dużej żywiołowości.

– Chyba przyszedł wymienić mu baterię – patrzyłam na zabawkę, której kończyła się właśnie energia.

Mężczyzna od razu nas poznał. Wyglądał na zaskoczonego naszym widokiem. Teraz to i my wiedziałyśmy, że pomyliłyśmy drogę do lekarza. Facet wszedł do gabinetu, ale nikogo nie zastał.

– *One minute* – powtórzyłam to, co dwadzieścia minut temu powiedział nam weterynarz.

– Jak moje dzieci, gdy mają umyć zęby przed spaniem. Niby już idą, *one minute*, a jednak cała wieczność – westchnęła Mańka.

– Dziewczyny, jak doktorek zaraz nie wróci, to spadamy, bo w zasadzie nawet nie wiemy, na co czekamy – zauważyła Baška, ale właśnie w tej

chwili mały ssak postanowił podnieść mikronogę i obsikać buciki Lucy od Manolo Blahnika czy innego wielkiego twórcy. Myślę, że był to jego sprzeciw wobec konsumpcyjnego stylu życia.

– O matko! Odejdź, a kysz! – zaklinała sierściucha, strząsając urynę z obuwia.

– No patrz, taki mały, a oszczać potrafi jak bernardyn. – Mańka nie mogła opanować śmiechu.

Mężczyzna szybko zabrał psa i przeprosił. Dla Lucy olanie blahnika było jednak sprawą najwyższej wagi, więc wstała i ostentacyjnie wyszła z lecznicy.

Na szczęście wrócił szalony weterynarz. Podszedł do Mańki i dał jej jakieś zawiniątko.

– *This is medicine for you* – oznajmił.

– *Thank you* – odparła zaskoczona.

– *Don't worry, this is for people* – dodał, bo widział jej niepewną minę.

– Dziewczyno, czy on pojechał do lekarza, do którego my nie dotarliśmy? – zapytała.

– Na to wygląda. Ale przeczytaj ulotkę, pewnie będzie po angielsku. Niby powiedział, że to dla ludzi, jednak ja tam już w nic nie uwierzę – powiedziałam.

Mańka doczytała, że rzeczywiście był to odpowiedni lek. Chociaż tyle udało się załatwić.

– Dziewczyno, dzisiaj jest środa, prawda? – zapytałam, bo myśli kłębiły mi się w głowie jak czarne chmury.

– Środa – dzień loda – zakpiła Mańka. Chyba bardzo musiała się cieszyć z tych tabletek.

– Samolot do Polski mamy w piątek. I to jest dla nas ostateczny termin, kiedy musimy znaleźć się na lotnisku w Bukareszcie – dokończyłam.

– A nawet z niego odlecieć – dodała Lucy.

– I najlepiej do Warszawy – doprecyzowała Mańka, bo miałyśmy problemy z trafianiem do celu.

– No dobra, a co z Mihailem i jego matką? – zapytała Baśka. – Nie wyobrażam sobie stąd wyjechać, nie wiedząc, czy wszystko okej.

– No wiesz, kto dokonał zamachu patelnią, ten zostaje – powiedziałam z uśmiechem. – A tak na poważnie: spróbujemy dzisiaj zapytać się starszych panów, czy coś wiedzą. Chyba mają tu jakieś telefony.

Wracałyśmy do domu zmarnowane. Nogi bolały mnie okrutnie.

– Pierdolę takie wczasy – przerwała ciszę Mańka.

– I tu się z tobą zgodzę – powiedziałam szczerze. – Powiem więcej: bardzo tęsknię za swoimi bąbelkami, nawet niech jęczą i pyskują.

Lucy się nie odzywała i to mnie martwiło. Tacy ludzie są najgorsi. Niby nic, zero emocji, spokojni jak tybetański mnich, a potem ni stąd, ni zowąd odgryzają ci grdykę podczas snu.

W pewnej chwili usłyszałam odgłos jadącego samochodu. Odwróciłam niespiesznie głowę, bo mój stan nie pozwalał, żeby zrobić to szybciej. W naszą stronę zmierzał rumuński Gonzo swoim luksusowym autem.

– Zatrzymujemy go! – obwieściła Baśka, nie pytając nikogo o zdanie. Nawet Lucy nie protestowała. Gdybym miała takie butki jak ona, to sprzedałabym się nawet diabłu, byleby nie musieć w nich dalej dymać. Baśka stanęła na drodze i zaczęła machać ręką. Mężczyzna się zatrzymał. Otworzył szybę i się uśmiechnął.

– *Could you give us a ride?* – zapytała. Dawno nie widziałam jej takiej zaangażowanej. Łatwo było zrozumieć, że potrzebujemy podwózki.

Gonzo wskazał ręką, żebyśmy wsiadły. Lucy usiadła z przodu, a my wszystkie z tyłu. W aucie z głośników leciała skoczna rumuńska muzyka. W środku było tak kolorowo, że nie wiedziałam, na czym skupić wzrok.

– Ja tam nie wiem, ale za dobrze mu chyba z oczu nie patrzy – powiedziałam, lustrując kierowcę w przednim lusterku.

– Ja też mam wrażenie, że nie pracuje na poczcie od ósmej do szesnastej – dodała Mańka.

– A potem idzie na wolontariat do ichniego PCK. – To była Baśka.

– I pod koniec dnia czyta książki nieletnim – dorzuciłam.

– Albo tworzy haiku – wtórowała mi Mańka.

– Dajcie spokój, dziewczyny. Pozory czasem myślą – wtrąciła Lucy poważnym tonem. Może dostrzegła coś, czego my nie widziałyśmy?

Samochód zatrzymał się przed samymi drzwiami domu Mihaila. Na dworze zjawił się Vasile.

– Nie wygląda na zachwyconego – stwierdziła Mańka.

– W sumie nie przypominam sobie, żeby pierwszego dnia witał nas tak gorąco jak reszta sąsiadów – dodałam.

Podziękowałyśmy za podwózkę i weszłyśmy do środka.

– *No good* – powiedział ojciec Mihaila, kręcąc głową.

– Mam wrażenie, że chyba nie pożyczają sobie szklanki mleka, jak im zabraknie – skwitowałam.

– *No good. Mafia!* – Vasile podniósł głos. Ostatnie słowo zdecydowanie zrobiło na nas wrażenie.

– Mówiłam, że nie pracuje na poczcie, a wy, że pozory myślą – fuknęła Mańka.

Zastanawiałam się, czy na tym wyjeździe przydarzy nam się coś normalnego jak kupienie bloku na technikę albo wytłumaczenie dziecku ułamków. Nawet stos maili w pracy był przy tym wszystkim pierdnięciem w mąkę.

Bliźniaczki wyraźnie ucieszyły się na nasz widok. Już się nawet przyzwyczyłyśmy do tych rumuńskich bąbelków. Przynajmniej nie pyskowały, a nawet jeśli, to i tak nic nie rozumiałyśmy.

Poszłam z Lucy do kuchni przygotować coś do jedzenia.

– Kochanie, dlaczego obierasz ziemniaki na kwadratowo? – zapytałam, patrząc, jak wrzuca do garnka kanciaste figury geometryczne.

– Co ty mówisz? – obruszyła się.

– Nie no, spoko, zjemy, ważne, że się starasz – uśmiechnęłam się.

– Pamiętam, jak babcia mnie tego uczyła. Byłam z nią najbliżej z całej rodziny – powiedziała zamyślona.

– Babcie to mają magiczną moc. Moja za to powtarzała, żeby nie kłaść nigdy szczotki do włosów na blacie w kuchni. I do dzisiaj pamiętam.

– Bardzo za nią tęsknię – oznajmiła Lucy.

– A nauczyła cię może jakichś skutecznych sposobów na zaparcia? Mam takie, że niedługo chyba będą za mną muchy latać.

– Ojej, to niedobrze. Sprawdzę, czy mam jakieś leki. – Lucy się przejęła. Uwielbiam ją za to. W razie potrzeby potrafi okazać szczerą empatię. W innym wcieleniu musiała być siostrą miłosierdzia.

Do kuchni wpadły zgrzane bliźniaczki, a tuż za nimi Baśka.

– Weźcie je, ja już nie mam siły. – Usiadła ciężko na krześle.

– No co ty! – uśmiechnęłam się, gdy małe zaczęły ciągnąć ją za włosy. W ogóle nie tęskniłam za czasami, kiedy moje dzieci były takimi pędrakami. Na samą myśl bolał mnie kręgosłup od ciągłego chodzenia w półskłonie.

– Chyba ciężko musi być Mihailowi wychowywać je samemu.

– Może dlatego mieszka tutaj.

– Przecież tu oprócz dzieci ma na głowie jeszcze starszych rodziców i wujka.

– A może już tylko ojca i wujka? – rzuciłam pod nosem.

– Nawet tak nie mów – obruszyła się Baśka.

Do kuchni wszedł Vasile.

– Zapytajmy go, może nam coś powie – szepnęła Baśka. Bawiło mnie jej zdenerwowanie.

Poprosiłam, żeby pobiegła po przewodnik. Stała przed Vasilem i zaczęła dukać:

– *Unde este Mihail and mama?*

– Jak się domyślam, pytasz, gdzie jest Mihail? – wtrąciłam.

– Tak.

– A nie ma tam, kiedy wróci? Dodaj jeszcze, że uprzejmię chcemy wypieprzać do domu.

– Nic więcej odpowiedniego nie znalazłam.

– Mihail? *Relax, no problem* – odpowiedział Vasile.

– Aha, czyli taka sytuacja. – Baśka zastanawiała się nad sensem jego odpowiedzi.

– Wyjścia są dwa. – Postanowiłam ją wesprzeć w procesie myślowym. – *Relax*, czyli wszystko jest w porządku, albo *relax* – matka już jest na tamtym świecie.

– Dzięki. Na ciebie zawsze można liczyć.

– Może te więzienia w Rumunii nie są aż tak rygorystyczne. – Puściłam do niej oczko.

Zjedliśmy późny obiad. Teodor włączył telewizor, a Vasile zaczął się krzątać, bo za chwilę miał iść zaganiać kozy i owce do obejścia. Dzisiaj towarzyszyła mu Mańka. Nie wiem, ile tych tabletek sobie upchała, ale była w wyjątkowo dobrym humorze.

Lucy dogorywała w pokoju, lecząc rany szarpane na stopach, bo zaliczyła chyba najdłuższy spacer w życiu. Ani blahnik, ani psia uryna nie przyniosły żadnej ulgi. Towarzyszyły jej bliźniaczki, które miały niewątpliwą przyjemność, mocząc nóżki w misce i robiąc powódź na podłodze.

Ja i Baśka poszłyśmy zagonić kury do kurnika.

– Wiesz co, muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam. – Oczywiście myślę, co tam u dzieci i Wojtka, ale jeszcze bardziej rozkminiam, co w pracy. Cały czas czuję niepokój, że coś się dzieje beze mnie.

– Rozumiem cię doskonale. Dlatego ja parę lat temu rzuciłam to wszystko. To wieczne szaleństwo na planach filmowych, miesiące wyjęte z życia. Jak ty dajesz radę z dziećmi, to ja nie wiem.

– Nie wiem, czy daję. Po prostu z mniejszymi, a ostatnio z większymi fakapami wszystko idzie do przodu, dzień za dniem. Wiesz, co ostatnio zrobiłam?

– Co?

– Kiedy wróciłam z roboty, na kuchni w garnku stało jakieś mięso z warzywami. Pomyślałam sobie: „Świetnie, mężu przygotował obiad” i podałam go dzieciom z radością. Jakież było moje zdziwienie, gdy Wojtek wrócił i powiedział, że to były podroby dla psa...

– Zjedli chociaż?

– Niestety niechętnie – roześmiałam się.

– No właśnie. A ja jestem sama, ale już się do tego przyzwyczałam. Pewnie niedługo znów gdzieś wybędę, więc nie ma sensu w nic się angażować.

Po chwili usłyszaliśmy dźwięk dzwoneczków. To Mańka i Vasile wracali ze zwierzętami.

– Taś, taś, taś – wołała przyjaciółka.

– Stara, to chyba nie ten gatunek – zauważyłam.

– Grunt, że się słuchają.

Przed zmierzchem zagoniliśmy zwierzęta do stodoły. To one dyktowały tutaj rytm życia.

– Patrz, Mańka. Jeszcze tylko wrzucić im coś do jedzenia i tyle.

– Nie trzeba również wycinać im szynki cyrklem, bo albo okrągła, albo żadna – zachnęła się przyjaciółka.

– Ani chodzić do nich wywiadówki – dodałam.

– Ale za to beczą.

– No to mamy wspólny mianownik z naszymi przyległościami – uśmiechnęłam się.

Zostawiłyśmy owce i kozy i wróciłyśmy do domu. Od razu dostrzegłam, że oczy wujka Teodora wesolutko błyszczą. Na stole królował ten sam zajzajer, którym uraczyli nas po przyjeździe. Wuj zachęcił, żebyśmy usiadły do stołu. Długo namawiać nie musiał.

– Zaczynam ich naprawdę lubić. I chyba nawet mogłabym tak żyć – powiedziała zadowolona Mańka.

– Ile ona już tego wypija? – zapytałam Baśki.

– Nie wiem, ale trunek szybko kopie.

Posiedziałyśmy jeszcze chwilę i udałyśmy się do naszego pokoju. Na łóżku leżała Lucy, a dziewczynki bawiły się jej kosmetykami.

– O makrelo wędzona, jak one wyglądają! – powiedziałam, gdy zobaczyłam małe upačkane po łokcie.

– Wiesz, czym skorupka za młodu nasiąknie... – zaczęła Mańka, patrząc na mnie ostentacyjnie.

– Tym na starość będą musiały wozić dodatkową walizkę z różnymi mazajami jak ty.

– Ale za to w lustro jest przyjemniej spojrzeć.

– À propos, kiedyś moja świętej pamięci kotka patrzyła na siebie w lustrze przez dwadzieścia sekund... – zaczęłam.

– I? – zapytała Lucy.

– ...i się porzygała.

– A myślałam, że to ja mam niską samoocenę – zadumała się Mańka.

– Dajcie spokój – prychnęła Baśka. – Mnie to jest zupełnie wszystko jedno, jak wyglądam.

– Widać – rzuciła Lucy.

– Co widać?

– Że masz nienachalny styl – dopowiedziała Mańka.

– Najważniejsze, że dobrze się czuję sama ze sobą. Kiedyś bardzo mi zależało, aby ludzie o mnie dobrze mówili. Teraz już mi przeszło – broniła się Baśka, próbując wycierać chusteczką bliźniaczki. Wyglądało to dość zabawnie, bo ewidentnie potrzebowały globalnego czyszczenia.

– Wiem, o czym mówisz. Też tak miałam. Dawno temu miałam chłopaka, w którym byłam obłędnie zakochana – zaczęłam opowiadać. – Wymyśliłam sobie wtedy, że schudnę, bo byłam trochę większych gabarytów.

– Najwięcej chyba z opuchlizny mózgu – szydziła Mańka.

Mimo to mówiłam dalej:

– Wyczytałam gdzieś, że świetne efekty daje posmarowanie się jakimś mazidłem, po czym trzeba owinać się folią. Zadzwoiłam po Mańkę, żeby mi pomogła, i położyłam sobie krem na nogi i brzuch.

– A potem zawinęłam ją w folię jak ciepłą szynkę – zachichotała Mańka.

– Tak mnie obwiązała, że prawie nie mogłam oddychać. – Spojrzałam na nią z wyrzutem.

– No było napisane, że trzeba ścisnąć – broniła się Mańka.

– Ścisnąć, ale nie udusić! – warknęłam. – I gdy już przybrałam wygląd warszawskiej syrenki, na bezdechu dotarłam na kanapę, gdzie Mańka pomogła mi się położyć, i wtedy zadzwonił domofonem mój ówczesny chłopak.

– No i co? – dopytywała Lucy.

– Nigdy nie widziałam, żeby syrenka tak szybko popieprzała. – Mańka już prawie płakała ze śmiechu. – Jak ona latała po domu w tej folii! Normalnie uciekający baleron!

– Mańka próbowała to ze mnie zdrzeć jak w najlepszym porno – opowiadałam.

– Szkoda, że nie nagralyście. Miałybyście milion odsłon na YouTube – stwierdziła Lucy.

– Asia po drodze się wywaliła i nabiła sobie guza – wspominała Mańka.

– W końcu wpadłyśmy na pomysł, że założę na to ubrania – ciągnęłam. – Usiadłam na kanapie i się z niej nie ruszałam, modląc się w duchu, żeby nie chciał herbaty albo czegoś, co wymagałoby ode mnie ruchu. Chyba wyczuł, że coś jest nie tak, bo dość szybko sobie poszedł.

– A był chociaż jakiś efekt? – zapytała Lucy.

– Tak, niedługo potem się rozstaliśmy. Kto by chciał zadawać się z syreną. – Zaczęłam się śmiać.

– A nie mówiłam! Trzeba czuć się dobrze dla siebie, a nie dla kogoś – triumfowała Baśka.

Spojrzałam na dziewczynki. Pora była już późna, a one siedziały na środku pokoju i bawiły się w drag queen. Zaczęły wyciągać nasze rzeczy z walizek i na siebie zakładać.

Nagle w naszym pokoju zjawił się Teodor.

– Chyba przyszedł po dzieci – stwierdziła Lucy.

Wujek był już w stanie wskazującym po wychyleniu sporej ilości rumuńskiej nalewki. Bez żadnych ceregieli zaczął pakować się do naszego łóżka.

– O, kochany, drugi raz na tę waszą gościnność nie damy się nabrać – powiedziała Mańka.

– Teodorku, tę noc spędzisz w swoim łozu. – Wzięłam wuja pod rękę i stanowczo ruszyłam do drzwi.

– On już chyba dziewczynek nie położy – zauważyła Baśka zrezygnowana.

– Mama – powiedziała do niej jedna z bliźniaczek.

– Słyszałaś?! – wypaliłam, przytrzymując wujaszka. Baśka nie powiedziała ani słowa, ale oczy jej się zaszklily.

– Chodź, położymy całą trójkę. – Kiwnęłam na nią głową. – Przynajmniej będziemy mieć pewność, że nie wrócą, albo chociaż nie tak szybko.

Wychodząc z pokoju, natrafiłyśmy na Vasilego. Był cały umorusany, jakby coś naprawiał. Na szczęście przejął od nas wuja, a my pomogłyśmy bliźniaczkom się umyć i przebrać, po czym dziadek zabrał je do siebie. W naszym pokoju Mańka i Lucy już spały.

– Baśka, nawet nie zdążyłyśmy przegadać, co robimy dalej. Skoro jest *relax*, jak mówi Vasile, to może trzeba już szukać jakiejś drogi ewakuacji, a nie czekać, aż wrócą?

– Nie myśl już dzisiaj o tym. Może jutrzejszy dzień przyniesie jakieś rozwiązanie – mędrkowała.

„Chyba mojego buta” – pomyślałam sobie, bo nie lubię takiej gadki. I myśl o obuwiu spowodowała, że zapadłam w głęboki sen.

Rozdział 12

Tego ranka nie obudziły mnie ani bliźniaczki, ani wuj, tylko mój osobisty pęcherz. Przebrzydły organ nakazywał, abym wstała z ciepłego łóżka i grzejącej mnie obok Mańki. Już się nawet do tego chrapania przyzwyczaiłam. Biłam się jeszcze z myślą, czy wstać, ale wizja mokrego prześcieradła szybko postawiła mnie na nogi. Wstałam po cichutku, z szacunkiem dla snu moich współlokatorek. Otworzyłam drzwi do pokoju i poszłam do toalety.

W domu panowała cisza. Jeszcze nie zdążyłam dojść do łazienki, a już włączył mi się system codziennych natręctw. Co, gdzie, z kim i kiedy do domu! Jednak otwarcie klapy sedesu sprawiło, że narodziło się kolejne pytanie. Jak mam zrobić siku, skoro jakiś omnibus męskiego gatunku wrzucił do muszli pampersy i ją zapchał?! Ludzie często się mnie pytają, dlaczego nie piję kawy. Otóż dlatego, że kobiety po pobudce mają już tak podniesione ciśnienie, że nic im więcej do życia nie potrzeba!

Nie pozostało mi nic innego, jak udać się do latryny na zewnątrz. Prawdziwe *all inclusive* nam się trafiło. Gdy otworzyłam drzwi do domu, poczułam mocny chłód.

Podeszłam do sprawy bardzo profesjonalnie i szybko obróciłam. Zadowolona, że mogę iść dalej spać, weszłam do środka i nagle usłyszałam piszczenie psów. Musiały mnie zauważyć, jak biegłam przez knieje w piżamce z żyrafą. O nie, moje drogie. To nie czas na zabawę, a ta żyrafa nie jest prawdziwa! Sierściuchy jednak nie odpuszczały i zaczęły szczekać. Zaraz pobudzą wszystkich i zaczną się kołowrotek. Wkurzona otworzyłam drzwi, gdy nagle pod moimi nogami wylądowało coś białego.

– O wy, czorty rumuńskie! Kurę przyniosłyście? Dziękuję, ale jajka już mamy. Proszę ją w tej chwili odnieść! – wydawałam polecenia czworonogom. Ale zaraz, zaraz. Coś mi nie pasowało. Schyliłam się, żeby przyjrzeć się z bliska temu czemuś.

– O kurwa! – wrzasnęłam tak, że aż psy się wystraszyły. Klęknęłam i zbliżyłam twarz do biało-brązowej nieruchomej kulki.

– Przecież to jest okołochomik maltipoo tego mafijnego Gonza! – gadałam sama do siebie. Ręce mi się trzęsły i nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić. Zazwyczaj kurierzy przywożą mi troszkę innego rodzaju przesyłki! Wzięłam delikatnie psa na ręce i na paluszkach poszłam do naszego pokoju.

– Dziewczyny! – chrząknęłam, ale nie na tyle głośno, żeby któraś się obudziła. – Mańka! – Zaczęłam ją szarpać. Niestety najlepsze przyjaciółki są zawsze pierwsze na linii frontu.

– Weź ty się uspokój, kobieto – zachnęła się.

– To zobacz, co tu leży!

– Znów wuj Teodor? Już nie robi to na mnie wrażenia.

– Żaden wuj. Chyba mamy trupa!

Na te słowa głowy podniosły też pozostałe niewiasty.

– Matka Mihaila nie żyje?! – panikowała Baśka. – Wiedziałam, miałam dzisiaj zły sen. Śniły mi się wypadające zęby.

– Tobie zaraz wypadną, jak się nie zamkniesz. Patrzcie tutaj! – Wskazałam leżące pośrodku dywanu zwierzę.

– O, to ten maltipoo, co mi buty obsikał – stwierdziła Lucy.

Kobiety to jednak potrafią być pamiętliwe. Doskonale zachowują w pamięci, jak mąż spojrział piętnaście lat temu na obcą babkę na plaży.

– A co on tu robi? – zapytała z przerażeniem Baśka.

– Na mój gust nie żyje – powiedziałam wystraszona.

– Jak nie żyje? Może tylko mocno śpi – zatrwożyła się Mańka.

– To nie stary niedźwiedź, żeby mocno spał. Też brałam pod uwagę, że wyczerpały mu się baterie, ale nie widzę miejsca, gdzie można byłoby je wymienić.

– A może jakaś reanimacja? – zapytała Lucy.

– Nie mam pojęcia, czy psom się robi – zawahała się Baśka.

Wszystkie cztery w ciszy patrzyłyśmy na zwierzę.

– Jak on się tu znalazł? – zapytała Mańka.

– Poszłam siku do latryny na zewnątrz, bo nasza jest zapchana.

– A musiałaś sikać? – Mańka spojrzała na mnie wymownie.

– Nie, postanowiłam, że posiedzę sobie w sławojce, bo lubię tak spędzać czas w rumuńskim kiblu. I gdy wracałam, psy rzuciły mi to pod nogi. Zaraz, zaraz, dziewczyny – powiedziałam nagle.

– Co? – zapytała Baśka.

– Która miała wczoraj zamknąć psy na noc, bo zapowiadali burzę? – zapytałam.

– Myślałam, że ty – powiedziała Lucy.

– A ja, że Mańka.

– Ja? Nie. Może Baśka? – zarzekała się Mańka.

– Ja też nie!

– No to zajebicie! – stwierdziłam.

– Dziewczyny, czy to oznacza, że one go... no ten – zająknęła się Lucy.

– Nie wiem, ale one chyba go... no, *kill him* – powiedziałam w końcu.

– Ja pierdziu. I co my teraz zrobimy? – zapytała Mańka.

– Wypchamy watą i postawimy na kominku! – syknęłam.

Nastała cisza, co oznaczało, że wszystkim parowały mózgi.

– Może trzeba oddać zwłoki Vasilemu. W końcu to nie nasze psy pozbawiły życia biednego psiaka. – Lucy szukała rozwiązania.

– Może i jego psy, ale nasza głupota – powiedziałam zła.

– Słuchajcie, wiem, że może to nie pora, ale mamy tu jeszcze gdzieś jakąś buteleczkę? Na trzeźwo tego nie zniesę – powiedziała Baśka.

– Na takie okoliczności każda pora jest dobra – poparłam ją. Mańka otworzyła trunek.

Po pewnym czasie nasze myśli się rozjaśniły.

– Dobra, to może wyprawimy mu pogrzeb? – zaproponowałam.

– A w jakim obrzędku? – zapytała Mańka z głupia frant, czym bardzo mnie rozbawiła.

– W jakimkolwiek. Byleby pozbyć się dowodów zbrodni – powiedziałam tajemniczo.

– A która to zrobi? Weźmie łopatę i wykopie dół? – zastanawiała się Baśka.

– Ja przyniosłam zwłoki, wystarczy – broniłam się. – Zresztą u mnie w domu to zawsze tata robił.

– Na mnie też nie liczcie – zastrzegła Mańka.

– I teraz powiedzmy sobie szczerze: przydałby się facet z jajami. On by nie miał żadnych dylematów – zauważyła Baśka.

Byłyśmy w punkcie wyjścia. Tymczasem odgłosy za drzwiami sugerowały, że domownicy się obudzili.

– Mam wrażenie, że nie mamy zbyt dużo czasu na rozmyślanie. – Mańka zaczęła się nerwowo kręcić.

– Nie codziennie pada mi coś nieżywego pod nogi – stwierdziłam.

– A może by tak zanieść go z powrotem jakby nigdy nic? – zaproponowała Baśka.

– To znaczy? – zapytałam.

– Stworzymy grę pozorów – zaproponowała. – Włożymy go do tej jego wypasionej budy, co stała w ogrodzie. Widziałyście ją? Wyglądała jak miniatuurka domu właściciela. Okienka, lampeczki. Chuj wie, co tam jeszcze jest wewnątrz i co by potencjalnie mogło się wydarzyć.

– Że niby kąpał się w wannie i suszarka wpadła mu do wody? – kpiłam.

– Odłożymy go tam po prostu. Nikt się nie kapnie – przekonywała Baśka.
– Ale przecież on wygląda jak psu z gardła wyjęty. – Lucy spojrzała na wymemłaną kulkę.

– Serio?! To go wykąpiemy – powiedziałam pewnie, bo ten pomysł, choć absurdalny, wydawał mi się jakimś rozwiązaniem.

– Oesuuu. – Lucy załamała rękę.

– Dziewczyny, nigdy nie miałyście psów? – zapytała Baśka.

– Albo chomików? – dodałam.

– Ja nie – rzuciła Mańka szybko, jakby miało to ją zwolnić z uczestniczenia w naszym niecnym planie.

– Ja miałam, ale zazwyczaj żyjące – zawahała się Lucy.

– Ze śmiercią trzeba się oswajać. Już nam bliżej niż dalej – stwierdziła Baśka.

– Chyba tobie – burknęłam. Owszem, miałam momenty, gdy myślałam, że padnę trupem, ale jednak nie tak, żeby się z nią oswajać. Usłyszałam tupot małych nóżek.

– Chyba nadchodzą bliźniaczki – ostrzegłam.

– Trzeba go schować – syknęła Lucy.

Wesołe dziewczynki o niespożytej energii wpadły jak wicher do pokoju.

– Dzisiaj pobawimy się gdzie indziej – odezwała się do nich po polsku Baśka, wzięła je za ręce i wyszła.

– Wpatrywałam się w zwłoki z nadzieją, że może jednak wydadzą jakieś tchnienie.

– Co robimy? – zapytała Mańka.

Żebym ja to wiedziała.

– Musimy go gdzieś ukryć. – Rozejrzałam się po pokoju. – Lucy, on zmieściłby się w twojej torebce – błysnęłam.

– O nie, nie, nie będę nosiła zwłok – postawiła się.

– Najlepszy byłby karton. Nie ma tu żadnego? – Rozejrzałam się, ale nic nie zwróciło mojej uwagi.

– Dobra, na razie włożymy go pod łóżko. Pójdziemy coś zjeść, pokręcimy się i zobaczymy, czy znajdziemy w domu jakieś pudełko – zdecydowałam.

– Pod łóżko? – wymamrotała Lucy.

– No przecież nie ucieknie! – zapewniłam ją. Nie zastanawiając się zbyt długo, wzięłam włochatą kulkę i wsunęłam ją w ustalone miejsce, po czym szybko wyszliśmy z pokoju.

W domu życie toczyło się swoim torem. Baśka zabawiała bliźniaczki, a wuj Teodor oglądał telewizję tak głośno, że słycać ją było zapewne w innej wiosce.

– Pójdę do Vasilego dla niepoznaki – oznajmiła Mańka. – O tej porze jest przy zwierzętach.

– To my musimy zrobić śniadanie – powiedziałam do Lucy. – Dziewczynki zaraz będą głodne. – Choć ciałem byliśmy w kuchni, to myślami zupełnie gdzie indziej. – Wszystko będzie dobrze. Zjemy spokojnie, pomożemy ogarnąć obejście i spróbujemy wykąpać psa, tak żeby nikt nie widział – przedstawiłam plan przyjaciółce. Jej mina wyrażała dezaprobatę. – Obsikał ci blahnika – przypomniałam.

– No tak – przyznała, ale chyba niewiele to pomogło.

Do domu wróciła Mańka z Vasilem.

Wydarzenia poranka odebrały nam apetyt, ale przynajmniej dziewczynki jadły ze smakiem.

– Psst – rzuciła konspiracyjnie Baśka. W ręku trzymała jakiś karton o nieznanym pochodzeniu. – Znalazłam w pokoju dziewczynek, może być?

– Idealny! – ucieszyłam się.

Baśka poszła do bliźniaczek, a my wróciliśmy do pokoju i przełożyliśmy psa do pudełka.

– No – powiedziałam zadowolona.

– I co teraz? – zapytała Mańka.

– Trzeba go doprowadzić do stanu używalności – zdecydowałam.

– Ale że co, mufkę z niego planujesz zrobić? – kpiła.

- Musimy go trochę podszykować – oceniłam z niewzruszoną miną.
 - A czy to jest konieczne? – Lucy była lekko przerażona.
 - Widziałaś, jak on wyglądał w oryginale? Obstawiam, że miał lepsze kosmetyki niż my wszystkie razem wzięte – powiedziałam.
- Po chwili do pokoju weszła Baśka.
- I jak?
 - Obiekt gotowy do odnowy biologicznej – oznajmiłam.
 - Dobra, zaczynamy. – Baśka potarła czoło. – Musimy oczyścić teren, żeby nikt niczego nie zauważył. Dziewczynki się wybiegały, więc pewnie niedługo będą miały drzemkę. Vasile jest w stodole, a wuj Teodor ogląda telewizję.
 - To ja będę pilnować Teodora, żeby oglądał ją jak najdłużej – powiedziała Mańka.
 - A ja dziewczynek – zaklepała Lucy.
 - Więc to ja i Baśka mamy wykonać brudną robotę? – zachnęłam się, patrząc na Mańkę.
 - W zasadzie to czystą. – Mańka chciała podnieść mnie na duchu.
 - A dlaczego ze mną? – jęknęła Baśka.
 - Bo nie ma opcji, żebym sama to zrobiła! – zaprotestowałam. – Naprawdę żałuję, że poszłam rano do wychodka i na mnie trafiło!
 - No dobra – odburknęła Baśka.
 - Ja chcę do domu – kwiliła Mańka.
 - O, i tego musimy się trzymać – powiedziałam. – Dzisiaj załatwimy tę sprawę, a jutro wieczorem mamy wylot do Polski.
 - Skąd u ciebie nagle ten optymizm, że wszystko się uda?
 - Bo, jak widać, w życiu niczego nie można zaplanować. Więc może chociaż coś wyjdzie spontanicznie.
- W najśmielszych snach nie przypuszczałyśmy, że trafią nam się takie przygody. To miał być po prostu babski wyjazd z dala od kłopotów rodzinnych. Z dala to może i jest, ale za to z innymi niespodziankami.

– To co, idziemy? – szepnęła Baśka konspiracyjnie.

– Chyba nie mamy wyjścia – westchnęła Mańka.

Wzięłam karton do ręki i wyruszyliśmy na niebezpieczną misję. Czułam się dziwnie. W zasadzie nie wiem dlaczego, przecież miałam w domu rodzinnym chomiki i one też kończyły swój żywot.

– Asiunia, czy ty to widzisz? – zapytała Mańka. Przy stole siedziało parę osób i głośno rozmawiało.

– O masz, to ci sami sąsiedzi, co nas tak wylewnie przywitani.

Nie trzeba było długo czekać, aż towarzystwo rzuciło nam się na szyję.

– *Buna, buna* – wołali z entuzjazmem i ciągnęli nas do stołu.

– *Buna* – odpowiedziałam. – No i chuj w bombki z naszym planem – powiedziałam do dziewczyn.

Zrobiło mi się gorąco, bo to w moich rękach znajdowały się zwłoki. Przypomniałam sobie, że jest czwartek. Jakim cudem w środku tygodnia oni wszyscy mają czas na sąsiedzkie schadzki, i to jeszcze w ciągu dnia? Ja na spotkanie towarzyskie umawiam się kilka tygodni wcześniej i zazwyczaj się nie udaje, bo akurat któryś bąbelek jest wtedy zasmarkany po pachy.

– Chyba musimy usiąść z nimi na chwilę dla niepoznaki. – Lucy uśmiechała się szeroko.

Rzeczywiście nie dało im się odmówić. Usiadliśmy więc do stołu, który uginał się od jedzenia. Można było odnieść wrażenie, że sąsiedzi nie wierzyli w nasze zdolności kulinarne i przyszli sprawdzić, czy nie otrułyśmy członków rodziny Mihaila. Panowie opowiadali coś z entuzjazmem, wskazując jedzenie.

– Chyba sami to przygotowali albo najpewniej ich żony – powiedziała po cichu Baśka.

Goście serdecznie zachęcali nas do konsumpcji.

– Mańka, zjedz chociaż mięsko – zażartowałam.

– Oesuuuuuu, przestań. Całe życie to słyszałam. Może dlatego w kontrze polubiłam ziemniaki. – Wzdrygnęła się, spoglądając na nasz pakunek. Ja

poczułam, że z nerwów ściska mnie w żołądku. Zaczęłam trochę przebierać nogami.

– Lucy, muszę iść do toalety. Pilnuj kartonu! – upomniałam ją, bo siedziała najbliżej mnie, i wybiegłam. Miałam ochotę już nie wracać. Może nikt się nie kapnie, że mnie nie ma. Co za cyrk! Przysięgam na mały paluszek, jak to mówią dzieci, że już nigdy nie dam się namówić na żaden babski wyjazd!

Ktoś zaczął pukać do łazienki. Wróciłam do stołu i nagle zauważyłam, że po naszym pakunku ani śladu!

– Lucy! Gdzie jest karton? – warknęłam.

– No był tu jeszcze przed chwilą... – Lucy zaczęła wiercić się na krześle. – Poszłam tylko na chwilę do kuchni.

– Jakiej kuchni? Miałas go pilnować!

– No zapomniałam. Posłuchaj, jak oni krzyczą. Zaczęli znów polewać ten swój specyfik. To nie na moje nerwy – powiedziała zupełnie szczerze.

– Dziewczyny, nie ma kartonu! – krzyknęłam do Mańki i Baśki, które siedziały po przeciwnej stronie stołu. W pokoju panował harmider.

– Jak to nie ma, a gdzie jest? – przekrzykiwała wszystkich Mańka.

– W dupie! – rzuciłam ze złością. – To ja się pytam, gdzie jest, bo byłam w toalecie i zostawiłam go Lucy.

– To ją zapytaj.

– Serio, namiastko Rutkowskiego?! Ona nie wie, bo w kuchni była, dlatego was pytam! Co tu się wydarzyło? Przecież się nie rozpląnął i raczej nie uciekł!

W końcu dotarło do dziewczyn, że go zgubiłyśmy.

– Zaraz, zaraz. Siedzieliśmy wszyscy przy stole, nikt nie wyszedł, tylko Lucy do kuchni – zastanawiała się Baśka.

– Wiem! Przecież dziewczynki się obudziły! – przypomniała sobie Mańka.

Zapadła cisza. Spojrzałyśmy po sobie.

– Baśka, idziesz ze mną. Powoli, jakby nigdy nic, wstaniemy od stołu. Wy zostajecie – rozkazałam bezceremonialnie.

Najpierw poszliśmy do swojego pokoju, ale bliźniaczek tam nie było. Potem ruszyliśmy do sypialni dziewczynek i naszym oczom ukazał się niespodziewany widok.

– Baśka, patrz! – Jedna z córeczek Mihaila właśnie wyciągała okołochomika z pudełka. Z przerażeniem patrzyłam, jak psiak ląduje w jej ramionach.

– Oesuuu! – jęknęła Baśka. – To my wpadliśmy na ten cholerny pomysł, żeby włożyć go do pudełka po lalce?!

– Pomysł był dobry, tylko jakby nieprzemyślany! – rzuciłam.

Podeszliśmy do dziewczynek.

– Daj, kochanie, on nie jest do zabawy – mówiłam powoli jak do terrorysty, wyciągając ręce. Wydawało mi się, że jako matka posiadałam już wszystkie możliwe umiejętności zajmowania się rzeczami dziwnymi. Połknięte monety, wkładanie garnków na głowę, wpychanie paluchów tam, gdzie nikt normalny by nie włożył – oto wachlarz rodzicielskich wyzwzań. Niestety moja błagalno-żebrząca mina nie zrobiła wrażenia na małej. W pewnej chwili usłyszałam jakieś piszczenie.

– Makrelo wędzona. Baśka, on jednak żyje!

– Sorry, to ja, tyłkiem nacisnęłam na kaczuszkę. – Wskazała gumową zabawkę.

– Chcesz, żebym dostała zawału?!

Bliźniaczka mocno tuliła okołopsa. Wyraźnie jej się spodobał.

– Przynajmniej już go nie udusi – stwierdziła Baśka.

Tu akurat miała rację.

– No oddaj ładnie. Piesek śpi – cedziłam przez zęby, próbując uwolnić okołochomika nieco brutalniejszymi metodami.

Po nieudanej próbie odbicia sierściucha dowodzenie przejęła Baśka. Niestety i te negocjacje skończyły się fiaskiem, a każda próba odebrania nowej zabawki skutkowałą płaczem.

– No i co teraz? – zapytała Baśka, ścigając bliźniaczkę na czworakach.

– Zaczekaj, myślę – odparłam. – Już wiem: trzeba znaleźć coś atrakcyjnego, żeby zrobić podmiankę. Dzieci uwielbiają się w czymś paćkać.

– Mam przynieść krowi placek? Widziałam po drodze.

– Byłoby najlepiej, ale za daleko – uznałam.

– To może pieluchy są pełne? – zaryzykowała Baśka.

– No teraz już grubo poleciałaś.

– Jak dobrze, że nie mam dzieci! – skwitowała.

Ja nie mogłam tego o sobie powiedzieć. Aczkolwiek miałam jeszcze szansę się uratować, bo moje pędraki są ładne, a ponoć takie są szybciej adoptowane.

Nagle bliźniaczka odłożyła psa na bok.

– Patrz, cud jakiś! – krzyknęła Baśka i włożyła psa z powrotem do pudełka.

– Dobra dziewczynka. A teraz oddaj ładnie kartonik – powiedziałam, biorąc go do ręki. Rozległ się krzyk, ale już na to nie zważałam. Dzień jak co dzień. Wyrwałam pudełko z barbarzyńskich rąk i popędziłam do wyjścia.

Lucy i Mańka nadal siedziały przy stole z gośćmi. Ruszyłam do naszego pokoju, dając znak dziewczynom, żeby poszły ze mną.

– Obiekt odbity z rąk porywaczy – oznajmiłam. – Jak sytuacja?

– Chujowo, ale stabilnie – powiedziała Mańka. – Jeszcze siedzą, ale jeden już dwa razy podnosił się do wyjścia.

– Dobra, to teraz ustalamy dyżury przy kartonie. Lucy, ty pierwsza. Siedzisz tu i się nie ruszasz, okej? – zarządziłam.

– A za ile wróćcie?

– Będziemy się zmieniać co pół godziny.

– Aż tyle?

– A co, przecież cię nie pogryzie.

– No ale ja czuję, że on tu jest.

– Jakoś się dogadacie. A my, Mańka, może zaczniemy trochę sprzątać ze stołu?

– O, moja matka tak robiła. Gdy chciała, żeby goście sobie poszli, ostentacyjnie zbierała naczynia i otwierała okno – uśmiechnęła się Mańka.

– Prawdziwa dusza towarzystwa.

– Musicie mówić w tej chwili o duszy? – zapytała Lucy lekko przestraszona.

Krzątanie się wokół stołu rzeczywiście podziało, bo goście zaczęli się zbierać. Dziewczynki poszły z dziadkiem na spacer, a Teodor, ululany nalewką, usnął. Miałyśmy niepowtarzalną okazję, aby doprowadzić okołochomika do porządku.

Z prędkością światła wpadłyśmy z Bašką do łazienki. Po dokonaniu czynności czyszczących włożyłyśmy go z powrotem do pudełka.

– No dobra, bielszy nie będzie – uznałam.

– Nie wiem, co na to Chajzer – parsknęła śmiechem Baśka. Absurdalne sytuacje wymagały poczucia humoru, i to czarnego.

Dosłownie i w przenośni nadciągały ciemne chmury. Na tych wszystkich atrakcjach zeszło nam trochę, więc zaczęłyśmy przygotowywać się do wyjścia.

– Lucy, tym razem nie idziesz w tych swoich wyfiokowanych butach. Masz włożyć jakieś inne – powiedziałam, zerkając, co ma na nogach.

– Ale ja nie mam innych.

– W takim razie pożyczę ci swoje. Mam rozmiar trzydzieści siedem.

– Będą za małe.

– A wy, dziewczyny, przypomnijcie, jakie nosicie? – zapytałam Baškę i Mańkę. Okazało się, że tamte z kolei mają za duże.

– Lucy, trudno, wypchasz sobie czubki watą – zadecydowałam.

– Słucham?

– No tak, włóż sobie coś do środka. Tak się kiedyś robiło – wtrąciła Baśka.

– Ja na przykład wypychałam sobie kiedyś watę stanik, żeby mieć tam więcej – przypomniało mi się.

– Do dzisiaj by ci się przydało – zadrwiła Mańka.

– A tobie za to podwójny namiocik – nie pozostałam jej dłużna.

Lucy z niechęcią się zgodziła i włożyła sobie bandażę do butów Mańki. Nawet i ona w trudnych momentach próbowała przystosować się do rzeczywistości. Co z tego, że potem będzie musiała chodzić na terapię.

Ten nasz wspólny nagły zryw mógł się wydać dziwny, więc powiedziałyśmy Vasilemu, trochę na migi, trochę za pomocą rozmówek z przewodnika, że idziemy na spacer.

Wzięłam do ręki karton i wyszłyśmy z domu.

Drogę znałyśmy już dobrze, ale niestety wcale nie chciała być krótsza.

– Daleko jeszcze? – pytała co chwilę Mańka.

– Tyle samo co wczoraj w tym samym miejscu – odpowiadałam.

– Uwielbiam tę twoją precyzję – uśmiechnęła się.

Szłyśmy w ciszy. No, prawie – do czasu, aż któraś się odezwała.

– Dziewczyny, jest coś, czego próbowałyście ostatnio pierwszy raz w życiu? – zapytała refleksyjnie Lucy.

– Gin z tonikiem. Liczy się? – Puściłam oczko do Baśki.

– Na poważnie pytam – obruszyła się Lucy.

– Ja próbuję po raz pierwszy w życiu nie przejmować się gadaniem matki – powiedziała Mańka.

– Tak cię to dręczy? Będziemy takie same na starość dla naszych dzieci. Też każda palma będzie miała sucho – stwierdziłam.

– Całe życie słuchałam, że robię coś źle, i zawsze chciałam, żeby była ze mnie zadowolona. A teraz już wiem, że jej się nie da zadowolić, i po prostu mam to gdzieś – wyjaśniła Mańka.

– A ty, Joanna? – zapytała Lucy. Uuuu, samo „Joanna” zabrzmiało poważnie.

– Ja po raz pierwszy w życiu wykąpałam zwłoki. – Chciałam trochę rozluźnić atmosferę.

– Przestań – wzdrygnęła się.

– A oprócz tego zawsze sobie obiecuję, że wreszcie przestanę wszystko planować i ciągle coś sobie narzucać, żeby udowodnić, że dam radę. Ale niestety nie wychodzi.

– A ja ostatnio po raz pierwszy posiedziałam trochę dłużej w domu – przyznała Baśka.

– I jak? Fajnie jest tak nigdzie nie uciekać? – zapytała Mańka.

– Przecież nigdzie nie uciekam. To mój wybór – obruszyła się Baśka. – Chyba – dodała zamyślona.

Ból nóg sygnalizował, że już niedługo będziemy na miejscu. Intuicja mnie nie myliła – w oddali zobaczyłyśmy znajomą smugę światła. Poczułam nerwowe klucie w brzuchu. Na dworze zaczęło zmierzchać, czyli idealnie, abyśmy mogły zrealizować nasz niecny plan pod osłoną nocy. Podeszłyśmy pod dom i stanęłyśmy przy furtce.

– Co teraz? – zapytałam.

– Ktoś tam musi wejść i odłożyć pieska na miejsce – powiedziała Mańka.

– Dokładnie. Kto idzie?

Nastała cisza, zmałona jedynie powiewem rumuńskiego październikowego wiatru.

– Dziewczyny, przestańcie się bić. Nie wszystkie naraz – ironizowałam, bo tylu chętnych to w życiu nie widziałam. Skąd ja to znam? Gdy zarządzam w domu sprzątanie, nagle okazuje się, że dzieci potrafią się rozpląnąć, a mężu znika w czeluściach mieszkania.

Światło w oknach willi było zapalone.

– Chyba Gonzo jest w domu – zauważyłam.

– Pewnie szuka swojego pupilka na wieczorne przytulanie – szepnęła Mańka.

– Stąpasz po kruchym lodzie! – ostrzegłam ją.

– Chciałam rozluźnić atmosferę, bo jakaś grobowa się zrobiła.

– No dobra, nie ma co – ucięła Baśka. – Trzeba to załatwić i zapomnieć.
Która idzie?

– Myślę, że trzeba losować – zaproponowałam.

– A ja myślę, że trzeba to załatwić z głową – powiedziała Mańka.

– Czyli? – dopytywałam.

– Zacznijmy od tego, jak tam wejdziemy, bo to jest kluczowe.

Miała rację. Zapewne taki dom był strzeżony z każdej strony niczym wiano dziewicy.

– Chyba jedyna opcja to przejść przez płot – zastanawiała się Baśka.

– Uff, to ja odpadam z powodów gabarytowych – ucieszyła się Mańka.

– Bo? – zapytałam, gdyż już wyczuwałam, co chce przekazać.

– Bo jedynym miejscem, na które się w życiu wspinałam, były plecy pewnego partnera dwa razy mniejszego ode mnie. I to też bez szału. Dużo umiejętności posiadam, ale gimnastyczką, sorry, już nie będę.

– Tak, to musi być ktoś zwinny i gibki – powiedziała Lucy.

– Czyli ty! – krzyknęłam z radością.

– Ale ty jesteś lżejsza, kochanie – odpowiedziała.

– Tylko z tą zwinnością gorzej. Widziałaś, jak ona biega? Płaczą jej się ręce i nogi. – Mańka chyba chciała mnie ocalić.

– Buty mi spadną, jak tam wejść – stękała Lucy.

Festiwal jęczenia trwał w najlepsze.

– Ja go kąpałam i niosłam, więc teraz stawiam weto! – powiedziałam stanowczo i tak niefortunnie oparłam się o furtkę, że popchnęłam ją i wpadłam do środka.

– O masz, ale z niego Al Capone. Wielki mi rumuński mafioso, co nawet furtki nie potrafi zamknąć – śmiała się Baśka.

Mnie nie było do śmiechu, bo zdałam sobie sprawę, że jestem już na posesji ze zwłokami w ręku. I znowu trafiło na mnie!

– Asiunia, trzymamy kciuki – rzuciła Mańka. Chyba chodziło jej o to, że trzyma kciuki za wszystkie nasze nerki, wątroby i inne organy, żeby jednak nikt nam ich nie wyciął.

Serce biło mi jak oszalałe, zwłaszcza że wraz z moim wtargnięciem zapaliło się światło na zewnątrz. Czy już mówiłam, że nigdy nigdzie więcej nie pojedę z przyjaciółkami? Żeby matka dzieciom po nocy w rumuńskiej dupie takie rzeczy robiła.

– Idź szybko, póki nie wyjdzie – rozkazała Baśka.

Wiedziałam, że teraz albo nigdy. Czułam się odpowiedzialna za stan wewnętrzności przyjaciółek. Podbiegłam do ekskluzywnej budy, choć słowo „buda” było tu zdecydowanie nie na miejscu. Wyciągnęłam obiekt z kartonu i włożyłam do środka. „Matko z córką, niczego do tej pory w życiu nie udało mi się tak ładnie wyprac” – myślałam z satysfakcją.

– Pst, pst, pst, wracaj szybko – ponaglała Mańka, wrywając mnie z zachwytu nad swoimi umiejętnościami. Rozejrzałam się na boki i wybiegłam z posesji.

– Borze szumiący, nogi mam jak z waty! – wysapałam zmachana i przestraszona.

– Brawo ty! Profesjonalna robota – pochwaliła mnie Lucy.

– Nie ma co, matka pogrzebaczka psich zwłok. Chyba sobie w CV dopiszę – drwiłam.

– Asiunia, moja kochana. – Mańka ścisnęła mnie z całej siły. Stałyśmy pod płotem, ciesząc się jak głupie, gdy nagle drzwi do willi się uchylily.

– Baby, spieprzamy stąd! – przerwała nasz entuzjazm Baśka. Zgięte w pół zaczęłyśmy oddalać się od domu.

Byłyśmy już w bezpiecznej odległości od posesji, gdy nagle Mańka zapytała:

– Asiunia, a gdzie masz karton?

Nastąpiła wymowna cisza.

– Jak to gdzie, tam go zostawiłam.

– Aha. – Baśka zamilkła. Uwielbiam takie „aha”. Nie znaczy to nic innego jak: „Spoko, nie martw się, ale jednak coś ci wytknę”. A jedyne, co można było mi zarzucić, to koc na plecy.

– Myślicie, że ten karton może nas w jakikolwiek sposób zdradzić? – zapytałam zaniepokojona.

– Biorąc pod uwagę, że nie widziałam w pobliżu żadnych innych bąbelków, to chyba nie – stwierdziła ironicznie Mańka. – Ale może po prostu dzieciory dobrze się ukrywają – dodała, widząc moją niepewną minę.

– Tak, i tego się trzymajmy – uspokajała samą siebie Lucy.

Szłyśmy w stronę domu Mihaila, a ja nerwowo odwracałam się co chwilę, żeby sprawdzić, czy ktoś za nami nie jedzie. Niejechał, więc można było uznać, że misja się udała.

Wróciłyśmy padnięte. Nie tak łatwo było przemierzyć te kilka kilometrów w ciemności. Tego wieczoru wyjątkowo nie chciało nam się gadać. Do czasu, aż odezwałam się pierwsza.

– Zobaczcie, ile się wydarzyło w cztery dni. Prawie uśmierciłyśmy matkę rodu, wyprowadzałyśmy w pole sery z Lidla, poznałyśmy całą wioskę, Mańka zarosła grzybnią, pomyliłyśmy weterynarza z ginekologiem, zrobiłyśmy kilkadziesiąt dobrych kilometrów na piechotę – wyliczałam.

– Akurat z tym chodzeniem to nam się przydało – wtrąciła Baśka. – Przemiana materii już inna po czterdziestce i pięćdziesiątce.

– Chyba baterii, bo na razie nie wiem, jak się nazywam, ze zmęczenia – sprostowałam. – Kontynuując: mamy też na koncie odkrycie zdechłego psa lokalnego mafiosa i jego nielegalny przerzut do macierzy. Czy o czymś zapomniałam?

– O tym, że nie wiemy, czy trupy będą dwa, czy jeden – dodała Mańka.

– Musiałaś? – zachnęła się Baśka.

– Nie ma co owijać w bawełnę – broniła się Mańka.

– Jutro wieczorem mamy wylot z Bukaresztu do Warszawy – przypomniałam. – I nie wierzę już w żadne cudowne znaki, konstelacje

gwiazd czy fusy w kawie, które dadzą nam jakieś wskazówki. Musimy dotrzeć na lotnisko i tyle. Zostawimy numer telefonu i poprosimy, żeby Mihail do nas zadzwonił. Pewnie będziemy już w domu. Żarty się skończyły.

– Chyba masz rację, Dżoana – stwierdziła ze smutkiem Baśka, bo targały nią wyrzuty sumienia.

– To jest wybór mniejszego zła – dodała Lucy.

– Nie wiem, jak wy, ale ja padam na ryj. I ostrzegam: idę spać w opakowaniu. Pieprzę konwenanse. Z głównem się nie biłam – wypaliłam prosto z mostu.

– To ja ci dzisiaj będę towarzyszyć – powiedziała Mańka. – No może tylko jeden kremik nałożę dla zdrowotności.

Nie wiem, która co nałożyła albo czego nie zdjęła. Zęby chyba jeszcze miałyśmy wszystkie swoje. Poczulałam, że ogarnia mnie przeokrutny sen. Niecodziennie jednak jest się w życiu grabarzem. Byleby do jutra i jakoś to będzie.

Rozdział 13

– Przepraszam bardzo, ale co ty wyprawiasz? Na modły ci się zebrało? – Otworzyłam oczy i zobaczyłam klęczącą na podłodze Mańkę.

– Pakuję się.

– Jest ósma rano. – Spojrzałam na zegarek. – Dostałaś wścieklisty macicy czy co?

– Akurat to już mi przeszło po lekach od weterynarza.

– A tak w ogóle to dokąd się wybierasz?

– Przecież dzisiaj wracamy do Warszawy.

– Wiem, że wracamy, to znaczy mamy zamiar wrócić, ale wieczorem! Plany na sylwestra na dwa tysiące dwudziesty piąty też już masz?

– Coś już mi się kołacze po głowie – odpowiedziała, nie przerywając pakowania.

Naszą rozmową obudziłyśmy resztę dziewczyn. Od paru dni czułam się jak na koloniach, gdzie bez przerwy trzeba pamiętać o współlokatorach.

– Moje drogie, nadszedł ten dzień, kiedy jeszcze nie wiem jak, ale opuścimy to nasze rumuńskie *all inclusive*. – Siedziałam na łóżku, wykręcając brzeg piżamy jak mała dziewczynka. Baśka była ewidentnie zmartwiona.

– Mańka zaczęła już nawet pakować swoje barchanowe gacie – dodałam, ale nie zmieniło to jej nastroju.

– Basiu, gdyby coś było nie tak z mamą Mihaila, to na pewno jego ojciec by coś wiedział. Pewnie po prostu musi trochę zostać w szpitalu – stwierdziła Lucy.

– No właśnie, brak wiadomości to dobra wiadomość. Chyba już nie powinniśmy mieć wyrzutów sumienia. Spędziłyśmy tu pięć dni – dodała Mańka.

– Może obrzęk mózgu nie chce zejść po uderzeniu żeliwną patelnią – powiedziałam.

– Dżoana, przestań! – krzyknęła Baśka.

– O widzisz, przynajmniej się obudziłaś. Nie maż się, trzeba działać. Następnym razem będziesz wiedziała, żeby wybrać coś lżejszego, jeśli chodzi o narzędzia zbrodni. – Puściłam do niej oczko.

– I cios niekoniecznie w głowę – zasugerowała Mańka.

Baśka w końcu się uśmiechnęła. Zawsze uważałam, że humor sprawdza się w każdej sytuacji. Choćby na chwilę pomaga zapomnieć o kłopotach.

– Wiecie co, dzisiaj ja pójde wypasać zwierzęta. Idę się ogarniać i spadam – powiedziała Lucy i zniknęła. Trochę mnie zdziwił ten jej zryw. Czyżby spodobalo jej się życie na wsi?

– No dobra, a jaki jest dalszy plan? – zapytałam. – Bo kozami chyba na lotnisko nie pojedziemy.

– A może odwiózłby nas jeden z sąsiadów, którzy wczoraj tak ochoczo częstowali nas rumuńskimi specjami? – myślała głośno Mańka.

– O, świetny pomysł. Tylko zostaje nam chodzenie od chaty do chaty, bo nie wiemy, gdzie oni mieszkają – stwierdziłam.

– Chyba nie mamy wyboru – westchnęła Baśka i wyszła z pokoju.

Mańka kończyła pakowanie. Usiadłam obok niej.

– Zdecydowanie czas wracać – powiedziała Mańka refleksyjnie.

– Oczywiście. Ten wyjazd to istne szaleństwo – uznałam.

– Nie do końca o to mi chodzi.

– A o co?

– Spójrz na swoje nogi, moje zresztą też. Takie chaszczce, że służba leśna miałaby co odkrzaczać.

– A jak włożysz spodnie, to będzie widać?

– No nie.

– To czemu się przejmujesz? Nie ma co dzielić nomen omen włosów na czworo – zaśmiałam się.

Mańka pokiwała głową.

Nagle usłyszałyśmy głośnie trzaskanie drzwiami. Do pokoju wróciła Baśka.

– Dziewczyny, Vasile ma gościa – powiedziała zdenerwowana.

– To dobrze, może ten ktoś będzie miał samochód i zawiezie nas na lotnisko – zauważyłam.

– Ma, ale on nam chyba nie pomoże – wyjąkała.

– Baśka, o co chodzi? – zapytała Mańka, widząc jej zdenerwowanie.

– Przyjechał ten mafioso, u którego byliśmy wczoraj z pieskiem.

– Matko Bosko Fluorescencyjna! – powiedziałam wystraszona. Spojrzałyśmy po sobie. – Dziewczyny, myślicie, że on coś wie?

Z domu dochodziły donośne męskie głosy, które przerodziły się w krzyki.

– Ale po co by tu przyszedł? – zastanawiała się Baśka.

– Może pożyczyć szklankę mleka – ironizowała Mańka, nasłuchując, co się tam dzieje.

– I wścieka się, że jest tylko od krowy, a on pije sojowe – dodała Baśka, wyciągając słuch.

– Dajcie spokój! Na pewno widział, jak wsadzałam psa do budy, i teraz razem z Baśką będziemy siedziały w rumuńskim karczerze! – panikowałam.

– Przecież nikt nikogo za rękę nie złapał – próbowały pocieszyć mnie i samą siebie.

– I za tę owłosioną nogę też – zauważyła Mańka.

– Wiesz co, czasami brak mi słów – powiedziałam do niej zirytowana.

– Mało czytasz, to i słownictwo masz ubogie. – Dała mi przyjacielskiego szturchańca.

Stałyśmy pod drzwiami i czekałyśmy na rozwój sytuacji. Ton głosu rozmówców był podniesiony, ale może rzeczywiście chodziło o zupełnie inną sprawę.

Po pewnym czasie zapadła cisza. Trzaśnięcie drzwiami wskazywało, że gość opuścił dom.

– Chyba już poszedł – powiedziałam z ulgą.

– Dobra, czyli zachowujemy się jakby nigdy nic. Idziemy zrobić śniadanie – stwierdziła Baśka.

Zauważyłam, że na tym wyjeździe było bardzo dużo „jakby nigdy nic”. Chyba przeniosę tę taktykę do domu i też będę rzucała głupa w niewygodnych sytuacjach.

Wyszłyśmy z pokoju. Czuć było, że atmosfera jest napięta. Vasile był poirytowany. Po pokoju grasowały bliźniaczki.

– Okej? – zapytałam w zasadzie nie wiem po co, chyba żeby uspokoić swoje wyrzuty sumienia.

– *No problem* – powiedział Vasile, ale jakoś mu nie uwierzyłam. Nadal mówił coś pod nosem, żywo gestykulując.

Teodora nie było w domu, zatem Lucy musiała z nim pójść ze zwierzętami. Mańka, Baśka i ja zjadłyśmy śniadanie i pobawiłyśmy się trochę z dziewczynkami.

– Wiecie co, spróbuję wytłumaczyć tacie Mihaila, że dzisiaj lecimy do Warszawy – zaproponowałam. – Jak wróci Lucy, to idziemy szukać jakiegoś transportu, okej?

Poszłam po przewodnik z rozmówkami, przewertowałam kilka kartek i znalazłam coś, co wydawało mi się odpowiednie do tej sytuacji.

– *Vasile, cum se ajunge la București?* – zapytałam, wspinając się na szczyty swoich możliwości, jeśli chodzi o porozumiewanie się po rumuńsku.

– O co go zapytałaś? – dociekała Baśka.

– Kurwuniu, czy ma pożyczyć rajstopy w rozmiarze S! Bo przecież nie o to, jak się dostać do Bukaresztu! – syknęłam.

– O, to od razu zapytaj, czy ma może XL. Też się nie spodziewałam takiej piździawicy – wtrąciła Mańka.

– Nie pytaj go jak, tylko czym – komenderowała Baśka.

– Serio, geniuszu? Nie ma tego w rozmówkach – fuknęłam.

Vasile, co było do przewidzenia, zaczął mówić coś do mnie po rumuńsku. Opowiadał, gestykulował, a ja stałam i się uśmiechałam.

– I co? – zapytała Mańka.

– Chujów sto. Skąd mam wiedzieć? – Byłam zirytowana, bo nie miałam nadziei na powodzenie tej misji.

– Głodnemu chleb na myśli – bąknęła pod nosem.

– *We need some car to go to Bucharest. Tonight we have a flight to Warsaw. We have to go* – zaczęłam intuicyjnie mówić po angielsku. Próbowałam również zobrazować swoje słowa. – *Flight, to Warsaw, today.* – Zaczęłam udawać samolot – rozłożyłam ręce na boki i latałam po pokoju.

– *Czy leci z nami pilot!* – krzyknęła Mańka. – Zgadłam?

– Stara, przysięgam, że zaraz będziesz zbierać swój nos z podłogi!

– Przepraszam, ale tak mnie bawią te kalambury, że nie mogłam się powstrzymać. – Ze śmiechu miała łzy w oczach.

– Komputer! – krzyknęłam, jakbym odkryła Amerykę.

– Co „komputer”? – Baśka patrzyła na mnie jak na idiotkę.

– Widziałam w pokoju, może będzie internet, to przetłumaczmy Vasilemu, o co nam chodzi. – Oczywiście nie pisałam ani słowem, że próbowałam dostać się do swojej skrzynki pocztowej, żeby skontaktować się z Wojtkiem.

W pewnej chwili usłyszałyśmy jakiś odgłos.

– Chyba podjechał jakiś samochód – zauważyła Mańka.

– To pewnie znów ten mafioso. – Trzęsłam się jak osika. – Przyjechał po mnie z kolegami, którzy specjalizują się w produkcji betonowych butów.

Słysząc było, jak ktoś zamyka drzwi od samochodu, a następnie otwiera te od domu. Czekaliśmy na rumuńską wendetę za śmierć okołochomika.

– Matko święta! – krzyknęłam. W progu stanął Mihail ze swoją rodzicielką.

– Nie święta, tylko żywa! – rozpromieniła się Baśka, która z tej radości rzuciła się Mihailowi na szyję.

Chwilę później dołączyły do niej dziewczynki i Vasile. Miło było patrzeć na ogromną radość całej rodziny. Cierpliwie czekałyśmy na swoją kolej, aby powitać mamę Mihaila.

– Wygląda dobrze – szepnęłam do Baśki.

– Ma tylko niewielki plaster na głowie – zauważyła Mańka. Wiem, że chciała być miła, ale plaster był akurat jebitny. Jednak nie to było ważne w tej chwili.

– Mihail, jak się macie? Wszystko okej? Jak się czuje mama? – zapytała Baśka, która z wiadomych powodów była najbardziej zainteresowana jej stanem zdrowia.

– Tak, już wszystko dobrze – uśmiechnął się. – Niestety musieliśmy zostać parę dni w szpitalu. Oprócz ukąszenia żmiji doznała urazu głowy, chyba od tego upadku. – Miał w sobie taki spokój, którego zawsze ludziom zazdrościłam. Ja nawet spokojnie nie potrafiłam mrugać. – A jak u was? – zapytał, rozglądając się po domu. – Chyba wszystko w porządku?

Spojrzałyśmy po sobie. Matulu, w życiu nie było większej harmonii niż teraz!

– Tak – łgałam, aż od tego kłamstwa jeszcze bardziej wydłużył mi się nos.

– Bardzo wam dziękuję, że zostaliście – powiedział Mihail. – Dzięki temu miałem trochę mniej stresu.

– Nie ma sprawy – wyszczerzyła się Baśka. Gdyby nie ona, być może mama naszego gospodarza wróciłaby dużo wcześniej. – Muszę mu powiedzieć o tej patelni – szepnęła do mnie.

– Zwariowałaś? – przeraziłam się. – Po co? Co to zmieni?

– Będę miała czyste sumienie. No i nie można kłamać.

– Ty nie kłamiesz, tylko nie mówisz całej prawdy, a to różnica. Życie mnie tego nauczyło. Że czasami trzeba milczeć – powiedziałam.

Na szczęście podeszła do nas mama Mihaila i Baśka chwilowo porzuciła pomysł zrehabilitowania się. Kobieta uściskała nas i pogłaskała po twarzach. Niewątpliwie była nam wdzięczna za pomoc.

– Ani się waż – zagroziłam Baśce, widząc jej minę.

– Mihail – zaczęła. – Muszę ci coś powiedzieć.

Kopnęłam ją w kostkę, ale chyba za lekko. Postanowiłam interweniować.

– Mamy dzisiaj lot do Warszawy z Bukaresztu – przerwałam jej – i musimy się jakoś dostać na lotnisko. Dosłownie spadliście nam z nieba, bo właśnie chcieliśmy iść do wioski szukać transportu.

– Oj, to już dzisiaj? Nie możecie jeszcze trochę zostać? – zapytał zmartwiony.

– Niestety obowiązki wzywają. – Byłam miła, ale konkretna. – A twoja mama pewnie musi jeszcze wypoczywać. Nie ma co robić tłoku – dodałam.

– Mam nadzieję, że udało wam się skorzystać z uroków naszej pięknej wsi i choć trochę odpocząć – powiedział.

– Tak, tak – wtrąciła Baśka.

– Chodziłyśmy na długie spacery – podkreśliła Mańka.

– Poznałyśmy lokalną społeczność – dołączyłam się, przypominając sobie wzrok rumuńskiego Gonza ze złotym uzębieniem.

– Miałyśmy kontakt z przyrodą i ze zwierzętami – opowiadała Baśka.

– Żywymi i martwymi – szepnęłam pod nosem po polsku.

– Słucham? – zapytał Mihail.

– Nie, nic, mówię, że dużo ciekawych doświadczeń nas tutaj spotkało. Już mi się mylą te języki – wybrnęłam z sytuacji.

– To bardzo się cieszę – powiedział nasz gospodarz zadowolony. – Choć pewnie nie tak wyobrażałyście sobie ten babski wyjazd.

Zaraz tam nie tak. W żadnym ekskluzywnym hotelu nie miałabym możliwości szorowania sztywnego psa, który wyzionął ducha. Pewnie byłaby tylko jakaś nudna zumba dla emerytów!

– Oczywiście zawiozę was na lotnisko. O której macie samolot?

– O dwudziestej – powiedziała Baśka.

– Czyli gdzieś około piętnastej musimy wyjechać. To zdążymy jeszcze zjeść razem obiad – uśmiechnął się.

– Baśka, ale ty już niczego nie dotykasz. – Mańka zgromiła ją wzrokiem.

Życie w domu znów zaczęło toczyć się swoim rytmem, a my z ulgą mogliśmy spokojnie przygotować się do powrotu.

– Dziewczyny, wszystko pięknie ładnie, ale gdzie jest Lucy? – zorientowała się nagle Mańka.

– Przecież poszła wypasać kozy i owce z wujkiem Teodorem – odparłam.

– Tylko to już chyba trochę trwa.

– Może chciała pożegnać się z górami.

– Ona? Chyba raczej pogrozić roli, bo stąpając po niej, nabawiła się otarć i bąbli.

– Sprawdzę dla pewności, czy Teodor wrócił. – Zaniepokojona Baśka udała się w głąb domu.

– Idę z tobą – podchwyciłam i pobiegłam za nią.

– No nie usiedzi na tej chudej dupie – usłyszałam jeszcze komentarz Mańki.

I miała rację. Chyba niebezpiecznie zaczął mi spadać poziom adrenaliny.

Znalazłyśmy Teodora przed telewizorem. Po Lucy ani śladu, zapadła się pod ziemię.

– Gdzie ona jest?! – przeraziła się Baśka.

– Może przed domem?

Niestety tam też jej nie było.

– Zwariować można. Jak nie urok, to sraczka – westchnęła Baśka.

Miała rację. Brakowało mi doznań, więc znów je miałam. Nie bez kozery się mówi: „Uważaj, o czym myślisz, bo się spełni”.

Ta mieszanka spacerowa – Teodor i Lucy – od początku wydawała mi się podejrzana. Bardziej jednak obstawiałam, że to on się zgubi. Lubił sobie od

czasu do czasu zboczyć z wydeptanej ścieżki. Lucy natomiast, nie dość, że w ogóle nie przepadała za chodzeniem, to nie była jakąś gorliwą fanką natury. Najlepiej czuła się w mieście, gdzie nic pająkowatego, co ma długie nogi i wąsy, nie atakowało jej i nie chciało wciągnąć za obraz.

– I co, masz jakiś pomysł? – zapytałam Baškę.

– Żadnego. Chyba musimy pogadać z Mihailem – odparła i od razu to zrobiła. – Mihailem, Lucy poszła rano z Teodorem wypasać zwierzęta i do tej pory nie wróciła. Mógłbyś go zapytać, gdzie ona jest? – zaczęła Baška.

Mężczyzna skinął głową i podszedł do wuja. Nie wiem, co ten naród ma, ale przy każdej rozmowie tak gestykulują, jakby uprawiali jakąś nieznaną mi dziedzinę sportu.

– Lucy wracała z nim do domu, ale w pewnej chwili zboczyła z drogi. Teodor nie wie, dokąd poszła – przekazał nam Mihailem.

– No to zajebicie. Jak już prawie wszystkie klocki się poukładały, to wilanowska królowa zaczęła sobie spacerować po wsi skutecznie. – Baška porządnie się wkurzyła.

Wróciłyśmy do pokoju.

– Wyobrażasz sobie, że Lucy gdzieś polazła? – przedstawiłam sytuację Mańce.

– Macie pomysł, gdzie jej szukać? Nie zostało nam już zbyt dużo czasu do wyjazdu na lotnisko. I do tego zapowiada się na burzę – stwierdziła Baška.

Mańka wyjrzała przez okno. Rzeczywiście, nadeszły czarne chmury, nie pierwszy raz podczas tego pobytu.

– Panie ładne, ja przez ostatnie cztery dni to takie poranne grzmoty słyszałam, że hej – powiedziała z uśmiechem.

– Do mnie pijesz? – zaperzyłam się. Uderz w stół, a nożyce się odezwą.

– Jak to mówią: z małej dupy duży bąk – skomentowała Mańka.

– No chyba z twojej, ja ich nie puszczam – obruszyłam się.

– Nie, tobie uszami wychodzą dymki o zapachu waty cukrowej!

– Dziewczyny, chcecie teraz rozmawiać o perystaltyce jelit? – przerwała nam Baśka. – Zobaczmy, może Lucy zostawiła jakieś ślady w pokoju, które nas naprowadzą, dokąd mogła pójść.

– Przecież to nie ślimak – uśmiechnęłam się. Mina Baśki jednak wskazywała, że czas zachować powagę.

– Przelećmy wzrokiem, może coś tu jest – zarządziła.

– Szkoda, że tylko wzrokiem – szepnęła Mańka. Ale ani my, ani nasz wzrok niczego nie znalazł. Lucy ubrała się rano, umyła, wyszła z kozami i przepadła.

– Dobra, teraz bez żartów. Chyba musimy jej zacząć szukać, bo to do niej niepodobne – stwierdziła Mańka. Zgodnie jej przytaknęliśmy.

Musialiśmy znów poprosić Mihaila o pomoc. Oczywiście nie odmówił. Ciekawe, czy zawsze tak ma...

Wybiegliśmy z domu i wsiedliśmy do samochodu.

– Nadciąga potężna burza. W górach to niebezpieczne – oznajmił trochę zatrwożony. Równie niebezpieczne było zaproszenie nas do domu. Co tam taka burza przy *femmes fatales* z Warszawy. My wiemy lepiej, jak rozpętać w życiu huragan.

– Dobra, dziewczyny, myślę, że trzeba najpierw sprawdzić trasę z domu na łąkę – zaproponowałam.

Poprosiliśmy Mihaila, żeby nas zawiózł. Kiedy już siedzieliśmy w samochodzie, zaczęła się ogromna ulewa. Po szybach spływały strugi deszczu. Momentalnie na dworze zrobiło się ciemno. Jesień zdecydowanie dała o sobie znać. Aczkolwiek ja lubię tę porę roku. Jest to jeden z niewielu momentów, który wymusza na mnie częstsze siedzenie w domu i siłą rzeczy choć na chwilę muszę się trochę zatrzymać. Pomyślałam o dzieciach, Wojtku i o pracy. Dawno nie rozkminiałam, co się tam dzieje, bo ostatnie wydarzenia w Rumunii dostarczały mi tylu wrażeń co *Mission impossible*.

– Asiunia, czy ty też masz czasem tak, że chciałabyś wszystko pieprznać?
– zapytała mnie nagle Mańka. Chyba na nią również wpłynęła ta

nostalgiczna pogoda.

– Kochana, mniej więcej raz w tygodniu – westchnęłam.

– Ja to nawet częściej. Raz ich wszystkich kocham, a potem nienawidzę.

– To znaczy, że wszystko z tobą w porządku – uspokoiłam ją. – To tak zwana matczyna schizofrenia, czyli najpierw wystawiasz dzieciaka za okno, a za chwilę przytulasz go tak, że nie może oddychać.

– Gorzej, jak go w odpowiednim czasie nie wyzwolisz z uścisku – zauważyła Mańka.

– To jeszcze zostaje drugie dziecko.

– A tęsknisz za nimi? – spytała.

– Bardzo.

– No ja właśnie też, ale pewnie już w pierwszej godzinie po powrocie mnie wkurzą.

– I to się właśnie nazywa życiowy balans – uśmiechnęłam się.

– Nic tutaj nie widzę – powiedziała Baśka, gdy podjechałyśmy na hale. Po Lucy nie było ani śladu.

– No to zaginęła nam owieczka – oznajmiłam zaniepokojona.

– Chyba koza – palnęła Mańka.

Rozejrzałyśmy się wokół, jednak obfity deszcz utrudniał poszukiwania.

– Dziewczyny, przepraszam was, ale muszę zaprowadzić zwierzęta do stodoły. Nie mogą tu zostać w taką pogodę. Nie zajmie nam to dużo czasu. Może któraś z was usiąść za kółkiem? – zapytał Mihail.

– Tak – wyrwałam się do odpowiedzi. Zająłam miejsce kierowcy, a nasz gospodarz w strugach deszczu zagonił bydło i psy na drogę. Powoli jechałyśmy tuż obok. Zwierzęta zaczęły z każdej strony obchodzić samochód.

– O matko, dziewczyny, patrzcie, jest jak na filmie! – krzyknęła zadowolona Mańka. Spojrzałam, jednocześnie uważając, żeby żadnego nie przejechać. Z drugiej strony pewne doświadczenie w obrabianiu zwłok już

miałam. Wokół nas kłębiły się biszkoptowe owce i białe kozy. Widok był niesamowity.

– Rzeczywiście wspaniale, tylko w takim tempie to nie zdążymy nawet na jutrzejszy samolot, z Lucy czy bez niej – zauważyłam. Samochód poruszał się z prędkością owczego kroku. Baśka spojrzała nerwowo na zegarek.

– Można je jakoś przyspieszyć? – zapytała.

– Jedyne kontakty, jakie miałam z owcami, to konsumpcja oscypka nad morzem prosto z Krupówek – oznajmiłam.

– I do tego żurawinka – rozmarzyła się Mańka.

Mihail był kompletnie przemoczony, ale dzielnie kroczył przed siebie.

– Biedny, przemókł do suchej nitki – zauważyła Baśka.

– Ciężko się ściąga takie mokre ciuchy – podpuszczałam ją.

– Serio?

– No. Wiem, co mówię. Raz w tygodniu chodzimy z Mańką na walki w kisielu – taka rozrywka dla ryczących czterdziestek.

– Nie chodzi mi o to. Serio myślisz, że powinnam mu pomóc się rozebrać?

– Absolutnie. Takie luźne myśli. – Puściłam do niej oczko.

Owocokrokiem powoli zbliżaliśmy się do domu, rozglądając się w poszukiwaniu Lucy. W końcu Mihail zaprowadził zwierzęta do stodoły, po czym wsadził głowę do samochodu i powiedział:

– Zaczekajcie, tylko się przebiorę i jedziemy dalej.

Po chwili znów byliśmy w komplecie. Niestety, Lucy wciąż się nie odnalazła.

– Możemy sprawdzić w domach biesiadników, którzy nas odwiedzili? – zaproponowała Mańka. – Byli tacy serdeczni.

– Myślisz, że chciała się z nimi pożegnać i zaprosić do Polski? – zapytałam.

– Mańka ma rację, idźmy tym tropem – powiedziała Baśka. – Przecież nie mogła zapaść się pod ziemię.

Poprosiliśmy Mihaila o rundkę po wsi. Mieliśmy zaglądać do każdego domostwa po kolei. Na szczęście nasz gospodarz był w domu tego dnia, gdy cała wioska ochoczo się zeszła, żeby nas pooglądać, więc wiedział, dokąd jechać.

Wraz z nim wchodziliśmy do każdej chaty. Mihail tłumaczył, a my przyglądałyśmy się reakcji domowników. Musiałyśmy mieć pewność co do czystości ich intencji. A to dało się bardzo szybko poznać. Gdy tylko Mihail opisywał im sytuację, z każdego domu wybiegał zaaferowany człowiek, oferując pomoc w poszukiwaniach, i koniecznie chciał się wcisnąć na tylne siedzenie samochodu. Pierwszy ochotnik zmieścił się do auta, część siedziała na pace z tyłu. Ale im więcej domów odwiedzaliśmy, tym większa i głośniejsza grupka formowała się za nami. Z każdego kolejnego miejsca dochodzili nowi ochotnicy. Za nami utworzył się korowód aut.

– Ależ to wspaniałe! – rozczuliła się Mańka, wciśnięta w róg siedzenia. – Spójrzcie na ich zaangażowanie. Przecież mogliby siedzieć na dupie przed telewizorem.

– Zgadzam się – przytaknęłam. – Niesamowite pospolite ruszenie. Baśka, możesz się kawałek przesunąć, bo chyba cały czas cię macam. – Wyczułam coś twardego pod palcami.

– Stara, to nie moje części ciała.

– Więc czyje?! – Spojrzałam w dół. Rzeczywiście, to coś nie należało do niej, no chyba że była hermafrodytą! – O matko – jęknęłam, zerkając na swoją rękę na czyimś kroczu. Szybko uwolniłam bałkańskiego penisa, lekko się przy tym rumieniąc. Jakoś ostatnio nie trafiają mi się takie okazje.

– Czyżby wróbel w garści? – zapytała Mańka.

– No na pewno nie gołąb – zaspokoiliam jej ciekawość.

Objechaliśmy wszystkie domy potencjalnych porywaczy Lucy, ale niestety po zagubionej owieczce nie było ani śladu.

– Zastanówcie się, gdzie jeszcze mogła pójść – podsunął Mihail. – Co robiłyście, gdy mnie nie było?

Nie chciałyś wiedzieć, człowieciu, co tu się działo. Patrzył na nas surowym wzrokiem, co zdecydowanie nie pomagało.

– Jeszcze pomyślałam, że to sfingowałyśmy – rzuciłam do dziewczyn.

– Ale po co? Żeby się autem po górach w burzę przejechać? – myślała na głos Baśka.

– Nie wiem. Przyjechały Polki, nagle z dupy znalazły się w rumuńskiej wsi. Może myślą, że jesteśmy naciągaczkami z Europy Wschodniej i wcale nie chcemy stąd wyjechać – brnęłam dalej.

– Asiunia, nie popadaj w paranoję. Zastanówmy się na spokojnie. Gdzie jeszcze byliśmy? O, wiem! U weterynarza! – przypomniała sobie Mańka.

– Ale po co miałyby tam iść? Przystrzyc bobra? – drwiłam.

– A może ktoś ją porwał? – powiedziała nagle Baśka.

Spojrzałyśmy na siebie podejrzliwie.

– Nie no, dajcie spokój, to nie jest kryminał, tylko prawdziwe życie. Myślę, że jako wielkomijska dama, która nie ma pojęcia, jak się poznaje po mchu, gdzie jest północ, po prostu się zgubiła i stoi gdzieś teraz przerażona, czekając, aż burza przejdzie.

– A ja myślę, że to się zaraz rozwiąże psim swędem – stwierdziła Mańka.

– Pies! – krzyknęła Baśka. – Mańka, jesteś genialna!

– Mów mi tak częściej, ale... Ożeż, pies!

– Pies, który obsikał jej buty, i jego właściciel! – dokończyłam to, co wspólnie wydedukowałyśmy.

– Myślicie serio, że poszła się zemścić za te blahniki? – głowiła się Baśka.

– Nie wiem, ale kiedyś mi mówiła, że jest bardzo pamiętliwa. Miała przy tym taką minę, że naprawdę bałabym się jej podpaść – wyjaśniłam.

– Albo porwał ją, myśląc, że ukatrupiłyśmy jego okołochomika – gdybała Mańka.

Czy któraś z tych hipotez była prawdziwa? Musiałyśmy się dowiedzieć. Poprosiłyśmy więc Mihaila, żeby podjechał pod dom właściciela psa. Nawet nie wiedziałyśmy, jak się nazywa.

– O, to ten dom! – krzyknęłyśmy, zbliżając się do willi.

W samochodzie zapadła wymowna cisza.

– Macie coś wspólnego z tym mężczyzną? – Twarz Mihaila nabrała powagi.

– Nic, nic – jękałam się trochę.

– To dlaczego chcecie tam iść? – Przyglądał nam się uważnie.

– Spotkałyśmy go u weterynarza i potem podwiózł nas do domu – wytłumaczyła Baśka.

– A po co byliście u weterynarza? – zaczął wypytywać.

– No i po chuj drąży gorzej niż baba? – rzuciła po polsku Mańka. – Przecież nie będę mu teraz opowiadać historii o mojej prażynce.

– Długo by mówić, a chyba nie mamy zbyt dużo czasu – próbowałam zakończyć krzyżowy ogień pytań. – Mamy podejrzenia, że Lucy może tu być.

– Wiecie, że ten człowiek jest niebezpieczny? – ostrzegł nasz gospodarz.

– Obiło nam się o uszy – odpowiedziała Mańka.

Mihail wymamrotał coś po rumuńsku do kolegów. Nastąpiła intensywne wymiana myśli.

– Robimy tak: wy zostajecie w samochodzie, a my idziemy do środka. Rozumiemy się? – Spojrzał na nas wymownie.

– Cholera, on chyba mówi śmiertelnie poważnie. – Trochę się przeraziłam.

– Dziewczyny, zrozumiałyście? – ponowił pytanie.

– Hm, mhm – burknęłam niewyraźnie.

Mihail znów rzucił coś do mężczyzn i wszyscy zniknęli na terenie posesji. Zostałyśmy same.

– Co robimy? – zapytałam.

– Kazał czekać – stwierdziła Mańka.

– Czy kazał, to nie wiem – podchwyciłam. – Po prostu zapytał, czy zrozumieliśmy, a same słyszałyście, że mówił jakoś niewyraźnie. Jeszcze musi się sporo podszkolić w angielskim.

– Dobra, idziemy za nimi – orzekła Baśka.

Spojrzałyśmy sobie głęboko w oczy. W głowie kołatała mi tylko jedna myśl: w co myśmy się wjechały?

– Asiunia, jakby co, to pamiętasz, co mi obiecałeś? – Mańce drżał głos.

– Tak, zajmę się twoimi dziećmi. Ale gdyby jednak mnie – pokazałam gest podcinania gardła – to pomożesz Wojtkowi?

– Oczywiście, moja droga.

– Zamknijcie się. Idziemy! – rozkazała Baśka.

Z nerwów trzęsły mi się nogi. Przysięgam, że jednak uwielbiam załatwiać druty na technikę i zbierać kasztanki! Nawet po nocy!

– Boję się – wyznałam szczerze.

– Ja też – szepnęła Mańka.

– I ja, ale nie mamy wyboru – pocieszyła nas Baśka.

Powoli ruszyłyśmy w stronę willi. Na dworze było już ciemno, deszcz nie przestawał padać. Byłam mokra aż do gaci.

– Nie widzę ich, a wy? – zapytałam.

– Ja to w ogóle ośleplam. Okulary mi zaparowały – oznajmiła Mańka.

Nie chciałam już mówić, że od zatyczek zatkało mi się jedno ucho. W takim teamie nawet gdyby nam pod nos podstawiono rozwiązanie zagadki, to i tak byśmy nie zauważyły.

– Chyba musieli wejść od tyłu – stwierdziła Baśka, rozglądając się za naszymi obrońcami. Byłyśmy już pod samym domem.

– A co, furka jest popsuta? – zapytałam i nacisnęłam na klamkę. W półskłonie weszłyśmy na teren posesji. Zdecydowanie deszcz był naszym sprzymierzeńcem. Przynajmniej nic nie było słychać oprócz ciężkich uderzeń kropli.

– I co teraz? – zastanawiała się Baśka.

– Nie wiem, może będziemy kogoś udawać? – zaproponowałam.

– No to możemy zapukać, przeprosić za zakłócanie porządku i powiedzieć, że oferujemy panele fotowoltaiczne, a przy okazji zagaić, czy nie zabłąkała się tu nasza przyjaciółka, w całości lub w kawałku – drwiła Mańka. Spojrzałyśmy na nią. – Dobra, to była taka luźna myśl.

– Słuchajcie, chyba musimy tam po prostu wejść. Gdzie, do cholery, są ci rumuńscy komandosi? – irytowała się Baśka.

Nagle zobaczyłyśmy przedzierającego się przez płot po drugiej stronie działki Mihaila, a za nim kroczących nieporadnie jego giermków. Chyba byli lepsi w robieniu tych swoich nalewek niż w manewrach wojskowych.

– Co wy tu robicie? Miałyście zostać w samochodzie! – zirytował się, gdy nas zauważył.

– Wiem, ale to dotyczy naszej przyjaciółki. Nie mogłyśmy tam wysiedzieć – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jak tu weszłyście?

– Przez furtkę – powiedziała z satysfakcją Baśka. – Była otwarta.

Panowie spojrzeli na siebie z głupimi minami. Nie chcieli jednak, żebyśmy dostrzegły ich zakłopotanie, więc przeszli do ofensywy.

– Skoro już tu jesteście, to trudno. – Mihail ustąpił. – Jak widać, trudno z wami negocjować, ale wasze zachowanie jest nieodpowiedzialne. My wchodzimy do środka pierwsi. Jak wszystko będzie w porządku, to was zawołamy.

Kiwnęłyśmy głowami jak pluszowe pieski bujające się w tylnej szybie samochodu.

– Spróbujcie normalnie, drzwiami – podrzuciłam. – Z niego taki mafioso jak ze mnie baletnica.

Panowie ruszyli w stronę wejścia, a my szłyśmy tuż za nimi. Tym razem nie pchałyśmy się na początek. Czułam się jak w amerykańskim filmie i nawet trochę mnie to bawiło. Być może nie dysponowałam tajemną wiedzą o rumuńskim Gonzo – dla nas był śmiesznym grubaskiem z małym

pieskiem, a w zasadzie już bez. Gdy męski pluton dotarł do drzwi, Mihail nacisnął klamkę i swobodnie je otworzył.

– A nie mówiłam? Rumuński Don Corleone w wielkiej willi, do której każdy może się dostać! – powiedziałam sama do siebie.

Z bijącym sercem wszyscy powoli weszliśmy do środka. Na pierwszy rzut oka nikogo tam nie było. Zaczęliśmy więc na paluszkach szukać jakiegoś śladu Lucy. W pewnym momencie zajrzeliśmy do jednego z tysiąca pokoiów.

– Oż kurwa – szepnęła Mańka.

Rumuński mafioso był zamknięty w sporej klatce. Klęczał w lateksowym stroju w pozycji pieska i szczekał, a Lucy w białej bieliźnie i wysokich butach stała nad nim z pejczem.

Nasza obstawa nie wiedziała, jak się zachować.

– Lucy? Wszystko w porządku? – wydusiła z siebie Baśka, podbiegając do niej.

– Dziewczyny, zobaczcie tego zbrojeńca. Lucy, jak dobrze, że zamknęłaś go w klatce! – krzyknęłam.

– Laski, tu są jeszcze jakieś pejczy i baciki, bierzcie szybko, same się z nim rozprawimy – zdecydowała Baśka.

W pokoju znajdowało się dużo dziwnych przedmiotów. Nie do końca znałam ich zastosowanie, ale na zabawki dla niemowlaka raczej nie wyglądały.

– Ty rumuński zbrojuch z małym fiutem! – Zaczęłam okładać klatkę bacikiem.

– Tak potraktować naszą przyjaciółkę? – Mańka przyszła mi w sukurs, biorąc do ręki coś, co wyglądało jak maczuga z kolcami.

– *Ou yes, my queen!* – usłyszałyśmy nagle z ust zamkniętego w klatce mężczyzny.

– Dziewczyny, zostawcie go! – zapiszczała Lucy, ale nie zwróciłyśmy na to uwagi.

– Ja ci dam *queen*, męski pomioście! – huknęła na niego Baśka, wrzucając do środka przypadkowe rzeczy.

– *I love you, babe* – wymruczał zadowolony, jednocześnie szczekając jak pies. Im bardziej na niego krzyczałyśmy, tym bardziej się cieszył.

– On chyba ma coś z banią. Może mu odbiło po stracie psa? – stwierdziłam.

– Nie darujemy ci tego perwerze! – zawołała rozwścieczona Mańka.

– Dziewczyny, stop! – krzyknęła Lucy, tym razem głośniej. Wyrwała nas z amoku. Spojrzałyśmy na nią.

– Lucy, co z tobą? Czy on ci coś zrobił? – zapytałam.

Gonzo w świetnym nastroju najwyraźniej czekał na rozwój sytuacji.

– Nie. Wszystko jest okej – oznajmiła, rozglądając się na boki. Była w szoku i wyraźnie zażenowana. Chyba nie spodziewała się takiej publiczności. Z klatki dochodziły pojedyncze poszczekiwanie. Z nerwów w nią kopnęłam.

– Do budy, sierściuchu! – rzuciłam do rumuńskiego przestępcy.

– Szukamy cię prawie od rana! – wypaliła do Lucy zdenerwowana Mańka.

Mihail podszedł do Lucy, ponieważ nie rozumiał, co się dzieje. Ta jednak pokazała gestem, że wszystko w porządku. Wziął więc swoich towarzyszy i opuścili dom. Sytuacja była co najmniej dziwna.

– Dajcie mi chwilę, tylko się ubiorę. – Lucy wyglądała jak mała dziewczynka przyłapana na czymś nieodpowiednim.

Wszystkie stałyśmy z wybałuszonymi oczami.

– Wiecie, o co tu chodzi? – zapytałam z wypiekami na twarzy.

– Nie, ale lokalny mafioso wygląda obłądnie w tym wdzianku – zauważyła już spokojniejsza Mańka sprawnym okiem.

Rozejrzałam się po wnętrzu. Na podłodze królował biały marmur. W ogromnym salonie stały meble w stylu rokoka z motywem ogromnego słońca rodem z taniego Armaniego. Ściany były pokryte dziełami sztuki

marynistycznej, głównie kopiami słynnych obrazów. I w tym anturażu on – wielki rumuński Gonzo w lateksie.

Po chwili z jakiejś komnaty, bo inaczej nie można było tego nazwać, wyszła Lucy.

– Jestem gotowa – powiedziała cicho, już ubrana. W tym momencie w całym domu zgasło światło. Było to dość wymowne.

– Lucy, czy możesz nam w końcu wyjaśnić, co się stało? – Mańka kontynuowała przesłuchanie, gdy wsiadłyśmy do samochodu. Mihail poszedł do willi.

– Zwłaszcza że właśnie spóźniłyśmy się na samolot do Warszawy – wycedziłam, patrząc na zegarek.

– Czy on cię zmusił, ale bałaś się przy nim powiedzieć? – dopytywała Baśka.

Lucy milczała jak zaczarowana. Zaczęło mnie to irytować. Uskutecznia sobie jakieś igraszki na wyjeździe i nawet nie czuje się w obowiązku nam tego wytłumaczyć. A przez nią nie wrócimy dzisiaj do domu. Po chwili pojawił się Mihail i ruszyliśmy w drogę.

– Powiesz coś w końcu? – warknęłam.

Lucy patrzyła tępo w szybę.

– Powiem, jak dotrzemy do domu, okej? – przemówiła w końcu.

– Musimy kupić nowe bilety na jutro. Poproszę Mihaila, żeby pożyczył nam telefon. No i mam zamiar zadzwonić do Wojtka – powiedziałam stanowczo.

– Ja w tej sytuacji też muszę powiadomić rodzinę, że będę dzień później – powiedziała Mańka.

Baśka chyba nie czuła takiej potrzeby, ale nie protestowała. Wiedziała, że sytuacja jest poważna.

Mihail wyciągnął telefon z kieszeni i mi go podał. Poczułam ekscytację, że za chwilę będę mieć kontakt ze światem zewnętrznym, gdy zauważyłam, że aparat jest rozładowany.

– O, przepraszam, nie zauważyłem. Nie zdążyłem go naładować po powrocie ze szpitala. Tyle się działo – powiedział. Czytaj: „Po co ja zaprosiłem do siebie te diablice z Polski?”. – A wygląda na to, że nigdzie nie ma prądu. Po burzy to u nas bardzo częste.

To był moment, kiedy zapragnęłam wybuchnąć bardziej niż Etna. Już prawie witałam się z gąską, a dokładniej z gąsiorem Wojtkiem, już oczami wyobraźni byłam w samolocie do Polski, a tu znów strzał między oczy.

– Zostaniemy w tej rumuńskiej dupie do końca życia. Już mi ręce, gacie i cycki opadają. Mam dość, naprawdę – krzyknęłam impulsywnie.

– A powieki? – zapytała Mańka, chcąc rozładować atmosferę.

– Też zaczęły – powiedziałam obrażona na życie, aczkolwiek kąciki ust lekko mi się uniosły.

Do końca drogi jechałyśmy w ciszy. Żadna z nas nie miała nic mądrego do powiedzenia, czyli dzień jak co dzień. Intensywnie myślałam, co dalej, że chyba Mihail w tej sytuacji będzie musiał nas zawieźć w ciemno na lotnisko i będziemy tam koczować w oczekiwaniu na samolot. Jestem już za stara na takie atrakcje!

Z drugiej strony cały czas miałam przed oczami zupełnie inną Lucy, niż do tej pory znałam – gdzie się podziała wielka dama z ekskluzywnego osiedla, otaczająca się tym, co ładne i wygodne? Przecież nieźle musiała zmarznąć w tych szmatkach!

Weszłyśmy do pogrążonego w ciemności domu. Tylko gdzieniegdzie paliły się świece. Mihail miał rację – nie było prądu. Wzięłyśmy parę ogarków i poszłyśmy do pokoju. Na chwilę odłożyłyśmy kombinowanie powrotu do Polski.

Lucy wiedziała, że wszystkie czekamy na wyjaśnienia. Zdjęła buty, szybko schowała do walizki swój popołudniowy wstyd w postaci seksownej bielizny i usiadła na łóżku. Głowę miała spuszczoną, długie włosy zakrywały jej twarz.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam – zawahała się. – Nie wiecie o mnie wszystkiego.

– Co do tego już mamy pewność – odezwałam się.

Lucy bawiła się palcami.

– Bardzo się wstydzę...

– Wstyd to kraść i z dupy spaść. – Baśka chciała jej dodać otuchy.

– Dziewczyny... – powiedziała Lucy. – Jestem dominą – wydusiła z siebie w końcu.

– Jakie domino? – zareagowałam nerwowo, nie usłyszawszy, co powiedziała. Cholerne zatyczki do uszu!

– Dominą – powtórzyła już pewniej, zrzucając z siebie cały ciężar.

W pokoju nastąpiła głucha cisza. Nie wierzyłam w to, co usłyszałam. Dziewczyny chyba też nie.

– Lucy, serio? – zapytała Mańka.

– Tak – odpowiedziała po cichu.

Nie wiedziałam, jak mam zareagować. Czułam się oszukana. Ze wszystkich dziewczyn byłam z nią najbliżej i miałam wrażenie, że naprawdę mówiłyśmy sobie bardzo dużo.

– Czyli to oznacza, że zasadzasz się na panów z pejczykiem i mówisz do nich: „Liż me stopy niegodny ekskremencie”? – chciała doprecyzować Mańka.

– No tak mniej więcej – odparła Lucy.

– Dlaczego nigdy nic mi nie powiedziałaś? – zapytałam wprost. Przyjaciółka nie chciała spojrzeć mi w oczy.

– Było mi głupio. Przykładna matka, żona, trójka klasowa, społeczniczka, a tu o, w wolnym czasie przebiera się w lateksy, poniża facetów i jeszcze mi za to płacą – powiedziała szczerze.

Rzeczywiście była to dość nietypowa forma spędzania wolnego czasu. Co tam moja nudna salsa przy takich fajerwerkach.

– Ale dlaczego? Przecież masz wszystko – powiedziała Baśka.

– Myślisz, że mam wszystko? Chyba wszystko i nic. Najpierw życie pod linijkę w domu rodzinnym bez prawa głosu, a teraz złota klatka. Wiecznie

sama, choć niby wokół tyle ludzi. A dla Marcina jestem po prostu przezroczyista!

– Ta klatka była akurat metalowa – doprecyzowałam.

– Wpadłam kiedyś, wertując internet z nudów, na jakąś grupę i zaczęłam o tym czytać. I tak to się zaczęło – kontynuowała Lucy

– A Marcin wie? – zapytałam.

– Nie.

– Lucy, jesteś dla mnie największym zaskoczeniem *ever* – powiedziała ciepło Mańka.

Do mnie nadal nie docierały jej słowa. Musiałam to sobie jakoś poukładać w głowie. Wydawało mi się, że znam ją jak własną kieszeń, a jednak tak nie było.

– Ale jak to się stało, że znalazłaś się u tego rumuńskiego typa? – zapytałam, skoro miałyśmy wieczorek coming outu.

Znów spuściła głowę.

– Cały wyjazd czułam się odpowiedzialna za tę pomyłkę z biletami. Gdy nadszedł dzień powrotu, chciałam stanąć na wysokości zadania i coś zrobić. Wpadłam na pomysł, że pójde do niego i poproszę o pomoc.

– O jaką pomoc? Poza tym mogłyśmy iść z tobą – stwierdziła Baśka.

– Nie mogłyście, bo chciałam iść z tym. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej telefon.

– To twój? – zapytałam, wybałuszając oczy.

– Tak. Miałam go przez cały czas. Kapnęłam się w drodze na lotnisko, że zapomniałam zostawić go w domu. A chciałam być fair w stosunku do was i go nie używać.

– Czyli naprawdę słyszałam jakieś pikanie i wcale mi się nie wydawało – połączyłam fakty.

– No tak. Poszłam więc do niego, żeby naładować ten cholerny telefon. Widziałam, gdy nas podwoził, że ma taki sam. Chciałam wam zrobić

niespodziankę i załatwić transport. Miałam w planie zamówić taksówkę, żeby bez żadnych przygód dojechać na lotnisko.

– Taksówkę w tej dziurze? – zakpiłam.

– Niestety nie udało się, nikt nie chciał tu przyjechać tak od ręki – kontynuowała. – No to poprosiłam tego Gonza, aby nas zawiózł.

– Ale jak to się stało, że zaczęliście to robić? – dociekałam, nie wiedząc dokładnie, jak nazwać ten rodzaj aktywności. Owszem, ja też lubię pokrzyknąć na Wojtka, ale niekoniecznie zamykam go wtedy w klatce. Może będę musiała zmienić nawyki...

– To była transakcja wiązana. Może i był miły, ale przebiegły. Chciał nam pomóc, ale coś za coś. Gdy ładowałam telefon, kątem oka zauważyłam to pomieszczenie. No i dalej już widziałyście.

– Bardzo to szlachetne, ale dlaczego w końcu po nas nie przyjechałaś? – zapytała Baśka.

– Jakoś nie zauważyłam, że ten czas tak szybko minął. No a potem to już wy wpadłyście – powiedziała szczerze.

No tak – cała Lucy!

Teraz to już nie wiedziałam, z jakiego powodu mam być bardziej wkurzona – czy przez ukryty telefon, który wielokrotnie uratowałby nam dupę, tajemnicę dominy, czy przez to, że była taka zakręcona. Szybko jednak przypomniałam sobie, jak sama w akcie desperacji chciałam wysłać po kryjomu maila do Wojtka. Jak Lucy – też w dobrej wierze.

– Widzisz, Asiunia, tyle razy proponowałam ci zabawę w rolnika i brudną świnkę – rzuciła Mańka. Uśmiechnęłyśmy się.

– Dziewczyny, myślę, że trzeba się napić – stwierdziła nagle Baśka, wyciągając spod łóżka jakąś butelczynę.

I to chyba było najlepsze, co tego wieczora usłyszałam. Wzięłyśmy po dużym łyku. Momentalnie poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie i zmienia spojrzenie na świat.

– Pewnie mnie teraz potępiacie? – zapytała nieśmiało Lucy.

Zapadła cisza. Chyba każda układała sobie w głowie odpowiedź.

– Wiesz co, jestem na ciebie mega zła, bo zataiłaś to przede mną – powiedziałam szczerze. – I zszokowana, bo inaczej cię do tej pory postrzegałam.

– A co, miałam tak paradować na zebraniach? – zapytała.

– No mogłabyś, na przykład przed nauczycielem od biologii. Być może przestałby ich tak cisnąć – uśmiechnęłam się. Lucy też.

– To ja bym cię jeszcze zaprosiła do dyrektora szkoły moich dzieci – podłapała Mańka. – Jest wyjątkowo pierdolnięty. Może przeszłoby mu ciśnienie.

– A nie czujesz się dziwnie wobec męża? – zapytała Baśka.

– Codziennie mam wyrzuty sumienia, ale on jest zajęty swoim światem. A ja, gdy to robię, choć na chwilę czuję się dla kogoś ważna. Już od dłuższego czasu zastanawiam się, co z tym zrobić.

– Ale się porobiło. – Nie mogłam się otrząsnąć.

– Niech rzuci kamieniem ten, kto nie ma nic za uszami – powiedziała Mańka filozoficznie.

– Obawiam się, że stoczyłaby się cała lawina – stwierdziła Baśka.

I miała rację. Za długo już żyjemy, żeby wierzyć w bajki, królewny i czarno-biały świat, aczkolwiek historia Lucy była naprawdę dużego kalibru.

– Każdy ma w swoim życiu coś, czego się wstydzi. – Chciałam dodać jej otuchy. – Na przykład ja. Kiedyś w ciąży jechałam autobusem. Otworzyłam sobie okno, bo było mi niedobrze, ale jakaś kobieta zwróciła mi uwagę, że jest jej bardzo zimno i się przeziębi. No to zamknęłam, ale tuż po tym porzygałam się na środku pojazdu.

– Przynajmniej pani nie dostała kataru – zauważyła Mańka, śmiejąc się głośno.

– Dziewczyny, kocham was – powiedziała nagle Lucy. – Nawet nie wiecie, jak mi teraz dobrze. Nie wiem, co będzie dalej, ale przynajmniej nie jestem już z tym sama.

– No dobra, ale musisz obiecać, że pożyczysz nam strój rolnika i brudnej świnki – powiedziałam z radością.

– Wrr, wrr, wrr, ja będę rolnikiem, dobra? – Mańka podrapała mnie po ramieniu.

– To może i ja się załapię jako drugi wieprz. – Baśka weszła w naszą retorykę.

– Dziewczyny, przestańcie – śmiała się Lucy. – Mogłam się domyślić, że tak z wami będzie.

Atmosfera zdecydowanie się rozluźniła. Być może pod wpływem pustej już butelki. Nagle do pokoju zapukał Mihail.

– Mama zaprasza was na kolację. Nadal nie ma prądu, więc zrobimy grill na dworze – powiedział.

– Baśka, ty nigdzie nie idziesz – zastrzegłam. – Znowu coś zmajstrujesz.

– Daj nam jeszcze chwilę i zaraz przyjdziemy, okej? – Baśka zignorowała moje słowa. – No dobra, Lucy, dawaj ten telefon i kupmy w końcu te cholerne bilety, bo rzeczywiście stąd nie wylecimy – dodała.

Dziewczyny zaczęły szukać lotów.

– Są na jutro, ale bardzo drogie – zasmuciła się Lucy.

– Chyba już nie mamy wyjścia. Nie zostanę tu ani jeden dzień dłużej – oznajmiłam.

– Czyli jednak sprawdza się, co powiedział mój ojciec: są wakacje, musi być drogo i źle – przypomniała Baśka.

– Pamiętacie, dokąd lecimy? WARSZAWA. Możecie powtórzyć? – zapytała Mańka asekuracyjnie.

– WAR-SZA-WA – powtórzyła Lucy.

– *Warsaw* w Polsce, bo jest jeszcze w Stanach. Tym razem już nie pomylicie. – Spojrzałam na nią błagalnym wzrokiem.

Dziewczyny poklikały coś w telefonie.

– Zrobione, a teraz chodźmy coś zjeść – zaproponowała Baśka.

– To ja do was dojdę, tylko zadzwonię do Wojtka, okej?

– Biorę telefon po tobie – szepnęła na odchodne Mańka.

Drzwi się zatrzasnęły, zostałam sama. Czułam lekki stres, a może ekscytację. I chyba miałam wyrzuty sumienia. Bałam się, co usłyszę przez telefon. Zaczęłam wybierać numer do Wojtka. Kurwuniu, znów to samo. Zapomniałam. Kto mu kazał ostatnio zmieniać? Nerwy już mi puszczały, aż tu nagle zobaczyłam w kontaktach Lucy: WOJTEK ASI. O, ucieszyłam się, że ona też tak zapisuje. Mam już w telefonie „Krysia mama Zuzi”, „Konrad tata Bruna” czy „Artur od pani Bożeny”. Ale kto to jest, nie mam pojęcia.

Wybrałam ten kontakt z nadzieją, że to mój mąż. Po chwili ktoś odebrał.

– Cześć, Lucy – usłyszałam głos Wojtka.

– Kochanie, to ty? – zapytałam.

– Nie wiem, co na to Asia, ale miło, że tak mówisz – usłyszałam kokieteryjny ton.

– Wojtek, to ja, Asia, w sensie: twoja żona.

– Kotek! Gdzie jesteś, już wylądowałyście? – zapytał zadowolony. – Właśnie się po ciebie szykowaliśmy.

– Nie, tak, to znaczy nie będzie nas dzisiaj w Warszawie, bo miałyśmy tu pewne zawirowania. Przylatujemy jutro.

– Aha, ale wszystko dobrze?

– W sumie tak.

– A dlaczego dzwonisz z numeru Lucy? Macie jednak telefony i nie odezwałaś się do mnie przez ten cały czas?

– Nie, nie miałyśmy. To znaczy Lucy miała, ale dopiero dzisiaj nam o tym powiedziała.

– A to spryciuła.

– Opowiem ci wszystko w domu, okej? Teraz za bardzo nie mam jak. Zadzwoniłam, bo chciałam cię uprzedzić, żebyś się nie martwił. Będziemy jutro.

– To mama? – usłyszałam w tle głosy dzieciarni.

– Tak.

– Mamuuuś, kiedy wracasz? Bo my tu bardzo za tobą tęsknimy. Tata robił niedobre jedzenie. – To był Piotruś, który przejął aparat.

– Nieprawda, tylko ty jesteś niejadek! Oddaj mi już mamę – mówiła Kasia.

– Zostaw ten telefon, teraz ja rozmawiam. – Bez wątpienia po drugiej stronie słuchawki odbywały się zapasy.

– Oddajcie aparat, proszę. Kotek? No widzisz, dzień jak co dzień. Wracaj do nas szybko, bo mam już dość – śmiał się mężu. – Na pewno wszystko dobrze? Bo masz taki dziwny głos.

– Dobrze, tylko jestem trochę zmęczona.

– No tak, babski wyjazd. Chyba wam to spa nic nie pomogło.

– Nie bardzo. Okej, do jutra – odpowiedziałam i się rozłączyłam.

Jak bardzo chciałam być już z nimi. Wszyscy żyją i chyba sufit im na głowę nie spadł podczas mojej nieobecności. Czyli jednak się da? Machinalnie chciałam zadzwonić od razu do Kryśki i zapytać, co w pracy, ale do niej to już zupełnie nie pamiętałam numeru.

Ubrałam się i wyszłam na dwór. Przed domem paliło się wysokie ognisko, przy którym siedziały dziewczyny i domownicy. Ogień oświetlał masywne kontury gór. Usiadłam obok. Gdy Mańka mnie zobaczyła, od razu pobiegła zadzwonić do swoich bliskich.

– Wszystko w porządku? – zapytała Baśka.

– Tak, o dziwo – powiedziałam.

– Widzisz, trzeba czasem puścić.

– Chyba parę z ust.

– Sznurki, wariatko. I życie kręci się dalej.

Lucy siedziała wpatrzona w ogień. Uznałam, że potrzebuje czasu dla siebie i nie chciałam jej go zakłócać.

Mihail przysiadł się do nas.

– Jeśli chodzi o Lucy, to nie tak, jak myślisz – powiedziała do niego Baśka, chcąc jakoś ją wytłumaczyć.

– Nie chcę oceniać – odpowiedział zamyślony.

– Taki Borat z lasu, a jednak kumaty – szepnęłam do Baśki.

Mihaila wzięło na zwierzenia.

– Parę lat temu byłem zupełnie w innym miejscu. Mieszkałem w Bukareszcie, pracowałem w korporacji w wielkim szklanym budynku.

– To dlatego mówisz tak ładnie po angielsku – wtrąciła Baśka.

– Jeszcze po francusku i włosku. Jak na Borata to chyba nieźle. – Wychylił się z uśmiechem w moją stronę.

Psia mać, musiał to usłyszeć i wydedukować, że o nim mowa. Ach te nasze niewyparzone gęby!

– Byłem królem życia – kontynuował Mihail. – W Bukareszcie poznałem matkę dziewczynek. Zabawa, używki i nieplanowana ciąża. Czułem się kompletnie nieprzygotowany i nie chciałem tego. Gdy dziewczynki się urodziły, próbowaliśmy to jakoś posklejać, ale było ciężko. I nagle okazało się, że ich matka jest nieuleczalnie chora. Zostałem sam z małymi dziećmi. Mój świat się zawalił. Postanowiłem przenieść się tutaj dla dobra dziewczynek, no i pomóc starszym rodzicom. Dlatego nigdy nie oceniam, bo każdy ciągnie swój worek.

– Albo karton ze zdechłym psem – rzuciłam w eter po polsku.

– I nic nie można planować, bo zazwyczaj życie ma dla nas coś innego – podsumował.

Spojrzałyśmy na siebie z Baśką.

– No to teraz pojechał – szepnęła przyjaciółka.

– W życiu bym nie pomyślała. Kiedyś firmowy garnitur, a teraz gumiaki jak u Bora... znaczy się po prostu gumiaki – poprawiłam się szybko.

– No właśnie. Nie wyglądał na takiego! – uznała Baśka.

Do ogniska dołączyła Mańka.

– I jak tam? – zapytałam.

– Wszyscy żyją, ale już zdążyli mnie zirytować. Chłopcy powiedzieli, że któregoś dnia po treningu przyszedli po nich Paweł i Robert, którzy prawie się pobili. Dasz wiarę? Gorzej niż z dziećmi.

– Maniuchna, od przybytku głowa nie boli – uśmiechnęłam się.

– I Robert mi wyjeżdża, że będą czekać z kolacją, jak wrócę.

– To chyba miłe.

– Dlaczego się tak nie starał, gdy byliśmy razem? Sama nie wiem. Od jutra będę się nad tym zastanawiać.

– Dziewczyny, jak wam się podobało w Rumunii? – zapytał Mihail.

– To piękny kraj – odpowiedziała Mańka.

– Macie pyszne jedzenie – dodała Baśka.

– I są tu wspaniali ludzie, bardzo otwarci. – Nie chciałam być gorsza od przyjaciółek.

– Choć trochę szaleni. – Nasz gospodarz uśmiechnął się szeroko. – A właśnie, coś sobie przypomniałem. Rozmawiałem z Gabrielem, u którego dzisiaj byliśmy. Gdy się okazało, że wszystko w porządku i już wyszedł z klatki, przeprosiłem go, że wpadliśmy tam znienacka dużą grupą.

Lucy spuściła wzrok.

– I opowiedział mi dziwną historię.

– Patrz, to on jednak nie ma na imię Gonzo. A tak do niego pasowało – szepnęłam do Mańki.

– Wyobraźcie sobie, że ktoś podrzucił mu do budy psa, którego pochował dzień wcześniej w lesie, tu niedaleko nas. Zwierzę zdechło po długiej chorobie. Rano Gabriel wstaje, a pies leży w budzie i wygląda, jakby po prostu spał.

– Słyszycie to? – Byłam nieźle spanikowana.

– Gabriel wpadł w szal i przyjechał do nas, myśląc, że ja to zrobiłem, bo nie byliśmy w najlepszych stosunkach. Zresztą on z nikim nie żyje dobrze. Ale na szczęście mnie nie było wtedy we wsi, więc nakrzyczał na mojego tatę. Ten pies był jego ukochanym pupilkiem. Chodził za nim wszędzie.

Spojrzałyśmy wszystkie po sobie.

– To jednak nie psy go zagryzły! Musiały go łachudry wykopać! – powiedziała Baśka do mnie.

– Oesuu, a ja tak go szorowałam. – Patrzyłam tępo na dziewczyny.

– Aż mnie bolą nogi, jak sobie przypomnę, ile musiałyśmy dymać z tym korowodem pogrzebowym, a on tak po prostu umarł sobie wcześniej i nas nie poinformował? – zbulwersowała się Mańka.

– Gabriela nikt nie lubi, ale jakim trzeba być draniem, żeby zrobić coś takiego? – zastanawiał się Mihail.

Mówiąc ściślej, drańkami – teraz taka moda na feminitywy – które cały dzień przygotowywały się do tego niecnego czynu.

– Dziewczyny, musimy stąd jak najszybciej spadać, póki mają o nas jeszcze w miarę dobre zdanie – rzuciłam.

– Akurat, zwłaszcza o mnie – odezwała się Lucy.

– Wiesz co, pszczoły nie tracą czasu na wyjaśnianie muchom, że miód jest lepszy niż gówno – palnęła Baśka.

– Zawsze możemy powiedzieć, że w Polsce w lateksach i z pejczem przygotowujemy obiady. Taka świecka tradycja. Przecież nie sprawdzą – dodała Mańka.

Ognisko powoli dogasało, aż w końcu zaczęło się tlić. Wszyscy wróciliśmy do domu. Baśka jeszcze zadzwoniła do ojca, a Lucy chyba esemesowała z Marcinem. Ten dzień przyniósł tyle emocji, że padłyśmy jak dzieci przed jutrzejszą podróżą.

Rozdział 14

– Matko, jaki tu porządek! – To było pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, gdy przyjechaliśmy z lotniska do naszego mieszkania. Rodzina z ekscytacją oczekiwała na mój powrót i to było naprawdę bardzo miłe.

Poczułam znajomą domową woń, która kojarzyła mi się z przyjemnością. Pod moimi nogami wylądował wniebowzięty ze szczęścia pies. Nie ma na świecie drugiego osobnika, który tak się cieszy na mój widok. Rzuciłam okiem, czy wszystko jest na swoim miejscu. Było. Poszłam do kuchni, ale nie miałam się do czego przyczepić. Czyli jednak da się bez mamy i żony.

– Staraliśmy się – powiedział zadowolony mąż.

– A tak szczerze, to kiedy posprzątaście? – dopytywałam podejrzliwie.

– Wczoraj wieczorem – przyznał się Piotruś.

– A wcześniej był burdel – palnęła Kasia.

– Kasiu! – upomniałam córkę.

– No dobra, bałagan.

Nagle zauważyłam coś na podłodze.

– Kochani, zapomnieliście o tym slimie. Zaraz będzie plama na podłodze. – Schyliłam się i wzięłam glutka do ręki, ale zaczął przeciekać mi przez palce. – Co to jest?! – krzyknęłam przerażona.

– Fuuu, jak śmierdzi. To kupa psa! – powiedziała Kasia.

– Cholera jasna, a mówiłem, że macie wyjść z Lilly na dwór! – zdenerwował się Wojtek.

– Kasia miała iść! – bronił się Piotrek.

– Nie, ty miałaś iść, ja byłam wczoraj! – tłumaczyła się Kasia.

– Zawsze wam powtarzam, że pies musi wychodzić codziennie parę razy! – przypomniał im mąż.

Stałam z garścią pełną rzadkiej psiej kupy i zastanawiałam się, jak dobiec do zlewu, żeby było jak najmniej strat.

– Otwórzcie okna – zarządził mąż i pobiegł po szmatę.

– Zaraz puszcę pawia – pisnął Piotrek i uciekł do swojego pokoju. Kasia poszła w jego ślady. Niestety zawartość mojej dłoni była już na podłodze.

– Witaj w domu, kochanie! Rzekłbym: masz babo placek. – Wojtek śmiał się do rozpuku, a ja razem z nim. To było błyskawiczne przestawienie się z trybu wakacyjnego na domowy i powrót do prawdziwego życia, o którym mówiła Baśka.

– Muszę zadzwonić do Kryśki – powiedziałam.

– Naprawdę? Chcesz w sobotę zawracać jej tylek pracą? – zapytał, ale po mojej minie szybko zrozumiał, że nie odpuszczę. – No tak, przecież ty nie wytrzymasz.

Kryśka nie odbierała. Napisałam do niej, że już jestem i widzimy się w poniedziałek.

Wieczorem opowiedziałam Wojtkowi, jak to się stało, że wylądowałyśmy w rumuńskiej wsi.

– Ja już cię więcej nigdzie nie puszcę – skwitował.

– Sama też się nie puszcę.

– Dziwnie to zabrzmiało. Mam nadzieję, że byłaś grzeczna. A ten Mihail to cię nie podrywał?

– Nie, no co ty. Jedyne mężczyzna, z którym spałam, to Teodor.

– Słucham?! – Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Zaczęłam się śmiać.

– To wesoły osiemdziesięciolatek, który pomylił pokoje i zwał nam się nad ranem do łóżka.

To było pociągające zobaczyć w oczach męża po tylu latach zazdrość. A Mihail – cóż. Może kiedyś, w innych okolicznościach. Teraz marzyłam o pójściu do łóżka w zupełnie innym celu.

W poniedziałkowy poranek wszystko w moim życiu już całkowicie wróciło do normy.

– Nie idę do szkoły, nie mogę znaleźć buta – usłyszałam od syna.

– Jak go nie znajdziesz, to pójdziesz boso – mówiłam powoli dla zachowania równowagi psychicznej.

– Nie mogę, bo będę chory – wymądrzał się młodzieniec.

– Widziałaś może mój worek z rzeczami na wuef? – zapytała w pośpiechu Kasia.

– Chciałam tylko przypomnieć, że nie było mnie prawie tydzień w tym przybytku – oznajmiłam.

Kasia stanęła w drzwiach i w dziwny sposób wyciągnęła ręce przed siebie.

– Co robisz, kochanie? – zdziwiłam się, bo być może w czasie mojej absencji nastąpiły jakieś inne obyczaje.

– Telekineza.

– Słucham?

– Próbuję przyciągnąć ten worek siłą umysłu – wyjaśniła Kasia. – Nastka ze *Stranger Things* też tak robi.

No tak, wszystko jasne! Serial nadal rządzi.

– A siła mojego umysłu zaraz was migiem stąd wyrzuci i od razu znajdziecie się pod szkołą. Sio mi z domu, bo się spóźnicie!

W końcu przyległości z większymi lub mniejszymi brakami opuściły dom. Spojrzałam na zegarek. Było za późno, żeby jeszcze iść spać, a za wcześnie, żeby żyć. Zrobiłam sobie kawę i usiadłam przy stole. Chwilę później zjawił się Wojtek.

– Dobrze, kochanie, że już wróciłaś. – Pocałował mnie czule. – Codzienne ogarnianie tych bestii w pojedynkę, zwłaszcza rano, to niezła batalia. I jeszcze te cholerne obiady.

– No popatrz. A ostatnio mówiłeś, że dzielimy się wszystkimi obowiązkami i ja dodatkowo tylko gotuję.

– Tak mówiłem? – Potarł czoło.

– I tylko ogarniam jeszcze sprawy szkolne.

– Dobra, dobra, odwołuję – poddał się. – Dużo tego jak na jedną osobę.

– Dlatego jest nas dwoje – powiedziałam z uśmiechem i rzeczywiście poczułam moc tych słów, bo natychmiast pomyślałam o Lucy.

Tego dnia w biurze byłam pierwsza. Otworzyłam komputer i ściągnęłam korespondencję. W lot pojęłam, dlaczego wyjazdy nie mają większego sensu. Potem trzeba wszystko nadrobić w przyspieszonym tempie.

Do pokoju weszła Kryśka.

– No czeeeść! – powitała mnie serdecznie. – I jak się udał babski wypad?

– Hm... Było intensywnie i nieprzewidywalnie.

– Ha, to znaczy?

– To znaczy, że wylądowałyśmy w głębokiej rumuńskiej dupie.

– Serio? W Rumunii? A miało być ekskluzywne spa w Budapeszcie!

– Widocznie słowo „ekskluzywny” do nas nie pasuje. – Przypomniałam sobie nasz niewielki pokoik rodem z epoki Ceaușescu. Opowiedziałam jej pokrótce, co się działo, bo robota wzywała. Po jakimś czasie wparowała do nas szefowa.

– O, już jesteś! Wpadniesz do mnie? – zapytała. – Chciałam pogadać.

Ciekawe, co to oznaczało – mam już oddać fartuch i pakować karton? To była pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy.

– I jak, odpoczęłaś? – zapytała Dorota z uśmiechem, gdy zjawiłam się w jej biurze. – Pamiętasz, że niedługo ruszamy z filmem fabularnym?

– Tak, odkopuję się z maili i ostro zaczynamy działać – odpowiedziałam niczym żołnierz. Czyli jednak nie chce mnie pogonić.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. – Cholera, jednak chce.

– Tak? – Głos mi zadrzał.

– Znalazł się sponsor i film w końcu ma być realizowany na Bali.

– Na Bali? – zdziwiłam się.

– Tak, w Indonezji. Bosko, prawda? – Dorota sama była zachwycona. – Ty tak lubisz podróżować.

– Wspaniale – odpowiedziałam mechanicznie.

– Trzeba będzie pojechać wkrótce na dokumentację. No i w nowym roku zdjęcia będą na miejscu, pewnie przez jakieś dwa miesiące – dokończyła.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Z jednej strony oferta była wymarzona, a z drugiej jak ja mam to zrobić? Przecież mam rodzinę.

Wróciłam do swojego biura.

– Bali – mruknęłam.

– Co „Bali”? – Kryśka wyglądała na zbitą z tropu.

– Zdjęcia do nowego filmu mają być na Bali.

– Coś ty? Serio? Ale zajebicie! – ucieszyła się.

– No nie wiem. Mam męża, dzieci.

– Ale wiesz, to niezłe wyzwanie – zachęcała Kryśka.

Nie powiem, może i tak, ale czy nie mogło się pojawić, kiedy byłam wolnym człowiekiem? Przypomniałam sobie widok rumuńskich gór i wszechobecnego spokoju. Przecież ci ludzie jakoś żyją bez tego cholernego pościgu.

W pocie czoła nadrabiałam zaległości, patrząc co chwila nerwowo na zegarek. W domu mam przecież drugi etat. Na dworze było już ciemno, gdy wyszłam z biura.

Kiedy wracałam do domu, zadzwoniłam do Mańki.

– Maniunia?

– Asiunia?

– Co tam u ciebie? Nawet nie mamy czasu się spotkać – powiedziałam smutno.

– U mnie znowu szara rzeczywistość. Wczoraj młodszy syn pakuje mi się do łazienki, patrzy na mnie podejrzliwie poniżej pasa i pyta: „Mamo, a jak będę duży, to też będę miał taką sierść jak ty?”. Wyobrażasz sobie gówniarza?

– W tej chwili to bardziej twoją szczecinę.

W głośniku usłyszałam jakieś trzaski.

– Mańka, co ty tam robisz? – Po drugiej stronie trwała walka z materia. – Maaańkaaa – nawoływałam.

– Zaczekaj. Niech to szlag trafi! – przyjaciółka dawała wyraz swojej dezaprobacie, a ja czekałam cierpliwie na rozwój sytuacji. Stukom i trzaskom nie było końca. – Już! Chyba wyłączyłam zestaw głośnomówiący. – W końcu Mańka uporała się z przebiegłym sprzętem atakującym panie w średnim wieku.

– Nareszcie! Co jeszcze poza sierścią?

– Paweł nawalił.

– Co ty opowiadasz?

– Umawialiśmy się, że wpadnie, jak wrócę z Rumunii, ale nie przyszedł.

– A już myślałam, że u ciebie seks, dzikie harce i tak dalej.

– Dupa błada – zasmuciła się Mańka.

– Nie wnikam, kochana, w wasze preferencje seksualne.

– Dupa błada ze spotkania. Teraz jest mój tydzień bez dzieci. Czekałam i nic. On też jest teraz bez wrzeszczunów.

– A jak się tłumaczy?

– Dość enigmatycznie, że wyleciało mu z głowy. Przecież nie widzieliśmy się tyle czasu.

– Hmm, to trochę dziwne, nie uważasz?

– No właśnie. Dlaczego z tymi facetami nie może być nigdy normalnie?

– Świat nie zna odpowiedzi na to pytanie, moja droga.

– A wiesz może, co u Lucy?

– Nie, jeszcze z nią nie gadałam. – Po rewelacjach w Rumunii sama byłam ciekawa, co u niej. Może rozpoczęła już nowe życie, a my nic o tym nie wiemy?

Kolejne dni minęły jak z bicza strzelił. Znow zaczęłam pędzić jak szalona. Chyba nie umiałam zwolnić, a może nie chciałam?

Pewnego popołudnia, gdy byłam w ferworze ogarniania codziennego domowego szaleństwa, usłyszałam dzwonek domofonu.

– Mamo, kto to może być? – Piotrek spojrzał na mnie podejrzliwie. Takie czasy, że człowieka zaskakuje kontakt społeczny w innej formie niż przez komórkę.

– Halo? – Też byłam ciekawa, kogo przywiało do nas w środku tygodnia.

– Cześć, tu Baśka.

Zdziwiłam się, ale też ucieszyłam.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Rozejrzała się po mieszkaniu. – Ja tylko na chwilę. Byłam obok w sklepie odebrać przesyłkę.

– Nie przeszkadzasz. Wojtka i Kasi nie ma, a ja się krzątam. Dzień jak co dzień. – Wskazałam szmatę, którą dzierżyłam w dłoni jak rasowa pani domu. – Co u ciebie, kochana? Jak po powrocie?

– Powoli do przodu. Macie pozdrowienia od Mihaila. Pisałam do niego, bo chciałam się upewnić, czy z mamą wszystko w porządku. Na szczęście ma się dobrze – uśmiechnęła się.

– No to możesz już być spokojna i zamknąć ten rumuński temat.

– Niby tak – rzuciła pod nosem.

– A co u szanownego tatusia?

– Cieszy się doskonałym zdrowiem.

Do kuchni wpadł podekscytowany Piotrek, przerywając naszą rozmowę.

– Mamuś, co to są owsiki? – zapytał bezceremonialnie.

- A skąd to pytanie, kochanie?
- Kolega się chwalił w szkole, że ma.
- Kotku, wytłumaczę ci później, bo w tej chwili jest u mnie gość.
- A my też mamy?
- Nie, nie mamy i nie zapraszaj na razie tego kolegi do domu, okej? – odpowiedziałam, sugestywnie drapiąc się po tyłku. Baśka parsknęła śmiechem. – Zobacz, ja mam takie atrakcje – oznajmiłam.
- Właśnie widzę. A co poza tym?
- Pamiętasz, jak mówiłam, że mam zrobić coś ekstra? To dostałam propozycję zrobienia nowego filmu fabularnego?
- Oho, czyli znowu skończy się zadyszka.
- Film ma być kręcony na Bali i do tego przez dwa miesiące.
- Na bogato. Jedziesz?
- Nie wiem, waham się, co robić. To jest zupełnie coś innego, niż bycie poza domem przez pięć dni. Muszę porozmawiać z Wojtkiem.

Okazja ku temu nadarzyła się wieczorem. Stwierdziłam, że nie mogę już tego dłużej odkładać.

- Kotek, jest sprawa – zaczęłam niewinnie.
- Czyli jednak ten facet, który wśliznął wam się w Rumunii do łóżka, nie był wcale starszym panem, tylko seksownym młodzieńcem? – zapytał żartobliwie Wojtek.
- Zgadłeś – powiedziałam śmiertelnie poważnie.
- Mąż wyprostował się.
- Cholera, coś czułem, bo jakaś taka zamyślona chodzisz! – Spojrzał na mnie zdenerwowany.
- Żartowałam! – przyznałam się, żeby go dłużej nie torturować.
- Świetny dowcip, naprawdę – powiedział lekko obrażony.
- Kochanie, rozmawiałam z szefową o tym nowym projekcie, pamiętasz?
- Wspominałaś coś przed wyjazdem.

– No to, że tak powiem, on się materializuje. Zapowiada się bardzo dużo pracy – mówiłam dość enigmatycznie.

– Czyli znowu hardkor? – W jego głosie słyszeć było troskę.

– Kotek, damy radę – powiedziałam niepewnie i celowo w liczbie mnogiej.

– Pewnie, że damy radę, ale nie chcę, żebyś się wykończyła. Zastanów się jeszcze nad tym, dobrze?

Prawdę mówiąc, nie robiłam nic innego, odkąd dostałam tę propozycję. Nie miałam jednak odwagi powiedzieć mu, że musiałabym wyjechać i to na tak długo. Na szczęście akurat zadzwoniła Lucy.

– Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale Rosa się rozchorowała, a miała zanieść jutro do szkoły jakieś materiały plastyczne dla całej klasy. Miałabyś możliwość po nie podjechać? – zapytała.

– Pewnie, daj mi chwilę.

Zebrałam się i wyszłam z domu. Wieczór był już naprawdę zimny. Na ulicy widziałam niewiele osób. Pewnie wszyscy siedzieli w domach, gapiąc się w niebieskie odbiorniki.

W mieszkaniu Lucy panowała cisza. Przywitałyśmy się serdecznie.

– Wejdiesz na chwilę? – zapytała.

Usiadłam przy dużym stole, który aż się prosił o gości. Tymczasem wiało od niego samotnością.

– Marcina nie ma? – Rozejrzałam się.

– Niedługo będzie. – Zawiesiła głos. – Tu są te rzeczy do szkoły. – Postawiła przede mną sporą torbę.

– Lucy, jak u ciebie? – zapytałam z pewnością w głosie, bo wyczuwałam, że chce pogadać.

– W sumie to nie wiem, ale odkąd wiecie o tym... i wsparłyście mnie, to jest mi na pewno lżej.

– Rozmawiałaś z Marcinem?

– Nie. On nadal nic nie wie.

– Nie boisz się, że to się wymknie spod kontroli? A jak już walnie, to nie będzie co zbierać.

– Oczywiście, że się boję, ale to nie jest wszystko takie łatwe. – Siedziała smutna.

– Kochana, przede wszystkim musisz sobie odpowiedzieć na pytanie, czego ty tak naprawdę chcesz, bo na dłuższą metę nie da się tak żyć – stwierdziłam. Przyjaciółka wbiła wzrok w podłogę.

– A ty co byś zrobiła na moim miejscu? – zapytała Lucy.

– Nie mam pojęcia, ale myślę, że najmniej powinnaś się przejmować opinią innych.

– Nawet przyjaciół?

– Tak, bo to twoje życie, a przyjaciele są od tego, żeby cię wspierać, jakkolwiek decyzję podejmiesz.

Lucy uścisnęła moją rękę.

– Ale wiesz, jak mi jakichś fajnych ciuszków do przebrania nie pożyczysz, to nie licz na mnie – uśmiechnęłam się. Lucy się rozchmurzyła.

Kiedy zbierałam się do wyjścia, akurat wszedł Marcin.

– O, cześć, Asia. Miło cię widzieć.

– Ciebie też – powiedziałam szczerze, bo rzeczywiście rzadko go można było spotkać.

Pieprzony wyjazd skomplikował nam wszystkim życie.

Rozdział 15

Tego dnia spadł pierwszy śnieg. Delikatny biały puch przykrył szare chodniki i od razu zrobiło się magicznie. Przynajmniej nie było widać psich kup. Oczywiście od razu mi się przypomniało, że nie mam wymienionych opon na zimowe. A mężu już w październiku o tym przypominał. Obdzwoniłam więc szybko zakłady wulkanizacyjne i rzecz jasna okazało się, że pół Warszawy postanowiło wymienić opony właśnie dzisiaj.

W końcu znalazłam warsztat aż obok Mańki, która mieszka w drugiej części miasta. Chciałam przy okazji wpaść do niej na chwilę. Powinna być już w domu. Nie myliłam się.

– Asiunia, co ty tu robisz? – zapytała.

– A przechodziłam.

– Z tragarzami?

– Raczej z oponami. Wymieniałam w warsztacie obok ciebie.

– Cześć, Asia – usłyszałam z łazienki męski głos. Spojrzałam na Mańkę pytająco.

– To Robert.

– Co takiego? Znowu mieszkacie razem?

– Nie, przywiózł chłopców z basenu i się zasiedział. Trochę się ścięliśmy na tematy wychowawcze i zdążył mnie zirytować, ale siedział dalej. Aż do teraz...

– No ale co robi w łazience? Zamknęłaś go za karę?

– Wylałam przed pralką szklankę wody i od dwóch godzin myśli, jak ją naprawić.

Wybuchłam śmiechem. Zdecydowanie muszę zapamiętać ten patent.

– Przynajmniej mam spokój.

Mańka zrobiła herbatę i usiadłyśmy przy stole.

– Opowiadaj, co z tym Pawłem, bo ciekawość mnie zżera.

– Mam pewne podejrzenia.

– Jakie?

– On chyba dziabie.

– Makrelo wędzona. Kogo dziabie? Też jakąś Tajkę?

– Niiieee, alkohol. Rozmawiamy sporo przez telefon, a on potem połowy z tego nie pamięta. Jak mu zwróciłam uwagę, że bełkocze, to powiedział, że jest zmęczony.

– Może chłop ma gorszy okres.

– Ja też takie miewam, ale chyba już nie czas, żebym to ja była holownikiem.

– A właśnie, à propos facetów, mamy pozdrowienia od Borata – przekazałam.

– O, jak miło. Masz z nim kontakt? Asiunia, ty nic nie kombinujesz?

– Daj spokój. Mało dram wokół? Za kogo ty mnie masz? Baśka z nim pisała.

– Przyznaj, miewałyśmy pomysły, a jak sobie pomyślę o Lucy, to już nic mnie nie zaskoczy.

– Moje cnoty niewieście są już ugruntowane – zastrzegłam.

– Naprawiłem – przerwał naszą rozmowę mokry po łokcie i dumny z siebie Robert. Musiałam odwrócić głowę, żeby się nie roześmiać.

– Widzisz, Mańka. Taki mężczyzna to skarb – powiedziałam z radością. Spojrzałam na nich – naprawdę trudno było zgadnąć, że nie są już razem.

Po powrocie do domu, o dziwo, zastałam Kamilę, naszą opiekunkę do dzieci.

– Umawialiśmy się na dzisiaj? – zapytałam, bo zaczęłam się martwić, że mam już zaniki pamięci.

– Nie, pan Wojtek do mnie zadzwonił – wyjaśniła.

Spojrzałam na męża podejrzliwie. Co on knuł?

– Kochanie, ubieraj się, wychodzimy – zarządził.

– Ale jak to? Dokąd?

– Nieważne, niespodzianka.

– Wiesz, że nie lubię niespodzianek.

– Niby nie lubisz, a potem jęczysz, że cię nie zaskakuję.

– Tak, ale...

– Trochę spontanu, kochanie – zachęcił.

Borze szumiący, człowiek to już nie pamięta, co to znaczy. W końcu uległam.

Założyłam ubranie w luźnym, niezobowiązującym stylu, zwane dressem, bo po dwóch latach pandemii moja garderoba zubożała. Mężu ku mojej uciechu zaproponował kino, a nie żadne balety w klubie, w którym pewnie młodzież mówiłaby mi „dzień dobry, proszę pani” i ustępowała miejsca do siedzenia. Jednak repertuar nie był zachęcający, więc uznaliśmy, że pójdziemy coś zjeść. Już, już miałam mu powiedzieć o szczegółach projektu, choć nadal nie wiedziałam, co mam zrobić.

– Jaki mamy plan na święta? – zapytał.

– Nie wiem. Musimy to teraz ustalić?

– Nie, ale wiesz, że zaraz rodzice zaczną dopytywać.

– To powiemy, że damy znać.

Stchórzyłam i znowu nie pisnęłam ani słówka o Bali.

Po miło spędzonym wieczorze ruszyliśmy do domu. Kiedy wjechaliśmy do garażu, spojrzałam na zegarek.

– Wojtek, jest dwudziesta trzecia piętnaście! – wykrzyknęłam.

– No i?

– Dzieci są pewnie w fazie zasypiania. A jak przyjdziemy, to zaczną ciągnąć nas za język i się rozbudzą.

– Czyli co, poczekamy w aucie? – Mężu czytał mi w myślach.

– Oczywiście, że tak! Odpal jakiś film na telefonie – poprosiłam. – A ja napiszę do Kamili, żeby dała znak, jak już zasną – dodałam przebiegle.

Rozłożyliśmy sobie wygodnie fotele i była to jedna z naszych lepszych randek w ostatnim czasie.

– Kocham cię, głupi gnoju – powiedziałam sama z siebie, a to niezmiernie rzadko mi się zdarza.

– Ja ciebie też. Powinni mi z PFRON-u dopłacać za ciężkie warunki w domu. Gdzie bym znalazł taką drugą niezrównoważoną wariatkę?

Jest duża szansa, że nigdzie. I może w tym tkwi nasza tajemnica?

Kilka dni później przy śniadaniu Wojtek znowu mnie zaskoczył, ale tym razem chodziło o coś innego.

– Kotek, Marcin do mnie pisał, że chciałby się spotkać wieczorem.

– Marcin, mąż Lucy?

– Tak, pójdę z nim na browarka, tak rzadko się widzimy.

– Nie tylko wy, Lucy też już zapomniała, jak on wygląda.

– Wiesz, jak to jest na takim stanowisku w korporacji – bronił swój swego. Ech, ta solidarność plemników.

– No właśnie nie wiem i nie chcę wiedzieć – zachnęłam się.

Skoro Wojtek miał wychodne, postanowiłam urządzić sobie wieczór sam na sam z książką. Jednak już przed północą usłyszałam chrobotanie klucza w zamku.

– Kochanie, co tak szybko? Wieczór się nie udał? – zapytałam, gdy mężu stanął w drzwiach sypialni. Nawet nie wyglądał na wstawionego. Usiadł na łóżku.

– Nie masz pojęcia, czego się dowiedziałem! – powiedział z powagą. Pewnie jak zwykle mnie w coś wkręcał.

– To znaczy?

– Jestem w szoku. – Kręcił z niedowierzaniem głową.

– No co? Marcin się przebranzawia z dyrektora finansowego i będzie teraz *drag queen*? – Akurat czytałam powieść o tej tematyce.

– Blisko!

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – Zaczęłam się denerwować.

– Nie uwierzysz. Lucy jest dominą. Rozumiesz? Do-mi-ną! – Wojtek aż podskakiwał na łóżku.

Nagle w drzwiach zobaczyłam zombie. A nie, to tylko Kasia.

– Mamo, zamawiacie pizzę z Domino's? – zapytała zaspana. To nie był dobry moment na tłumaczenia, dlaczego niektórzy ludzie lubią, jak depcze się po nich butami na obcasie.

– Kochanie, coś się stało? – Spojrzałam na córkę.

– Muszę do toalety – powiedziała i zniknęła.

– Szok, co? – Wojtek ciągle trawił to, co usłyszał. – Dlaczego nic nie mówisz?

– Bo ja o tym wiem – wyszeptałam.

– Jak to wiesz? – zdziwił się. – I nie pisnęłaś ani słowa?

– Nie chciałam i nie mogłam, Lucy mnie poprosiła.

Byłam w nie mniejszym szoku niż Wojtek, bo nie sądziłam, że przyjaciółka zdobędzie się na odwagę i powie o wszystkim mężowi.

– A co na to Marcin? – zapytałam z bijącym sercem.

– Wyprowadził się do hotelu. To świeża sprawa, musi to sobie jakoś teraz poukładać.

– No dobra, ale może coś mu doradziłeś? – drażyłam.

– Kotek, faceci trochę inaczej gadają. Co ja mu będę radził. Wysłuchałem go i powiedziałem, żeby nie podejmował żadnych nagłych decyzji. Przecież takie rzeczy nie biorą się bez powodu.

I tu zdecydowanie różnimy się od facetów. My byśmy już pewnie miały ułożone trzy drogi ewakuacyjne z rozrysowaną mapą przyszłości.

- Ale się porobiło – powiedziałam ze smutkiem.
- Wokół same rozwody, co? – zauważył Wojtek.
- No wiesz, my też mieliśmy swoje pięć minut – przypomniałam, że i u nas nie było kolorowo.
- Tak, i dlatego teraz chyba bardziej doceniamy to, co mamy – odparł filozoficznie. Nagle uśmiechnął się filuternie. – Ale wiesz, co jeszcze bardziej bym docenił?
- Tak?
- W marcu mam urodziny. Może zaprosimy Lucy? – roześmiał się.
- Wojtek, przestań! – Rzuciłam w niego poduszką.
- Aż żal nie skorzystać. – Był już w fazie głupiego humoru.
- Właściwie to sama ją prosiłam o wyuzdaną garderobę. – Puściłam do niego oczko.
- A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to odłóż tę książkę.
- Po co?
- Będę twoim piórem, a tym moim kałamarzem, wchodzisz w to?

Czas leciał, a ja ciągle nie powiedziałam Wojtkowi o moim potencjalnym wyjeździe. Pewnego dnia siedziałam zagrzebana po uszy w robocie, gdy nagle otworzyły się drzwi. To była Dorota.

- Mogę na chwilę? – zapytała.
- Pewnie, wchodź – uśmiechnęłam się.
- Asia, ruszamy pełną parą. W przyszłym tygodniu spotkamy się z reżyserem i szefami pionów. No i trzeba będzie pojechać na dokumentację. Ludzie na Bali już na nas czekają.
- Kiedy? – zapytałam krótko.
- Dwudziestego grudnia wylot, powrót pod koniec roku – powiedziała.
- Aha – wymamrotałam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.
- Ja wiem, że to święta, ale mamy mało czasu. – Szefowa czekała na moją reakcję. – Mam nadzieję, że uda ci się jakoś to poukładać.

Zajebiecie – pouklądać to ja sobie mogę puzzle albo bluzki w szafce. W życiu jednak nie jest to już takie łatwe.

Kiedy Dorota wyszła, Kryśka rzuciła:

– Ale ci zazdroszczę. Jak ja nie lubię świąt.

Ja za to traktuję je jako możliwość spędzenia czasu z rodziną. Nawet przy pizzy, ważne, że razem. No i moje dzieci uwielbiają święta. Czekają z utęsknieniem na prezenty jak komornik na telewizor.

– Stara, ominie cię to całe szaleństwo – ciągnęła Kryśka.

I tu akurat miała rację. Ale chyba już sporo chwil mnie ominęło. Na ostatnich trzech wakacjach z rzędu też wisiałam na telefonie, bo były zdjęcia. Znów miałam mętlik w głowie i to jeszcze większy.

Wieczorem z Mańką i Baśką postanowiłyśmy zrobić niespodziankę Lucy. Już trochę za długo była sama i uznałyśmy, że najwyższy czas ją razem odwiedzić. Punktualnie o dwudziestej spotkałyśmy się pod jej blokiem.

– Zaczekajcie, znam kod – zaczęłam naciskać cyferki na domofonie. Niestety nie pasował. Spróbowałam ponownie.

– Ani słowa – uprzedziłam, widząc minę Mańki. Odwróciła się, żebym nie widziała jej łajdackiego uśmiešku. Nadal z uporem maniaka próbowałam wykoncypować ustawienie cyfr. – Kurwa mać! – zakląłam w końcu soczyscie, co oznaczało poddanie się. Pech chciał, że akurat z klatki wychodziła starsza pani.

– Cóż za kloaka – mruknęła pod nosem.

– Joanno, właśnie dostałaś reprimendę – zauważyła Mańka.

– A co miałam powiedzieć, że złowrogo szumią wierzby??

– Przynajmniej ktoś nam otworzył drzwi – powiedziała Baśka. Zapukałyśmy do mieszkania.

– Dziewczyny? – W drzwiach stanęła zaskoczona Lucy.

– Tak mówią, ale mamy dużo testosteronu – powiedziałam.

– Jak nas nie chcesz, to powiedz – zaczęła Mańka.

– Ale i tak sobie nigdzie nie pójdziemy – dodała z uśmiechem Baśka.
Weszliśmy do środka.

– Jestem sama. Rosa jest z Marcinem.

Usiadliśmy wygodnie na kanapie. W perfekcyjnym domu Lucy było miło i przytulnie.

– Fajnie, że przyjechałyście – stwierdziła, uśmiechając się delikatnie.

– Chyba nie myślisz, że zostawimy cię samą? – powiedziała Mańka,

– Jak u ciebie? – zapytała Baśka.

– Zdobyłam się na odwagę i powiedziałam o wszystkim Marcinowi.

– Ożesz ty!

– I co? – dopytywała Mańka.

– Wyprowadził się jakiś czas temu. Mieszka w hotelu. Po pierwszym szoku zaczęliśmy już nawet ze sobą rozmawiać.

– I co dalej? – spytałam, bo o przeprowadzce wiedziałam już od Wojtka.

– Nic. Na razie wyrzucamy sobie wszystko, co się uzbierało przez ostatnie lata.

– Ale buty też? Biorąc pod uwagę twoją kolekcję, trochę to potrwa. – Puściłam oczko do Lucy.

– Koszul Marcin też miał więcej niż dwie – dodała Mańka.

Lucy na chwilę się uśmiechnęła, po czym spoważniała.

– Wiecie, chodzi o pretensje. I żałuję, że dopiero teraz sobie o wszystkim powiedzieliśmy.

– Chcecie to jeszcze posklejać? – zapytała Baśka.

– Chyba tak, ale czy się uda?

– A jak z twoją hm... działalnością po godzinach? – spytałam.

– Od powrotu z Rumunii nigdzie nie byłam. Jeśli nam się uda i on mnie w końcu dostrzeże, to już nie będę miała powodu – odpowiedziała.

– Kochana, najważniejsze, żeby każda decyzja, jaką podejmujesz, była w zgodzie z tobą – powiedziała Mańka.

– No właśnie to próbuję zrobić.

– A te manify, na które tak chodziłaś, to był tylko pretekst? – zapytała Mańka.

– Niektóre tak.

– Ale powiedz, że ta, podczas której żądali więcej światła dla mchu, była prawdziwa? – Wywołałam uśmiech na jej twarzy.

– Jedno jest pewne. Chcę wrócić do pracy. Nie wiem, czy dam radę, ale muszę spróbować.

– Noo, dzielna dziewczynka. Na pewno sobie poradzisz – poparłam ją. – I pamiętaj, że możesz na nas liczyć. Bez względu na to, jak potoczy się twoje życie. – Przytuliłam ją. Lucy się wzruszyła. Wyglądało na to, że wie, czego chce.

– Chcecie coś do picia? – zapytała.

– Neeee! – krzyknęłyśmy jednym głosem.

– Znowu by nam przyszły do głowy jakieś głupie pomysły – przeraziła się Mańka.

– Dokładnie, a ja już się nigdzie z wami nie wybieram – roześmiałam się.

Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy wychodziłam od Lucy, wiedziałam już, jaką decyzję podejmę w sprawie wyjazdu na Bali. Następnego dnia w pracy miałam tylko jeden plan: spotkać się z szefową i z nią o tym porozmawiać.

W biurze z nerwów rozboleł mnie brzuch. Jak na złość Doroty nigdzie nie było. Czekałam na nią, odpowiadając na miliony telefonów.

W końcu zobaczyłam przez okno, jak podjeżdża pod budynek. Odczekałam chwilę i popędziłam do jej biura, żeby zaatakować ją jako pierwsza.

– Cześć. – Uchyliłam drzwi. – Mogę wejść?

– Coś ważnego? – Dorota już od progu była zajęta.

W pierwszej chwili chciałam się wycofać, ale coś pchało mnie do przodu. Może przeciąg. Jakiś idiota otworzył okno na korytarzu na oścież! A przecież był mróz.

– No właśnie tak.

Szefowa zachęciła ręką, żebym weszła.

– Co tam, Joasiu? – Cholera, musiała teraz tak miło się do mnie zwrócić?

– Słuchaj, niestety nie będę mogła zrobić tego filmu na Bali – powiedziałam jednym tchem i poczułam, jak schodzi ze mnie stres.

– Jak to? Przecież tak się cieszyłaś.

– Owszem, dopóki sądziłam, że kręcimy go w Polsce. Dopiero niedawno mi powiedziałaś, że to film wyjazdowy, i do tego ta dokumentacja w święta. Nie dam rady.

– Ojej, to bardzo złe wieści. Jesteś niezastąpiona.

– Tak się tylko mówi – uśmiechnęłam się, bo polechtała moją próżność.

– Niby tak – odparła Dorota. – Ale ja lubię z tobą pracować. Już się dotarliśmy.

– Wiem. Jednak tym razem muszę odmówić. Chcę zostać z rodziną.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mam żadnego innego projektu, a to oznacza, że nie będę miała dla ciebie pracy? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

Takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam. Zamilkłam, bo słowa „bez pracy” dla mnie nie istniały.

– Rozumiem – odpowiedziałam po chwili zastanowienia. Mimo wszystko czułam, że dobrze robię. – Mam nadzieję, że nie jesteś zła? – zapytałam. Ta moja cholerna empatia kiedyś mnie zabije.

– Nie jestem. W sumie to nawet cię rozumiem. – Zawiesiła głos. – Przynajmniej masz w życiu coś bardzo cennego. A praca raz jest, raz jej nie ma.

Tego się po niej nie spodziewałam. Zawsze sprawiała wrażenie pewnej siebie konkretnej babki, zadowolonej z tego, co ma. Zaskoczyło mnie to jej drugie oblicze.

Decyzja została podjęta, a mnie spadł kamień z serca.

Gdy wracałam do domu, w radiu leciało *Last Christmas* George'a Michaela, pewnie po raz tysięczny tego dnia. Stare, ale jare, czyli dokładnie takie jak ja. Troszkę się dzięki temu rozchmurzyłam. Tego wieczoru mieliśmy z Wojtkiem wolną chatę, bo sprzedaliśmy dzieciaki na noc do Mańki.

– No i jak tam, bejbe? *Sex, drugs and rock and roll?* – przywitał mnie w progu mąż.

– Od rock and rolla to już bardziej wolę Radio Pogoda, dragi też nie w moim klimacie, a seks – dlaczego nie. Przynajmniej nie trzeba będzie dzisiaj ryglować drzwi do sypialni – odpowiedziałam, ale raczej była to umiarkowana, a nawet śladowa zachęta do dzikich harców. W tej chwili miałam z Wojtkiem inną sprawę do załatwienia. – Kotek – zaczęłam.

– Tak? Lucy wpadnie? – Puścił do mnie oczko.

– Przestań żartować – zganiłam go. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Uwielbiam, jak rozpoczynasz tak rozmowę. Mam się bać?

– A masz coś na sumieniu?

– Oprócz jedzenia w środku nocy to nic.

– Kochanie, zrezygnowałam z tej fabuły, o której ci mówiłam.

– Jak to, dlaczego?

– Bo okazało się, że film ma być kręcony na Bali, do tego w święta musiałabym lecieć na dokumentację.

– Nic nie mówiłaś.

– Bo nie wiedziałam, co robić.

– I ty odrzuciłaś taką okazję? Zawsze chciałaś wyprodukować duży film za granicą.

– Owszem, ale nie wyobrażam sobie zostawić was najpierw na święta, a potem na co najmniej dwa miesiące zdjęć.

– Kochanie. – Przytulił mnie czule. Byłam całkowicie przekonana, że podjęłam słuszną decyzję.

– Tylko jest jeszcze jeden drobiazg – dodałam niepewnie.

– Ale mi dzisiaj dawkujesz te informacje – zaśmiał się Wojtek.

– Moja szefowa nie ma dla mnie żadnej innej pracy. Zamknę to, co robię, i będę bezrobotna – powiedziałam szybko.

– Ty bezrobotna? Na pewno zaraz coś znajdziesz.

– Czy na pewno, to się okaże. Koniec roku i początek nowego to nie jest dobry moment w mojej branży.

– Nie przejmuj się, ostatnio widziałem ogłoszenie, że szukają makijażysty do domu pogrzebowego.

– Wojtek! – skrzywiłam się. – Wiesz, że nie umiem malować.

– Zwłokom i tak jest już wszystko jedno. A jak nic ci się nie trafi, to zajmiesz się domem.

– Chcesz mi powiedzieć, że teraz się nie zajmuję?!

– Zajmujesz, oczywiście, ale tak to może nawet jakieś ciasto upieczesz.

– No chyba mnie przeceniasz! – Wizja pani domu chyba mnie nie kręciła.

– Musisz coś robić, bo inaczej będziesz zrzędzić, chociaż jak masz robotę, to też zrzędzisz.

– Zaczekaj, o czym to rozmawialiśmy, jak wszedłeś do domu? Że seks? Sorry, ale nie pomogę!

– To szantaż!

Moje ewentualne bezrobocie nie zrobiło na nim wrażenia, ale odmowa chędożenia już zdecydowanie tak.

Choć mieliśmy wiele planów na ten wieczór, w końcu wylądowaliśmy na kanapie z butelką dobrego wina. Tego mi dzisiaj było trzeba. Peselozę dała nam się we znaki i nie mieliśmy ochoty z nią walczyć. Włączyliśmy sobie film i beztrudnie zaczęliśmy objadać się słodyczami. Jak ja się cieszyłam, że mogę zjeść je legalnie i nie muszę ich przekładać do opakowania po tabletkach do zmywarki.

Znużeni trochę tym błogim lenistwem postanowiliśmy wyjść z psem na spacer. Był chłodny grudniowy wieczór. Większość balkonów była już przystrojona świątecznymi lampkami. Rozmawialiśmy o życiu i o tym, ile

wilanowski Griswold zapłaci za prąd, biorąc pod uwagę, że nawet paprotki, które stały w oknie, wydawały błyski. Gdy z zimna przykleiły mi się spodnie do ud, zawróciliśmy do domu.

– Kotek, a gdzie jest pies? – zapytałam, gdy czekaliśmy na windę.

– Nie wiem. – Wojtek rozejrzał się dokoła.

– Jak to nie wiesz? A smycz masz?

– No mam, przecież trzymam w ręce.

Wybiegliśmy szybko z powrotem na dwór w poszukiwaniu czworonoga.

– A widzisz, mówiłem, żeby jej zamontować taki świecący breloczek – powiedział Wojtek, gdy nerwowo przemierzaliśmy osiedlowe ulice.

– I że niby to moja wina, że się zgubiła? – zirytowałam się.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Cholera, przecież ona jest zawsze taka grzeczna – mówiłam, dysząc ze zmęczenia. Gdy już myślisz, że nic gorszego nie może cię w życiu spotkać, to okazuje się, że jest coś jeszcze – bieganie!

– Biedactwo, jest tak zimno na dworze... Lilly! – nawoływał Wojtek, a ja próbowałam za nim nadążyć.

Ciekawe, że o mnie się tak nie martwił.

Po dwóch godzinach dreptania po wilanowskich chodnikach i rzucania oskarżeń, kto jest winny ucieczki psa, postanowiliśmy wrócić do domu.

– Dzieci nas zabiją. Co my im powiemy? – przeraziłam się.

– Że nie można nas zostawić samych w domu!

– Wrzucmy ogłoszenie do internetu. Przecież nie mogła się rozpuścić w powietrzu!

Zrezygnowani wsiedliśmy do windy. Do tego, że nie potrafię wyhodować nawet kaktusa, to już się przyzwyczaiałam, ale żeby zgubić psa? Wszystko przez te migające światełka u Griswolda! Apopleksji można dostać!

Weszliśmy załamani do domu, gdy nagle usłyszeliśmy pisk radości.

– Lilly?! – zawołałam.

– Piesku kochany, gdzie ty byłaś? – Mężu próbował przytulić sierściucha, który ze szczęścia skakał aż do lamperii.

– A raczej gdzie nie była! Wojtek, myśmy jej w ogóle nie wzięli na spacer!

Suczka miała się świetnie, oczekując na swoich przygłupich panów. Tego dnia przebiegłam chyba tyle, ile przez całe życie, i dzięki temu poznałam nieodkryte nawet przez amerykańskich naukowców nowe mięśnie i ścięgna.

Rozdział 16

Rano jak bumerang powróciła do mnie wizja ewentualnego bezrobocia. Wyobraziłam sobie, jak z obłędem w oczach miotam się po domu, a z ust toczy mi się ślina. Wybrałam już sobie nawet kąć do tych werterowskich cierpień. Nie miałam żadnego planu B, co w moim życiu jest raczej nie do pomyslenia.

W mieszkaniu panowała cisza jak nigdy, bo dzieci były jeszcze u Mańki. Wojtek niespiesznie robił kawę, wyciągając sobie z tyłka uwierające bokserki. Po prostu proza życia. W końcu przerwał ją dzwonek do drzwi.

– Dzień dobry, Asiuniu i Wojtuniu. Jestem ja i ten oto chaos – przywitała się Mańka, wskazując nasze dzieci.

– Dzień dobry, Maniuniu – uśmiechnęłam się. – A czy my nie umawialiśmy się, że oddasz je jutro? – drażniłam się z przyjaciółką.

– Jak by ci to powiedzieć: nie ma takich pieniędzy, za które spędziłabym z nimi kolejną noc! – wykrzyknęła Mańka.

– Rozumiem, że wykazały się pewną dezynwolturą?

– Na początku było super. Graliśmy w planszówki, obejrzeliliśmy film, a potem dzieci zaczęły szykować się do spania. Obyło się nawet bez utarczek słownych – pochwaliła nasze przyległości.

– No zobacz, jakie aniołki.

– Jak się położyli, pozwoliłam im sobie jeszcze pogadać.

– I co, nie chcieli przestać?

– Opowiadali sobie horrory, ale w końcu poszli spać. Ja też się położyłam i dość szybko zasnąłam. Nagle coś mnie obudziło. Przecieram oczy, patrzę,

a nade mną stoi Piotruś i mówi: „Ciociu, a dlaczego za zasłoną stoi straszny pan i cały czas na nas patrzy?”.

Wybuchnęliśmy z Wojtkiem śmiechem.

– On poszedł dalej spać, a ja do rana nie zmrużyłam oka. Chodziłam po całym mieszkaniu i kijem od szczotki trącałam zasłony! – Mańka usiadła ciężko na krześle.

– Kawusi? – zapytał Wojtek wesoło, zadowolony, że to nie jemu się przytrafiło.

Po śniadaniu mężu zabrał wesołą gromadkę na spacer. Miałyśmy z Mańką chwilę, żeby pogadać.

– Wiesz co, zrezygnowałam z roboty – powiedziałam.

– Co, ty? – zdziwiła się.

– No tak, ja. Ten film, który miałam robić, będzie produkowany na Bali. A to by oznaczało, że muszę wyjechać na święta i potem jeszcze raz na zdjęcia, minimum dwa miesiące.

– Kurde, ale patowa sytuacja. Zawsze chciałaś pracować za granicą.

– Szczerze mówiąc, bardzo się martwię, co będzie dalej, ale nie chcę już poświęcać wszystkiego dla pracy. To, co stało się u Lucy, jeszcze mnie w tym utwierdziło.

– Asiunia, będzie dobrze. – Mańka próbowała mnie pocieszyć.

– Wiesz, że nienawidzę, jak ktoś tak do mnie mówi.

– No dobra, chuj wie, jak będzie.

– O, teraz już lepiej.

– Ale w końcu będzie dobrze, choć inaczej. Też mi tak mówiłaś, jak rozstałam się z Robertem – uśmiechnęła się.

– Bo to prawda. A co u ciebie? Co porabiasz w święta? Na bank już wiesz co najmniej od dwóch lat – chciałam zmienić temat.

– A owszem, wiem. Zostajemy z chłopcami w Warszawie. Obwieściłam mojej mamie, że w tym roku nie przyjeżdżamy. Oczywiście była drama, ale nie ugięłam się.

- No to super. Przyznaj się, który pan będzie ci wkładał sianko.
- Ty perwersie.
- Pod obrus przecież...
- Żaden – odpowiedziała krótko Mańka.
- Jak to? – Tym razem ja się zdziwiłam.
- Z Robertem to zamknięty rozdział. Ma przebłycki, ale nadal mnie irytuje. I wbrew temu, co o sobie mówi, nic się nie zmienił. Zawsze będzie ojcem chłopców i tu nie powiem – stara się. I oby tak zostało. A dla dobra dzieci mamy poprawne kontakty i nic więcej.
- Rozumiem. A co z Pawłem?
- Wiesz co, Asiunia, ja mam mocno ustawiony radar. Już mi się nie chce brać na siebie kłopotów niedojrzałych mężczyzn. Tylko po to, żeby z kimś być? Nie, dziękuję. Wolę być priorytetem dla siebie, niż opcją dla kogoś innego.
- Maniuchna, nie poznaję cię. Zrobiłaś się taka pewna swego.
- Bo ja po prostu zaczęłam lubić siebie. Tak, w końcu mogę to powiedzieć na głos.
- Kocham cię – powiedziałam nagle.
- Nie namówisz mnie na oglądanie z tobą *M jak miłość*. – Zmierzyła mnie wzrokiem.
- Przecież z miłości to mówię. – Szturchnęłam ją pieszczotliwie. Obie się zamyśliłyśmy.
- Wiesz co, my to się chyba starzejemy – stwierdziłam.
- A ja uważam, że świadomie dokonujemy wyborów – tych dużych i małych – odparła Mańka. – Ja na przykład postanowiłam, że po trzydziestu latach wsiądę na rower. Niby nic, a jednak bardzo się cieszę.
- Lepiej uważaj – ostrzegłam. – Wiesz, o czym ostatnio czytałam? Kilka dni temu wilanowscy strażacy odebrali niecodzienne zgłoszenie. Kobieta po czterdziestce przewróciła się na rowerze.
- A co do tego mają strażacy? – spytała niecierpliwie przyjaciółka.

– Upadek był tak niefortunny, że kierownica utknęła biedacze w odbycie. Strażacy musieli interweniować i odciąć wystającą metalową część – dokończyłam.

– Aua! – zareagowała sugestywnie Mańka. – Jak to możliwe?

– W tym przekazie są słowa klucze: „kobieta po czterdziestce”! Przecież to o nas. – Śmiałyśmy się jak opętane.

Do domu wrócił Wojtek z dziećmi.

– A co wam tak wesoło? – zapytał.

– Jak by to powiedzieć... Mamy wszystko w dupie – zachichotałam.

– A obiad chociaż zrobicie? – zapytał z nadzieją w głosie.

Uległyśmy i po dwóch godzinach usiedliśmy przy stole.

Reszta soboty upłynęła nam w miłej rodzinnej atmosferze, podobnie jak niedziela, z tym że już bez towarzystwa Mańki. Zrobiłam nawet ciasto z najłatwiejszego przepisu, który znalazłam w sieci. Zniknęło po godzinie, więc bardzo się ucieszyłam, że choć raz mi coś wyszło i nie był to drut ze stanika.

Kolejne dni zmieniały się jak w kalejdoskopie. W pracy zamykałam wszystkie sprawy. Kryśka nie mogła pojąć mojej decyzji. Młoda jest jeszcze. A w życiu jest tak, że człowiek się rodzi i nawet się nie obejrzy, kiedy ma swój ulubiony warzywniak. Dostawałam coraz mniej maili, a mój telefon firmowy coraz częściej milczał. Mimo to świat, o dziwo, kręcił się dalej.

Pewnego popołudnia zadzwoniła Baśka.

– Dżoana, znajdziesz czas na spotkanie? – zapytała.

– Jakaś specjalna okazja?

– Mam dla was niespodziankę.

– Wiesz co, ja już się boję tych waszych rewelacji – stwierdziłam.

– Nie martw się, umówimy się w knajpie, nie będę nic gotować – zaśmiała się.

Baśka zwerbowała Mańkę, a ja miałam zadzwonić do Lucy.

W sobotę wieczorem siedziałam już z Lucyną w taksówce, jadąc do centrum. Ona jak zawsze wyglądała elegancko, ale miała wyjątkowo niski obcas, choć dla mnie to i tak był Mount Everest.

– Jak ja rzadko tu bywam. – Zadarłam głowę do góry, obserwując wysokie biurowce. W wielu oknach wciąż paliły się światła. – Co u ciebie, kochana? – zapytałam.

– Między mną i Marcinem bez większych zmian, ale ja po Nowym Roku wracam do pracy – powiedziała niepewnie Lucy.

– Wspaniale! Tak się cieszę! Co będziesz robić? Będziesz groźną panią nauczycielką? – Udałam, że trzymam w ręku bacik.

Lucy się uśmiechnęła.

– Będę asystentką zarządu, czyli zajmę się tym, co kiedyś. Strasznie się stresuję, czy sobie poradzę.

– Na początku pewnie będziesz musiała się oswoić, ale potem pójdzie jak z płatka.

– Tak myślisz?

– No pewnie. A jak nie, to pewien fach w ręku już masz – chciałam dodać jej otuchy niewybrednym żartem.

– Marcin pomógł mi znaleźć tę pracę.

– O widzisz. To może jest szansa, że jeszcze wam się poukłada?

– Zobaczymy. Jedno jest pewne: życie jest nieprzewidywalne.

Byłam niezmiernie ciekawa, jaką restaurację wybrała Baśka. Znając ją, pewnie w tym lokalu gotują z produktów z przydrożnego śmietnika. Jakież było moje zaskoczenie, gdy zobaczyłam kuchnię polską. Weszłyśmy z Lucy do środka.

– Dziewczyny, tutaj! – Pomachała nam Baśka. Przy stole siedziała już Mańka.

– Przyjechałaś rowerem? – zapytałam na powitanie.

– Nie, czekam na ciebie. Pamiętaj, że kierownica ma dwa końce – odgryzła się. – Siadajcie!

– Kochana, skąd pomysł na taki lokal? To do ciebie niepodobne – uśmiechnęłam się do Baśki.

– Święta idą, pomyślałam, że możemy sobie zrobić taką niby wigilię. Mają tu pyszne pierogi – odpowiedziała przyjaciółka. – Ale zacznijmy od wina!

Wszystkie się z nią zgodziłyśmy.

– Może to? Czerwone? – Mańka zasugerowała jakieś francuskie.

– Wolę białe – powiedziałam.

– Ja też – dodała Lucy.

– Dobra. Słodkie? – zaproponowała Baśka.

– Niiieee, głowa mnie po nim boli. Lepiej wytrawne – zdecydowałam.

– Ty zawsze musisz być taka dominu... – Mańka ugryzła się w język i spojrzała na Lucy.

– Chciałaś powiedzieć, że lubię rządzić! – Zrobiłam głupią minę.

– Dziewczyny, dajcie spokój – zaśmiała się Lucy.

– A właśnie, Lucy, Wojtek mnie pytał, czy wpadniesz na jego urodziny. – Puściłam do niej oczko.

Przekrzykiwałyśmy się jedna przez drugą, opowiadając niestworzone historie. W pewnej chwili wydało mi się, że zobaczyłam znajomą twarz. To pewnie uwolniony od pracy mózg podsuwał mi różne obrazy.

Nagle usłyszałam za plecami wesoły głos:

– Cześć, dziewczyny!

Odwróciłam się i zobaczyłam jego właściciela. Mihail!

– Ożeż! Co on tu robi? – wykrzyknęłam.

– To jest ta niespodzianka – powiedziała Baśka.

Ledwo go poznałam w tym miejskim anturażu, bez gumiaków i rozciągniętej kufajki. Włos też chyba przyczesał.

– To ja, Borat. – Uśmiechnął się, jakby chciał nas upewnić, że to na pewno on. Cóż, często powtarzane kłamstwo staje się prawdą. Musiał się już przyzwyczaić do nowego imienia.

– Jak go widzę, wszystko mi się przypomina i aż mnie swędzi – jęknęła Mańka. – No wiecie, to się jakoś nazywa w psychologii.

– Zjebanie genetyczne – rzuciłam z przekąsem i od razu wpadłam na pomysł, że zawodowo mogłabym się zająć obrażaniem ludzi. Ależ bym była majątna!

– Co robisz w Warszawie? – zapytała Lucy.

– Przyjechałem w interesach – odparł Mihail.

– Tylko że tutaj chyba nie da się kupić kóz, owiec czy innej trzody chlewnej – bąknęłam pod nosem po polsku. Będę obrzydliwie bogata i będę się smażyć w piekle, a Mańka ze mną, bo musiała się odwrócić, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Słucham? – zapytał Mihail.

– Dżoana się zastanawia, jakie to interesy. – Baśka kopnęła mnie w kostkę.

– Jak wiecie, zanim przeniosłem się na wieś, mieszkałem w Bukareszcie. Ale chyba wam nie mówiłem, że z zawodu jestem prawnikiem.

– Prawnikiem? – powtórzyłam.

– A co, nie wyglądam? – zaśmiał się. – Znajomy poprosił mnie, żebym pomógł mu przy sprawie rozwodowej z Polką – wyjaśnił.

– Wiedziałaś o tym? – Mańka spojrzała podejrzliwie na Baśkę.

– Tak, rozmawiamy sobie od czasu do czasu – przyznała od niechcienia.

– Oż ty małpo, nic nie mówiłaś! Że niby tylko o zdrowie mamusi pytałaś?! – wypomniałam jej.

– Bo zaraz zrobiłybyście aferę. Na razie się poznajemy – krygowała się.

Mihail w tym czasie rozmawiał z kelnerem, który zachwalał mu polską kuchnię.

– Ale dogłębnie? – dociekała Mańka.

Baśka pokręciła głową, jednak była mało przekonująca.

– No i przyznałam się, że walnęłam patelnią jego matkę... Musiałam mu powiedzieć!

– I co on na to? – spytałam.

– Przyznał, że nie dziwi się temu znajomemu, który rozwodzi się z Polką, bo tutejsze kobiety to niezłe wariatki – zaśmiała się.

Niespodzianka faktycznie się Baśce udała. Jedliśmy pierogi, piliśmy wino i wspominaliśmy pobyt w Rumunii. Mihail pokazywał nam zdjęcia dziewczynek. Czyżby Baśka w pakiecie zyskała całą rodzinę, i to bez wydobycin, kolek i wyrzynających się ząbków? Ta to zawsze wie, jak się ustawić.

Gdy miłe spotkanie dobiegało końca, poprosiliśmy kelnera o rachunek.

– Oczywiście. Kartą czy gotówką? – zapytał uprzejmie.

Nasz dżentelmen wyrwał się, żeby zapłacić, a na koniec kelner zapytał po angielsku, żeby wszyscy zrozumieli:

– Smakowało państwu?

Mihail uśmiechnął się szeroko i huknął na cały lokal:

– Zajebiecie mi smakowało!

Kelner i wszyscy goście spojrzeli z osłupieniem na naszego rumuńskiego kolegę.

– Mihail, co chciałeś powiedzieć? – zapytałam dyskretnie, bo chyba wyczuł, że coś jest nie tak.

– Że bardzo mi smakowało. – Zrobił głupią minę.

– Mówi się „zajebiecie mi smakowało”. – Zaczęłam się śmiać.

– Basieńko, będziesz musiała trochę go podszkolić w języku – powiedziała Mańka i puściła do niej oko.

Czym prędzej, w atmosferze ambarasu, opuściliśmy lokal. Mimo późnej pory miasto tętniło życiem. Wyglądało tak, jakby wcale nie chciało się zatrzymać. Podobnie jak nasze.

Epilog

Dzieci nie mogły pojąć, jak to możliwe, że przestałam pracować.

– Mamuś, będziesz w domu, jak wrócimy ze szkoły? – zapytała Kasia w poniedziałkowy poranek.

– Tak – odpowiedziałam smętnie.

– To fajnie – ucieszyła się.

Wojtek tego poranka również się spieszył, bo wychodził na spotkanie służbowe.

– Kochanie, wiesz może, gdzie jest moja nerka? – zapytał zniecka.

– A co, aż tak słabo u nas z kasą? – Spojrzałam na niego. Owszem, nie pracowałam od jakiegoś czasu, ale nic nie mówił, że ledwo wiążemy koniec z końcem.

– O tę saszetkę z paskiem mi chodzi. – Zmierzył mnie wzrokiem.

Trochę się uspokoiłam, ale postanowiłam sprawdzić w historii wyszukiwanych fraz w internecie, czy jednak nie poszukuje jakiegoś punktu zbytu ludzkich organów, żeby ratować rodzinę przed klęską.

– Co będziesz dzisiaj robić, kochanie? – W głosie Wojtka słychać było troskę. Wszyscy mieli jakieś zadania oprócz mnie.

– Nic – odburknęłam.

– Na pewno znajdziesz sobie nowe zajęcie. – Pocałował mnie czule i wyszedł z dziećmi.

Na pewno. Ostatnio w centrum handlowym widziałam ogromną chodzącą solniczkę i pieprzniczkę. Może chociaż tam się nadam.

Dom opustoszał. Usiadłam przy stole i patrzyłam tępo w telefon. Nie powiem, nawet polubiłam te chwile, kiedy nie dobijał się do mnie nikt z pracy. Miałam więcej czasu dla rodziny i dla siebie, było mniej pośpiechu. Ale wiedziałam, że beczynne siedzenie na dłuższą metę mi nie służy.

Moje umartwianie się nad sobą przerwał esemes. Nadawcą była Ola brzuch. Musiałam być nieźle pijana, żeby zapisać kogoś pod taką nazwą. Odczytałam wiadomość: „15 kilogramów mniej z brzucha gwarantowane. Zniżka po czterdziestym roku życia”. Pewnie, dojdzie leżącego. Jaka inna korespondencja może do mnie przyjść?

Rzuciłam telefon w kąt. Pokręciłam się po mieszkaniu, oszukując samą siebie, że coś robię, gdy nagle usłyszałam stłumioną melodyjkę. Tym razem ktoś dzwonił. Wyciągnęłam komórkę spod szafki i spojrzałam na wyświetlacz. Numer stacjonarny. Matko z córką, pewnie znowu ktoś ze szkoły albo z cholernego banku!

– Halo – burknęłam, żeby od razu zniechęcić do siebie rozmówcę.

– Dzień dobry. Czy mam przyjemność z panią Joanną?

– Wątpliwą, ale tak.

– Bardzo mi miło – mówił pogodny głos. Nie mogłam jednak odwdzińczyć się tym samym. – Szanowna pani, trafiliśmy na pani blog. Bardzo nam się spodobał. W związku z tym mamy dla pani pewną propozycję...

Życie to jednak nie lubi próżni. Przynajmniej moje.

Spis treści

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Epilog

Karta redakcyjna

Przygotowanie okładki do druku
Karolina Żelazińska

Ilustracja na okładce
Adela Podgórska

Zdjęcie autorki
Darek Lewandowski

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Teresa Zielińska
Justyna Domagała

Copyright © by Joanna Mokosa-Rykalska, 2022
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-818-1



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)